smutek grającego krążka

SPOWIEDŹ „TARANA” (Część II) STR. 12

PROGI DOJRZAŁOŚCI STR. 7

ŚWIAT JEST KOLOROWY STR. 3

WOJNA w KOSMOSIE STR. 10

RAJ AGENTÓW STR. 9

ODGŁOSY

ROK XIX NR I (943) 1 STYCZNIA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Z bieżącego numeru „Odgłosów” Czytelnicy dowiedzą się o planie Schellenberga, o którym pisze Andrzej Blajer w dalszym ciągu naszego cyklu Centrum tajnego frontu. Polecamy również artykuł Lucjusza Włodkowskiego o tym jak chemia stara się naśladować naturę czyli „Świat jest kolorowy”.

Jak jadali Polacy — pisze Jerzy Wilmański. Nasuwa się mu przy tym taka refleksja: „Tyle się ostatnio ukazuje książek kucharskich, nawet przed laty wydano po polsku... „Potrawy kuchni włoskiej”. Oczywiście to bardzo dobrze, ale czy nie warto opracować i wydać niewielką książeczkę pt. „Kuchnia staropolska”. Na pewno wiele pań i nie tylko powitałoby taką pozycję z radością.

Również w bież. numerze znajduje się ciekawy fragment książki „Polowanie na piosenkę” przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego przez Andrzeja Jóźwiaka, a opowiadającej o Beatlesach.

Wiele Czytelników zainteresują rozważania Jacka Indelaka na temat „Polskich Nagrań”. Przeczytajcie więc: „Smutek grającego krążka”. Nie zapominając, oczywiście, że w bieżących „Odgłosach” jest także dalsza pozycja z cyklu CIA przeciw Kubie pt. „Raj agentów”.

W poprzednim odcinku zatytułowanym „Złoto bogów” donosiliśmy o odkryciu w Ameryce Południowej rozległego systemu podziemnych korytarzy zawierających wiele interesujących i wręcz rewelacyjnych skarbów. W dalszej części publikowanej dziś znajdujemy hipotezę mającą wyjaśnić kto i po co zbudował owe tajemnicze tunele.

Dla tych, których zaciekawiła wstrząsająca Spowiedź „Tarana” mamy dobrą wiadomość: już w tym numerze znajduje się dalsza jej część, a poza tym jak zwykle w każdym numerze są stałe pozycje: informacje książkowe, felietony, recenzje oraz „Magazyn”, w którym przede wszystkim warto przeczytać Krystyny Pietranek — „Czego brak polskiej piosence” oraz Jana Huszczy „O patronach”.

ŁÓDŹ—RETRO

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

MUZYKA

HISTORIA PŁYTY

ANDRZEJ JÓŹWIAK

SAGA O BEATLESACH

Zrewolucjonizowali muzykę rozrywkową drugiej połowy XX wieku. Byli fenomenami „muzyki pokolenia”, jej prorokami i żywymi symbolami; zjawiskiem, które „zawładnęło wyobraźnią milionów” i przeszło do historii muzyki. Tworzyli utwory, o których Leonard Bernstein powiedział, że są równe pod względem rangi „każdej pieśni jaką napisał Schubert”, a o których muzykolog Henry Pleasants stwierdził: „Beatlesi i ich muzyka znajdują się w tym samym punkcie, gdzie znajduje się obecnie światowa muzyka poważna”.

Dominowali przez lat dziesięć, a potem nawet rozdzieleni również grali pierwszoplanowe role. Posiadali te wdzięczne, urokliwe temperamenty, rozległe poczucie humoru i pewność siebie. Mówili impertynencje, które trafiały w sedno, a prasa je chętnie powtarzała.

— Dlaczego nie skracacie włosów?

— Jak to? Przecież dwa lata temu je skróciliśmy.

— Ringo, dlaczego nosi pan tyle pierścieni na palcach?

— Ponieważ nie mogę nosić ich na nosie.

— Paul, co myślisz o Beethovenie?

— Uwielbiam go! To świetny poeta.

— Wasza ulubiona aktorka?

Ciąg dalszy na str. 8

OBYCZAJE

JERZY WILMAŃSKI

POLSKI STÓŁ

Stół. Prosty sprzęt domowy — cztery nogi i blat — a jak wiele w tym krótkim słowie symbolu, ile tradycji i historii. Więc pomówmy o stole: oświetlonym lampą, świątecznym, uroczystym i — oczywiście — nie pustym stole.

Jeżeli zasiadamy przy pełnym stole, to czynimy to z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ten pełny stół nie jest zatem pochwałą sarmackiego łakomstwa, ale symbolem zasobności i dostatku.

Chociaż — jak pisze Zbigniew Kuchowicz w swojej znakomitej księdze **„Obyczaje staropolskie” — „pewną specyfikę polskiego stołu stanowiło okresowe przestrzeganie licznych postów”.** Ale i te posty miały swoją dobrą stronę: po prostu była to okazja do urozmaicenia jadła.

Na kuchnię i stół polski oddziaływały także wpływy cudzoziemskie. Dzięki wpływom Orientu na przełomie XVII i XVIII wieku na polski stół zawędrowały słodycze — konfitury, ciasta, marcepany, sezamki, makagigi... Wtedy to na polski stół trafiły po raz pierwszy nasze — dziś powszednie — owoce południowe: cytryny i pomarańcze.

A befsztyk po tatarsku? Oczywiście także i ta smakowita potrawa (a może zakąska) trafiła do nas w XVIII wieku.

Potem na polski stół zaczęła wywierać coraz większy wpływ Francja. **„Trzeba dodać** — twierdzi Kuchowicz — **że ówczesna Francja była krajem, w którym kultura jedzenia i sprawy gastronomii stały się, rzec można, ważnym elementem ogólnej kultury narodowej”.** Ale francuskie wpływy nie zmieniły nam charakteru naszego stołu. Po prostu nieco go urozmaiciły — dodały mu nowych smaków i barw.

A polski stół pozostał nadal polskim stołem. Tonęły więc nadal mięsiwa w kolorowych sosach. Tak jest! W kolorowych, bowiem staropolska kuchnia słynęła właśnie z barwnych sosów. Dziś, niestety, bywa to najczęściej brunatna bryja o nieokreślonym smaku. Ale wówczas!

Ciąg dalszy na str. 5

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

ZADANIA PRASY, RADIA I TV PO VII ZJEŹDZIE PARTII

W ub. wtorek odbyła się narada łódzkiego środowiska dziennikarskiego, w której uczestniczyli m. in. kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji Komitetu Centralnego PZPR — Kazimierz Rokoszewski i I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski.

Głównym tematem narady były zadania prasy, radia i TV w nadchodzącym okresie oraz podsumowanie dorobku łódzkich środków masowego przekazu. Hasło VII Zjazdu partii: „O wyższą jakość pracy — o wyższą jakość życia" dotyczy również pracy dziennikarzy. Do najpilniejszych zadań należy ugruntowanie korzystnej atmosfery wysokiego ideowo-politycznego zaangażowania wytworzonej przed VII Zjazdem i w czasie jego trwania. Jednym z pierwszoplanowych zadań jest popularyzacja dorobku oraz idei wypracowanych na VII Zjeździe — jak podkreślił w swoim wystąpieniu K. Rokoszewski — oraz przystosowanie zjazdowych uchwał do warunków społeczno-gospodarczych w rozwoju poszczególnych regionów i województw.

NOWY RADZIECKI SPUTNIK NA ORBICIE

22 ub. m. wystrzelono w Związku Radzieckim nowy sputnik łączności „Raduga" z pokładową aparaturą retransmisyjną, umożliwiającą na falach centymetrowych utrzymywanie przez całą dobę radiowej łączności telefoniczno-telegraficznej, a równocześnie przekazywanie programów barwnych i czarno-białych centralnej telewizji ZSRR do sieci stacji „Orbita".

ROK BIBLIOTEK I CZYTELNICTWA

W Warszawie odbyło się posiedzenie Państwowej Rady Bibliotecznej, poświęcone analizie opracowanego przez Bibliotekę Narodową programu rozwoju bibliotekarstwa polskiego do roku 1990.

Podczas narady poinformowano o decyzji ministra kultury i sztuki w sprawie ogłoszenia roku 1976 rokiem bibliotek i czytelnictwa.

ŁODZIANIN LAUREATEM

Laureatem dorocznej nagrody Krajowej Agencji Wydawniczej, ustanowionej przez Zarząd Główny RSW „Prasa-Książka-Ruch" dla młodych artystów plastyków za najlepszy plakat polityczny roku, został artysta plastyk Paweł Udorowiecki z Łodzi.

Nagrodę im. Tadeusza Trepkowskiego otrzymał on za plakat „30 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem w twórczości plastycznej".

WYSOKIE ODZNACZENIE POLSKIE DLA N. PSURCEWA

W siedzibie Ambasady PRL w Moskwie odbyła się uroczystość dekoracji Nikołaja Psurcewa — b. ministra łączności ZSRR — Komandoria z Gwiazdą Orderu Zasługi PRL. To wysokie odznaczenie Rada Państwa PRL przyznała N. Psurcewowi za jego wielki osobisty wkład w rekonstrukcję po zniszczeniach wojennych systemu łączności w naszym kraju oraz wszechstronną pomoc w rozwoju polskiej łączności w następnych latach.

MTP TROCHĘ INACZEJ

Program Międzynarodowych Targów Poznańskich będzie w bież. roku nieco zmieniony. Targi czerwcowe mają trwać od 6 do 17 czerwca, a więc zostaną przedłużone. Będą one miały charakter uniwersalny, znacznie szerszy będzie niż dotąd zakres prezentowanych towarów.

Oprócz MTP odbędą się w 1976 roku w Poznaniu międzynarodowe salony specjalistyczne. M. in. w dniach od 11 do 14 kwietnia zorganizowany zostanie po raz pierwszy na terenach targowych salon techniki medycznej „Salmed".

PRZEDSTAWICIELSTWO WSZECHZWIĄZKOWEJ AGENCJI PRAW AUTORSKICH W POLSCE

22 grudnia ub. roku rozpoczęło w Warszawie działalność stałe przedstawicielstwo Wszechzwiązkowej Agencji Praw Autorskich (WAAP). Głównym zadaniem agencji jest popularyzowanie dorobku radzieckiej myśli twórczej w świecie oraz prezentowanie społeczeństwu radzieckiemu najwartościowszych osiągnięć światowej nauki, kultury i sztuki.

ŚRODKI MASOWEGO PRZEKAZU W PROCESIE UMACNIANIA POKOJU

Obradująca w Paryżu międzynarodowa konferencja ekspertów UNESCO zaaprobowała projekt deklaracji o podstawowych zasadach wykorzystania środków masowej informacji do umocnienia pokoju, współpracy międzynarodowej, jak też walki z propagandą wojenną, rasizmem i apartheidem.

Projekt deklaracji przyjęto 41 głosami przeciwko 6 przy 3 wstrzymujących się. W głosowaniu nie wzięli udziału przedstawiciele 12 państw. Były to delegacje: Australii, Belgii, Danii, Francji, Holandii, Irlandii, Izraela, Kanady, RFN, USA, W. Brytanii i Włoch.

Projekt deklaracji musi jeszcze zatwierdzić konferencja generalna UNESCO, która zbierze się w październiku bież. roku w Nairobi.

TAJNE OPERACJE USA W ANGOLI

Prezydent Stanów Zjednoczonych Gerald Ford przyznał na konferencji prasowej w Waszyngtonie, że władze amerykańskie prowadzą tajne operacje w Angoli.

Rząd USA, według danych, jakie przedstawił senator Edward Kennedy, wyasygnował ok. 60 mln dolarów dla poparcia przeciwników legalnego rządu Angoli. Prasa podaje, że obecnie Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) domaga się 100 mln dolarów na tajne operacje w tym kraju.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU XI

ANDRZEJ BLAJER

PLAN SCHELLENBERGA

Klęska armii niemieckiej pod Stalingradem spowodowała utratę przez nią inicjatywy strategicznej. W okresie stycznia 1943 roku rozgromiono ogółem 50 dywizji wroga. Jednocześnie wojska radzieckie podjęły szereg skutecznych działań na innych odcinkach frontu wschodniego, przeprowadzono m.in. operację w rejonie Wielkich Łuków, Rżewa oraz Wiaźmy celem związania odwodów nieprzyjacielskich. Siły Frontu Południowo-Zachodniego i Południowego wyparły wroga z wielkiego łuku Donu opanowując Ługańsk i Rostów, zaś wojska Frontu Zakaukaskiego wyzwoliły północny Kaukaz przesuwając linię frontu o 500—600 km na zachód. W tym samym czasie na północy fronty — Leningradzki i Wołchowski przerwały blokadę Leningradu ustanawiając połączenie lądowe z oblężonym miastem. Również na centralnym odcinku frontu sytuacja wroga ulegała ciągłemu pogorszeniu. Wyzwolone zostały: obwód woroneski, rostowski, kurski, znaczna część Zagłębia Donieckiego, obwodu smoleńskiego, orłowskiego i charkowskiego.

Kampania zimowa 1942—43 kończyła się więc poważnym sukcesem wojsk Armii Radzieckiej. Linia frontu została przesunięta 600—700 km na zachód od Wołgi i Tereku, a straty wroga wyniosły 113 dywizji, tj. 43 procent ogółu jego sił zaangażowanych na wschodzie.

Po klęskach w kampanii zimowej przed III Rzeszą i jej sojusznikami zarysowała się realna perspektywa przegrania wojny. Powstała więc paląca konieczność przejęcia inicjatywy strategicznej przez armię niemiecką, fiasko w tym wypadku oznaczało bowiem frontalny odwrót pod naporem wojsk radzieckich wciąż rosnących w siłę.

W tej sytuacji w naczelnym dowództwie Wehrmachtu opracowano plan dużej operacji zaczepnej, w rezultacie której latem 1943 roku zamierzano okrążyć i zniszczyć wojska Frontu Centralnego i Woroneskiego, liczące blisko 90 dywizji a broniące się na tzw łuku kurskim. W przypadku powodzenia tej operacji Niemcy zamierzali wykonać gwałtowne uderzenie na tyły frontu radzieckiego w kierunku południowo-wschodnim i północno-wschodnim. I tu, podobnie jak w okresie bitwy pod Moskwą, Stalingradem oraz w pozostałych walkach kampanii zimowej 1942—43 z pomocą naczelnemu dowództwu Armii Radzieckiej przyszły meldunki wysyłane drogą radiową przez „Dorę" ze Szwajcarii. Informacje uzyskiwane za pośrednictwem „Lucie" od „Werthera", „Olgi" i ich przyjaciół z Berlina oddawały radzieckiemu sztabowi generalnemu bezcenne usługi. Niejednokrotnie właśnie dzięki nim można było we właściwym momencie rozpocząć skuteczne operacje zaczepne lub na czas przesunąć siły z rejonu będącego celem ataku przeciwnika tak, aby zaatakować go z kolei w najmniej spodziewanym miejscu. Teraz, w obliczu przygotowań Niemców do operacji w kampanii letniej 1943 roku szczegółowe informacje dotyczące ich planów mogły być więc na wagę przyszłego zwycięstwa. Toteż wszystkie radiostacje grupy „Dory" pracowały w tych warunkach praktycznie przez 20 godzin na dobę, aby nadążyć z przekazywaniem meldunków do Moskwy.

Tymczasem po drugiej stronie frontu kontrwywiad SD dwoił się i troił, aby zidentyfikować źródła przecieków kryjące się pod pseudonimami „Lucie", „Werther", „Olga", „Teddy", „Ferdinand", „Stefan", „Bill" i „Anna". Wiedziano już sporo, ciągle jednak za mało, aby można było przystąpić do jakiejś zdecydowanej akcji. Ewentualność rotacji w sztabach OKW, OKH i OKL nie wchodziła w grę, brak było bowiem doświadczonych oficerów sztabowych, którzy mogliby zastąpić usuniętych. Trzeba było więc działać inaczej. Szef kontrwywiadu SD, Walter Schellenberg, doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie na próżno podjął we wrześniu 1942 roku próbę nawiązania kontaktów z szefem służb wywiadowczych Szwajcarii, pułkownikiem Rogerem Massonem. Teraz jednak był już pewien, że ślady prowadzą do Szwajcarii. Jego intuicja mówiła mu, iż Masson musi coś wiedzieć o działającej na terenie jego kraju siatce wywiadowczej, bowiem wśród rozszyfrowanych meldunków była przecież informacja o współpracy z oficerami szwajcarskiego wywiadu. A może ci ludzie pracują także dla Massona? Czy wobec tego będzie chciał coś ujawnić? Adiutant Schellenberga, SS-Sturmbannführer Eggen utrzymywał wprawdzie regularne kontakty ze swymi szwajcarskimi przyjaciółmi, których nazwiska Schellenberg opatrzył pseudonimami: „Senner I" (Masson), „Senner II" (kpt. Meyer-Schwertenbach), „Senner III" (kpt. Paul Holzach), ale żaden z nich nie ujawnił jakiegokolwiek faktu związanego z przeciekiem informacji z Berlina do Szwajcarii.

Lecz **Schellenberg miał pewien plan.** Aby go jednak zrealizować musiał najpierw uzyskać zgodę swego szefa, tj. Reichsführera SS. 25 grudnia 1942 roku odbył więc z Himmlerem rozmowę w tej sprawie.

Heinrich Himmler dokładnie, punkt po punkcie, analizował przedstawione dossier, zaś Schellenberg w międzyczasie uważnie przypatrywał się twarzy swego zwierzchnika. Jego oczy patrzące spoza grubych szkieł były jeszcze bardziej okrągłe. Górna warga nieregularnie drgała w nerwowym tiku. Ramiona wydawały się być jeszcze bardziej pochylone niż zazwyczaj. Reichsführer SS nerwowo bawił się swym słynnym ołówkiem, którym dokonywał adnotacji na wszystkich raportach, jakie przechodziły przez jego ręce. Himmler zamyślił się: „Jest pan pewien, Schellenberg, że ten plan się powiedzie?" — „Biorę zań pełną odpowiedzialność". — „A czy jest pan całkowicie przekonany, że ta banda Canarisa i Becka nie jest zamieszana w całą tę sprawę?" — „Całkowicie, Herr Reichsführer. Możemy nadal kontynuować z nimi tę grę".

Właściwa gra dopiero się rozpoczynała. Wydobycie od Szwajcarów informacji o „przeciekach" oznaczało dla Schellenberga konieczność posiadania w zanadrzu mocnej karty. Miał nią być właśnie ów plan, przedstawiony Himmlerowi do akceptacji — plan dokonania aneksji Szwajcarii. Aby został zaakceptowany przez Hitlera wymagał oczywiście argumentacji bardziej przekonywającej niż obecność na terytorium tego neutralnego kraju agentów przechwytujących meldunki pochodzące z naczelnych dowództw armii niemieckiej. A jeśli byłby to spisek na życie führera, oczywiście zorganizowany przez wysoko postawione osobistości z armii? Tak, spisek generałów z OKW tłumaczyłby wszystko, a zarazem pozwoliłby pokonać ewentualne opory ze strony czołowych palladynów hitlerowskich: Goeringa, Goebbelsa, Rosenberga i Bormanna. Sytuacja na froncie wschodnim była wówczas dość trudna, wszystkie rezerwy były w tym czasie na wagę złota, ale przecież planu nie trzeba było wcale wprowadzać w czyn. Miał on być tylko elementem szantażu. Aby został uznany za wiarygodny wystarczało przesunąć w rejon granicy szwajcarskiej całkiem niewielkie siły np. dywizje strzelców alpejskich gen. Dietla. To powinno przekonać Szwajcarów o powadze sytuacji i zmusić do zaaprobowania oferty Schellenberga — informacje o berlińskich agentach w zamian za zaniechanie przygotowań do aneksji.

Himmler nie krył zadowolenia z pomysłowości swego podwładnego. Plan przypadł mu do gustu, pod względem przebiegłości Schellenberg niczym nie ustępował Reinhardowi Heydrichowi.

W tydzień po owym spotkaniu Heinrich Himmler rozpoczął składanie wizyt w kwaterach głównych Hitlera, Goeringa, Goebbelsa i Bormanna. Z tajemniczą miną przekonywał wszystkich o konieczności podjęcia przez OKW inwazji na Konfederację. Wiedział doskonale, że ustosunkowanie generałów do tej propozycji będzie zdecydowanie negatywne, ale oni przecież nie orientują się zupełnie w politycznym aspekcie planu.

Hitler długo zastanawiał się nad projektem Himmlera. Od razu wyczuł w tym jakąś intrygę uknutą przez szefa SS. Ale dlaczego akurat Szwajcaria? W styczniu 1943 roku, kiedy VI armia niemiecka została rozbita pod Stalingradem, kiedy sytuacja na frontach wciąż ulegała pogorszeniu, Hitler miał inne problemy na głowie niż zajmowanie się jakimś mało znaczącym państewkiem. Ale skoro Himmler sądzi, że to takie ważne — widać ma swoje racje. I führer zaaprobował plan.

Nazajutrz o świcie odpowiedni rozkaz przekazano do siedziby OKW w Zossen.

Była sobota, 30 stycznia 1943 roku. Dochodziła godzina 9, gdy w willi Stutz, siedzibie „Büro Ha", położonej obecnie w Kastanienbaum, małej miejscowości pod Lucerną, pojawił się Rudolf Rössler. Spieszył się i robił wrażenie bardzo zdenerwowanego. W chwilę później był już w gabinecie kapitana Hausmanna. Tam wyjaśniła się przyczyna jego zdenerwowania. Tej nocy otrzymał bowiem od „Werthera" radiotelegram, w którym znajdowało się alarmujące ostrzeżenie o zbliżającej się aneksji Szwajcarii. Z tekstu wynikało, że OKW podjęło przygotowania do operacji mającej na celu zaatakowanie terytorium Konfederacji. Wiadomość ta, która Hausmann przekazał natychmiast gen. Guisanowi i szefowi wywiadu, pułkownikowi Massonowi, była dla nich prawdziwym wstrzasem. Tego najmniej w tym momencie oczekiwali. Rössler natychmiast skontaktował się z „Taylorem" (Christianem Schneiderem), a ten z kolei przekazał odpowiedni meldunek grupie „Dory".

Tymczasem **w odległym o prawie 800 km Berlinie Walter Schellenberg niecierpliwie oczekiwał wiadomości** z centrali deszyfrującej depesze wysyłane z terenu Szwajcarii do Moskwy. Wiadomość o planowanym ataku powinna już dotrzeć do odpowiednich ludzi w tym kraju. Powinna postawić na nogi wszystkich szpiegów. Najważniejsze było jednak, czy dotarła do właściwego adresata — sztabu generalnego armii szwajcarskiej. Wówczas nie byłoby już żadnych wątpliwości co do tego, że między berlińskimi informatorami, wywiadem szwajcarskim i grupą „Dory" jest wspólna nić. Pilnie obserwowano więc granicę ze Szwajcarią w poszukiwaniu oznak pogotowia w jej armii. Niebawem niemiecka służba graniczna oraz agenci znajdujący się na terytorium Konfederacji zaczęli donosić o dziwnych jak na tę porę roku ruchach wojsk szwajcarskich. Dokonywały one przegrupowań i zajmowały pozycje obronne w górach, nad granicą z Niemcami i Austrią. Wszystko to, zdaniem obserwatorów nie miało jednak charakteru manewrów.

Schellenberg był więc górą. Jego przypuszczenia odnośnie powiązań berlińskich źródeł informacji z agendami wywiadu szwajcarskiego całkowicie się potwierdzały. SS-Brigadeführer promieniał. Teraz nadchodził właściwy moment do wzięcia sprawy we własne ręce. Poprzez SS-Sturmbannführera Hansa Eggena nawiązał kontakt z pułkownikiem Massonem. Tym razem nie chodziło o zwykłą wymianę informacji, a o wyznaczenie terminu i miejsca kolejnego spotkania obu szefów wywiadów. Uzgodniono, że nastąpi ono na początku marca 1943 roku. **Schellenberg triumfował, mógł być pewien powodzenia swej misji, atuty jakie miał w ręku nie pozwalały mu w to wątpić ani przez chwilę.**

STUDENCI

KOMU TEATR?

Od pewnego czasu mówi się głośno o kryzysie teatru studenckiego w Łodzi. Dyskusja wykroczyła już poza środowisko osób bezpośrednio zainteresowanych, a znajduje swój oddźwięk na spotkaniach oficjalnych i na łamach prasy. Główne symptomy tego zjawiska to zanik teatrów o własnym ciekawym obliczu ideowo-artystycznym, brak wartościowych, znaczących premier oraz wewnętrzne skłócenie samego środowiska teatralnego.

Czy teatr studencki jest sprawą naprawdę istotną i ważną dla własnego środowiska, dla kulturalnego pejzażu miasta? Na pewno tak. Przede wszystkim dlatego, że jest on specyficzną syntezą wyrażania i kształtowania postaw młodego pokolenia. Jest ośrodkiem poszukiwań młodych dla samookreślenia i stosunku do rzeczywistości. Tu właśnie, w teatrze studenckim, padają pytania ważne, istotne tu poszukuje się na nie odpowiedzi. Przez wielokierunkowość podejmowanych działań: aktorstwo, muzyka, poezja, plastyka itd. teatr studencki ma szansę stać się swoistym centrum intelektualnym i artystycznym całego środowiska akademickiego.

Czy mamy w Łodzi do czynienia ze studenckim ruchem teatralnym? Statystycznie rzecz biorąc problem wygląda następująco: mamy siedem teatrów studenckich — Teatr 77, Pstrąg, Cytryna, Akme, Retorta, Acheron, Extant. W minionym roku akademickim odbyło się sześć premier. Pod względem ilości możemy się równać z takimi ośrodkami jak Kraków czy Warszawa. Jeżeli natomiast zapytamy o poziom, o rangę artystyczną tych zespołów, to odpowiedź jest jedna: nie ma w Łodzi teatralnego ruchu studenckiego. Istnieje w Łodzi tylko jeden teatr — Teatr 77, posiadający własne oblicze ideowo artystyczne, własny dorobek i jest „towarem" eksportowym naszego środowiska na zewnątrz. I co jest jeszcze niezmiernie ważne, posiada własną kontynuowaną od kilku lat drogę poszukiwań.

A Pstrąg, a Cytryna?

Od kilku już lat Pstrąg i Cytryna to mity, które nie mają już żadnego pokrycia w rzeczywistości. Kierownicy tych teatrów i same zespoły zmieniają się tak szybko, że o jakiejkolwiek kontynuacji poszukiwań nie może być nawet mowy. Teatry studenckie w Łodzi w ogóle są efemerydą. Pojawiają się jak meteory i jak meteory gasną teatry jednego spektaklu.

Czym tłumaczyć taki stan rzeczy? Odpowiedzi jest co najmniej kilka. Po pierwsze — brak silnych indywidualności skupiających wokół siebie cały zespół. Po drugie — udział w pracach teatr traktuje jako jeszcze jeden dobrowolny, ale obowiązek — jak udział w kolejnym, szkolnym kółku zainteresowań, obciążającym i tak szczupły budżet czasu wolnego studenta.

Gdzie tu miejsce na legendarną już dzisiaj pasję robienia teatru, gdzie czas na tworzenie spektaklu, który miałby większe ambicje na poszukiwanie własnego oblicza. Programy ideowo-artystyczne teatrów są więc ciągle w fazie konstytuowania — czyli praktycznie ich nie ma. Ale nawet ta wstępna faza budzi już zastrzeżenia i tak na przykład teatr Pstrąg zgłosił na ten rok następujący program działania:

Studio Aktorskie — zajmujące się sprawami warsztatowymi, dykcją, gest, ruch itd.,

Działalność oświatowa — organizowanie imprez rocznicowych i docieranie z nimi do różnych środowisk,

Spotkania dyskusyjne z różnymi ludźmi, które mają za zadanie wyłonić przyszły spektakl.

Nie jestem przekonany czy teatr studencki ma wyręczać w działaniu inne agendy organizacji. Czy sytuacja małego domu kultury sprzyja koncentracji, czy spotkania dyskusyjne wyłonią w przyszłości ciekawy spektakl. Ale trudno dyskutować z programem — zobaczymy za rok.

Bez atmosfery życzliwości, wzajemnej pomocy, poszanowania cudzego wysiłku i przyjacielskich stosunków nigdy nie będzie autentycznie twórczego środowiska. Dyrektor Teatru 77—Z. Hejduk wspominał np., że jeszcze kilka lat temu, na premierach spotykali się wszyscy członkowie teatrów studenckich, wręczano sobie kwiaty. Mieli różne programy, ale łączyła ich wspólna pasja — robienie teatru. Dziś nikt już o tym zwyczaju nie pamięta. Dziś ważne są układy w organizacji studenckiej festiwale, wyjazdy zagraniczne, nagrody.

A co dalej z teatrem studenckim?

MAREK MILLER

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

CHEMIA

Stwierdzenie, że świat jest kolorowy nie jest odkryciem. Jest tylko powtórzeniem powszechnie znanej prawdy. Ale tę prawdę trzeba było wielekroć powtarzać, aby dotarła ona do producentów towarów powszechnego użytku. Swego czasu sądzono bowiem, że świat jest szary, a kolory są... podejrzane. Dziś nikogo nie rażą kolorowe meble, kolorowe męskie ubrania, koszule i krawaty, nie mówiąc już o kolorowych ubraniach kobiet. Jeszcze tylko w telewizji świat jest czarno-biały, ale kogo nie stać na kolorowy telewizor, kupuje sobie aparat w... kolorowej obudowie. O tym, jaki obraz „idzie" w kolorze można dowiedzieć się z gazetowych zapowiedzi i popuścić wodze swojej fantazji. Maluczko — jednak — a dojdziemy do szerokiego upowszechnienia kolorowej telewizji.

Nie o kolorowej telewizji mam jednakże zamiar pisać, ale o kolorach tego wszystkiego, co na sobie nosimy, w czym chodzimy i co spożywamy. A pretekstem do tego stało się SYMPOZJUM zorganizowane w Łodzi przez „INTERCHIM". Temat: „Barwniki stosowane do produkcji towarów powszechnego użytku". Czas: 13—20 grudzień 1975 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ŚWIAT jest KOLOROWY

Fot. Archiwum

Najpierw kilka słów o samej instytucji „INTERCHIM".

„ENCYKLOPEDIA ORGANIZACJI MIĘDZYNARODOWYCH:: podaje: „INTERCHIM — MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA BRANŻOWEJ WSPÓŁPRACY W ZAKRESIE MAŁOTONAŻOWEJ PRODUKCJI CHEMICZNEJ (...) utworzona została na podstawie umowy podpisanej 17. VII. 1969 r. w Moskwie przez następujące państwa socjalistyczne: Bułgarię, CSRS, NRD, Polskę, Węgry i ZSRR. Działalność rozpoczęła 1. I. 1970 roku. W kwietniu tegoż roku do „Interchimu" przyłączyła się Rumunia. W pracach „Interchimu" biorą udział obserwatorzy z Jugosławii. Jest organizacją wyspecjalizowaną, działającą w ramach RWPG. (...)

„Interchim" został utworzony w celu usprawnienia i intensyfikacji współpracy w dziedzinie małotonażowych wyrobów przemysłu chemicznego. Zajmuje się koordynacją i kooperacją produkcji tych artykułów chemicznych, które używane są w niewielkich ilościach i których samodzielna produkcja przez poszczególne kraje członkowskie byłaby nierentowna. (...)

Języki oficjalne — języki wszystkich państw członkowskich. Język roboczy — rosyjski. Siedziba „Interchimu" znajduje się w Halle (NRD)".

We współczesnym świecie międzynarodowy podział pracy staje się sprawą coraz bardziej niezbędną. **Po pierwsze** — dlatego, że w niektórych dziedzinach wytwórczości produkowanie niewielkich ilości towarów staje się nieopłacalne. **Po drugie** — dlatego, że wymiana towarów pomiędzy różnymi partnerami wpływa na systematyczne podnoszenie ich jakości. **Po trzecie** — dlatego, że nie każdy kraj może pozwolić sobie na produkowanie wszystkiego. A zatem podstawowym wymaganiem współczesności staje się specjalizacja.

W ostatnich latach dokonaliśmy znacznego postępu w modernizacji przemysłu lekkiego. Ale przemysł lekki nie może sprawnie funkcjonować bez... barwników. I właśnie jednym z zadań **„INTERCHIMU"** jest dostarczanie przemysłom lekkim krajów członkowskich niezbędnych im, wysokiej jakości barwników.

Tu przypominam powszechnie znaną prawdę: **„ŚWIAT JEST KOLOROWY"**. Takim go stworzyła natura, a człowiek nie chce rezygnować z naśladowania natury. Ma on ambicję poprawiania natury. Chce, aby świat tworzony przez niego był bardziej kolorowy niż ten, jaki stworzyła natura. Ale bezkarnie poprawiać natury nie można. Można tylko uczyć się, jak jej prawa z pożytkiem wykorzystywać dla ludzi i w ich interesie.

BARWA — ujmując rzecz najprościej — jest wrażeniem wzrokowym wywołanym przez światło, jest właściwością zmysłu wzroku. Ludzie zaaferowani swoimi powszednimi sprawami nauczyli się pewnej podstawowej prawdy: że na świecie istnieje siedem barw podstawowych: **czerwona, pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska, błękitna i fioletowa.** Ale ile jest odcieni pośrednich?

Spójrzcie tylko latem na las. Ile jest odcieni zieleni? A spójrzcie na ten sam las jesienią. Ileż tam jest kolorów, ileż ich odcieni? Czy człowiek w swojej przemysłowej twórczości ma zrezygnować z tej wielkiej ilości odcieni powszechnie występujących barw? Nie, tego nikt nie chciałby. Ale, aby to się stało możliwe, aby przemysł mógł dawać nam bajecznie kolorowe produkty, musi z pomocą mu przyjść chemia. Chemia, która wytwarza barwniki.

Barwimy właściwie wszystko: włókna naturalne i chemiczne, tworzywa sztuczne, skóry, artykuły spożywcze. Produkujemy farby, którymi pokrywa się metale, drzewo, cement. Barwi się też artykuły spożywcze: pepsi-colę, lemoniadę, oranżadę, leguminy, budynie, galaretki, wódki, czekolady, kremy, cukierki. W lublańskiej restauracji „Słoń" jadłem niebieski chleb, którego tajemnicę pieczenia posiadała tylko ta restauracja. Przysięgam, że chleb ten był wyjątkowo smaczny i wcale mi nie przeszkadzał jego kolor. Wręcz przeciwnie. Bardzo często jedząc i pijąc nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, jakich barwników użyto do produkcji artykułów spożywczych. Jedno jest tylko pewne: są to barwniki nieszkodliwe dla zdrowia. Pod tym względem polska służba zdrowia stawia przed chemią wyjątkowo wysokie wymagania. Producenci artykułów spożywczych twierdzą nawet, że nazbyt wysokie. Ale to tylko wychodzi nam na korzyść. Nam — konsumentom. Barwi się też artykuły kosmetyczne: mydła, szminki, kremy, lakiery do paznokci.

Zapotrzebowanie na barwniki — jak widać tylko z tych nielicznych przykładów — jest ogromne. Polski przemysł chemiczny nie byłby sam w stanie sprostać temu zapotrzebowaniu. Dlatego też Polska wystąpiła z inicjatywą powołania międzynarodowej organizacji, która przyczyniłaby się do rozwoju międzynarodowej współpracy przy produkcji barwników. Tak narodził się **„INTERCHIM".**

„INTERCHIM" zajmuje się koordynacją i rozwojem produkcji barwników, środków pomocniczych i środków ochrony roślin. W Łodzi, w czasie **„INTERCHIM 75"**, pokazano tylko efekty stosowania barwników przez różne kraje, wchodzące w skład **„INTERCHIMU"**. Organizacja ta zajmuje się też koordynacją badań naukowych, dzięki którym mogą i powinny powstawać nowe barwniki.

Dzięki działalności **„INTERCHIMU"** w krajach, wchodzących w skład tej organizacji, w latach 1976 — 1980 wybuduje się nowe fabryki wytwarzające barwniki, które będą mogły dać przeszło 40 tys. ton barwników i około 15 tys. ton półproduktów niezbędnych do wytwarzania barwników. W 1980 roku około 55 proc. barwników wyprodukowanych w nowych fabrykach i około 60 proc. półproduktów dotrze do odbiorców w krajach należących do **„INTERCHIMU".**

Jakie korzyści osiągnięto do tej pory? Odpowiedzią na to pytanie niech będzie jeden tylko przykład. Dzięki koordynacji badań naukowych, prowadzonej przez **„INTERCHIM"**, w latach 1971—1974 weszło do produkcji 184 nowych barwników, dzięki czemu produkcja barwników w krajach należących do **„INTERCHIMU"** zwiększyła się o 7,4 tys. ton.

W **NRD** jednym z producentów barwników jest **Kombinat Chemiczny BITTERFELD.** Produkuje on między innymi półprodukty dla przemysłu barwnikarskiego, barwniki dla przemysłu celulozowego, papierniczego, włókienniczego, skórzanego, tworzyw sztucznych, poligraficznego, gumowego, spożywczego. Kombinat ten produkuje też środki dla ochrony roślin.

W Polsce natomiast największym producentem barwników są **ZAKŁADY PRZEMYSŁU BARWNIKARSKIEGO „BORUTA" W ZGIERZU.** Produkują one nie tylko barwniki dla przemysłu włókienniczego, ale są też największym w krajach **RWPG** producentem barwników dla przemysłu spożywczego.

Producentem barwników są też **ZAKŁADY CHEMICZNE „ZACHEM"** w Bydgoszczy, które zajmują się tym obok różnorodnej produkcji chemicznej. Wytwarzaniem barwników zajmują się też **ZAKŁADY FARMACEUTYCZNE „POLFA" W PABIANICACH,** specjalizujące się w jednym z oddziałów w produkcji barwników dla przemysłu skórzanego.

Producentem barwników są też **ZAKŁADY PRZEMYSŁU BARWNIKARSKIEGO W WOLI KRZYSZTOPORSKIEJ.** Tu trzeba jednakże wyjaśnić, że produkują one pigmenty organiczne, które służą do barwienia tworzyw sztucznych, farb i lakierów oraz farb poligraficznych i gumy. Pigmenty te są nierozpuszczalne i dają się rozprowadzać w masach plastycznych i innych chemicznych tworzywach, nadając im pożądany kolor.

Największym odbiorcą barwników w Polsce jest przemysł włókienniczy. Odbiera on około 80 proc. produkcji barwników.

Jaki był cel zorganizowanej w Łodzi przez **„INTERCHIM"** wystawy? Producenci z krajów wchodzących w skład tej organizacji pragnęli pokazać odbiorcom swoje możliwości, pragnęli pokazać **JAK KOLOROWYM MOŻNA UCZYNIĆ ŚWIAT.** Nie mają oni bezpośredniego wpływu na końcowy produkt tego, co wytwarza przemysł włókienniczy, gumowy, skórzany, poligrafia, przemysł papierniczy, spożywczy i inne, nie decydują o jakości wyrobów tych przemysłów, ale mogą mieć wpływ na kolor tych wyrobów, a to przecież też decyduje o ich jakości. Byłem na wystawie **„INTERCHIMU"** i chociaż nie było tam rewelacji, to mogę spokojnie zapewnić, że było wiele interesujących propozycji. Myślę, że z tych propozycji skorzystają wytwórcy.

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że świat jest naprawdę kolorowy, ale jeśli powtarzam tę banalną już prawdę, to nie czynię tego bez powodu. Fascynuje nas często kolorowość towarów sprowadzanych z zagranicy i smuci kolorystyczne ubóstwo naszych towarów. Często dostajemy do rąk towary w kolorach brudnych, niechlujnie ubarwione, zamazane. Najczęściej dotyczy to naszych opakowań, chociaż i w przemyśle włókienniczym z kolorami też nie jest najlepiej, aczkolwiek postęp jest tu widoczny. Najsmutniej pod względem kolorów prezentuje się — niestety — poligrafia. Nie nadążamy jeszcze choćby za naszymi zachodnimi sąsiadami.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z naszych opóźnień i wszystko czynimy, aby skrócić dystans, jaki nas dzieli jeszcze od innych. Zrobiliśmy w tej dziedzinie sporo. W 1947 roku Polskę od krajów wysoko rozwiniętych dzieliło około 20 lat różnicy. Tamte kraje wysunęły się do przodu o 20 lat, a my dopiero byliśmy na takim etapie rozwoju gospodarczego i technicznego, na jakim one były przed 20 laty. W 1970 roku od tych krajów dzieliło nas już tylko około 10 lat. Tyle lat mieliśmy jeszcze opóźnienia. W 1975 roku — dystans ten zmniejszyliśmy o rok albo dwa i pozostało nam jeszcze 8—9 lat różnicy. Jeśli przez 23 lata naszych wysiłków skróciliśmy ten dystans o około 10 lat, to w ciągu pięciu lat dokonaliśmy dalszego poważnego skoku. Potrafimy zatem szybko działać, potrafimy szybko iść do przodu, doganiać innych. Nie mamy zamiaru zatrzymywać się w tym wyścigu współczesności.

Warto byłoby zdać sobie przy tym sprawę, że w tym dziele doganiania innych, wielką pomoc stanowią te organizacje, które przyczyniają się do rozwijania specjalizacji, do podziału pracy w skali międzynarodowej, które pozwalają korzystać z osiągnięć innych i pozwalają innym korzystać z naszych. Jedną z takich organizacji jest **„INTERCHIM".**

Polska w różnych dziedzinach rozwija międzynarodową współpracę: w motoryzacji, budowie maszyn, chemii. Jednakże w całości polskiego eksportu udział produkcji specjalistycznej nie przekracza 15 proc., co jest ciągle mało jak na nasze możliwości i potrzeby. Specjalizacja w skali międzynarodowej, współpraca gospodarcza z krajami socjalistycznymi, wymiana doświadczeń i wspólnie prowadzone badania naukowe mają niepośledni wpływ na rozwój naszej gospodarki. W konsekwencji decydują one — w znacznym stopniu — o rozwiązywaniu naszych aktualnych problemów gospodarczych. Dziś żaden kraj na świecie nie może nadążać za postępem, jeśli nie będzie szeroko współpracował z innymi, jeśli nie będzie korzystał z doświadczeń współpartnerów z pożytkiem dla siebie i z pożytkiem dla innych. Polska w swojej polityce gospodarczej zakłada dalsze rozwijanie międzynarodowej współpracy gospodarczej, technicznej, naukowej.

NIE TYLKO HISTORIA

Listy Józefa Blizińskiego

Wydawanie drukiem listów pisarzy i uczonych, choć niekiedy się na nie sarka, ma przecież doniosły sens kulturowy. Każdy, kto zetknął się z badaniami historycznymi czy historyczno-literackimi wie, jak trudno dotrzeć do rozproszonej korespondencji, jak wiele z istniejących niegdyś listów bezpowrotnie zaginęło, jak doniosłe mają one znaczenie nie tylko dla poznania osoby ich autora, ale dla środowiska, w którym żył on i działał. O ileż uboższa byłaby nasza wiedza, gdybyśmy nie dysponowali porządnie wydanymi zespołami listów Adama Naruszewicza, Stanisława Trembeckiego czy Ignacego Krasickiego! O ileż mniej wiedzielibyśmy o życiu, twórczości naukowej i żywej działalności społecznej i politycznej Joachima Lelewela, gdyby nie okoliczność, iż jeszcze przed wojną, kiedy istniały zbiory rapperswilskie, Helena Więckowska zdołała zebrać zasadniczy zrąb listów emigracyjnych wielkiego polskiego historyka? Nic więc dziwnego, że nad wydaniem korespondencji wybitnych pisarzy i uczonych pracuje dziś wielu badaczy. Od lat mówi się o przygotowaniach do wydania listów Stefana Żeromskiego, ukazały się listy Adolfa Dygasińskiego, oczekujemy suplementów do ogłoszonych już listów Cypriana Norwida i tak dalej i dalej.

Aleksander Żyga zajął się epistolografią postaci raczej drugoplanowej, w porównaniu z „wielkimi" naszej literatury, mianowicie listami Józefa Blizińskiego, pisarza i dramaturga sprzed wieku, którego utwory wciąż jeszcze goszczą na naszych scenach, spotykając się z życzliwym przyjęciem publiczności. Listy J. Blizińskiego doczekały się wydania nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego (1975). Nie jest ich wiele, zaledwie nieco ponad dwieście. Miejmy jednak nadzieję, że tak jak w przypadku innych korespondencji, i tym razem, po ukazaniu się tej edycji, pojawią się jeszcze nowe nieznane listy dramatopisarza, które uzupełnią edycję A. Żygi. Nasze zbiory archiwalne i biblioteczne nie są znów tak dobrze uporządkowane, żeby nie można w nich było znaleźć nieznanych listów ważnych nieraz postaci, poza tym istnieją liczne zbiory zagraniczne. Ale już to, co posiadamy dzięki pracy wydawcy, jest tor wiele.

A. Żyga w obszernej przedmowie charakteryzuje zawartość ogłoszonych przez siebie listów, pokazuje w jakiej mierze rozszerzyły one naszą wiedzę o pisarzu. Nie myślę tego powtarzać: są to sprawy istotne, dla mnie jednak, jako dla historyka, stosunkowo mało zainteresowanego twórczością J. Blizińskiego, ważniejsze są sprawy inne: sprawy środowiska, sprawy pasji, zainteresowań i poszukiwań intelektualnych dramatopisarza i ludzi, z którymi utrzymywał on korespondencyjne kontakty. Boć przecież wśród korespondentów J. Blizińskiego znalazły się wcale ciekawe i ważne postaci. Jest wśród nich Józef Ignacy Kraszewski i etnograf Oskar Kolberg, jest historyk i pisarz Kazimierz Władysław Wójcicki, jest Kazimierz Bartoszewicz, syn wybitnego historyka Juliana, sam literat i publicysta, a po trosze i historyk, jest wreszcie Mieczysław Pawlikowski. Są wreszcie w listach ślady pasji i zainteresowań intelektualnych, nie tylko samego J. Blizińskiego, którym nie zawsze dane było zaowocować w postaci wykończonych dzieł. W 1877 r. dramatopisarz zwracał się do J. I. Kraszewskiego:

„Od lat około 20 zbierałem rozmaite materiały tak do archeologii, jak etnografii Kujaw, okolicy, w której mieszkałem od dzieciństwa. Chciałem zrazu zrobić z tego coś jakby historię tej prowincji, ale wprędce przekonałem się, że to nie na moje siły — do stanowiska historyka, chociażby nawet najniższego stopnia, nie dorosłem — więc jeżeli się da i doczekam, pragnę to ogłosić jako materiały archeologiczne, bo są tam ciekawe rzeczy".

Śladów tej historycznej pasji J. Blizińskiego jest zresztą o wiele więcej. Bodaj najszerzej opowiadał o swych poszukiwaniach O. Kolbergowi, który miał dla nich pełne zrozumienie i najpewniej zachęcał pisarza do ich kontynuowania. W 1867 r. J. Biziński donosił więc O. Kolbergowi z nie skrywaną radością, że udało mu się zdobyć jakieś cenne stare dokumenty.

„Ja tu pływam w oceanie rozkoszy — trafiłem bowiem na minę w postaci oryginalnych dokumentów z XIV, XV i XVI w. nikomu nie znanych i naturalnie nigdzie nie drukowanych".

Pierwszy z nich, był to przywilej, wydany przez króla Władysława Jagiełłę dla mieszczan Radziejowa z 1409 r., drugi pochodził z 1463 r., trzeci z 1466, następny z 1504, wśród tych dokumentów był i pergamin z 1394 r. Dramatopisarz zamierzał, jak donosił o tym O. Kolbergowi opublikować dokumenty drukiem:

„Otóż nie poprzestając na korzyści, jaką ja sam odnoszę w moich poszukiwaniach nad historią Kujaw, mocno postanowiłem wydać te dokumenta dla ogólniejszego użytku w formie dyplomatariusza"

Czy jednak J. Biziński je w ogóle opublikował — tego nie udało się ustalić wydawcy korespondencji.

Nie jedyna to nie rozwiązana zagadka, którą nasunęła lektura listów autora „Pana Damazego, komedii konkursowej w czterech aktach". Z kart listów wyłania się postać dramatopisarza bogatsza, niżby można było sądzić, zaś środowisko, w którym żył i działał, odsłania wciąż mało znane realia z życia naszych twórców kultury z drugiej połowy ubiegłego stulecia. Dla historii polskiej kultury edycja listów J. Blizińskiego, dokonana przez A. Żygę, ma duże znaczenie.

LEKTOR

LITERATURA

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

WIERSZE

* ✩ *

Powiadają: przeszła sama siebie
A tu ona w bólu się zatraca
A tu ona po nocach krzyczy
A tu ona do siebie chce wracać

W ostrym słońcu ona i po ciemku
wielkiej prawdy szuka bez szans
W każdym kłamstwie jest jej zwycięstwo
Każda prawda jest jednym z jej kłamstw

Mówi szeptem gdy chciałaby krzyczeć
Krzyczy kiedy chciałaby tańczyć
I przy winie odmawia różańce
I w kościele przyszłe zmarszczki liczy

Na bezsenność zna gorzkie zioła
Ona ze snu w sen uparcie biegnie
Aby siebie po imieniu zawołać
By do siebie przez siebie się przedrzeć

Ona śmieje się by bili brawo
Ona płacze więc niech jej klaszczą
Tylko we śnie ma znowu warkocz
wśród wysokiej świecący trawy

Powiadają: przeszła sama siebie
A tu ona w bólu się zatraca
A tu ona po nocach krzyczy
A tu głupia do siebie chce wracać

* ✩ *

Buntujemy się lecz bunt nic niewarty
Czas już zacząć przegrywać młodość
Pies puszysty biega po parku
by puszysty pochwycić ogon

Palto wiatrem podszyte Wiatr śpiewa
o owocach w ciepłych krajach wąchanych
Pies radośnie zwiędłe liście wącha
A ja w górę znów targam kamień

Teraz jestem o łut szczęścia starsza
Czas już zacząć przegrywać młodość
W oko W klipę W znaczone karty
Goniąc szczęście jak pies goni ogon

I pod górę znów kamień targam
Spada kamień Targam wciąż od nowa
Tylko pies skomli i o szczęście prosi
mnie — swego zmęczonego wątpiącego boga

* ✩ *

Huczą śniegi nad moją młodością
Lecą śniegi nad moim warkoczem
Listopady przyszły i grudnie
Suchą pięścią walą do okien

Nad młodością moją kurzawa
Nad warkoczem moim śnieżna zamieć
Jakże wpuścić was mili do domu
skoro ból i mróz przyjdą z wami

Wielkie śniegi nad moim snem
A ja we śnie nie ubrana i bosa
Sznury wiatrów spętały mi kolana
Wstążki wiatrów wieją w warkoczach

Wielka zima nad moją młodością
I szalony karnawał tej zimy
Rozstaliśmy się przecież z rozpaczą
I z rozpaczą się dziś spotkaliśmy

Mróz na szybie napisał akrostych
Twoje imię oddechem ścieram
I choć tak jest jakby ktoś z nas umierał
będzie wiosna nad mą dojrzałością

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

SCENY Z ŻYCIA PISARZA

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Dzień był upalny. Na gałęziach kasztanów ćwierkały hałaśliwe wróble. Słoneczna pogoda. Przez otwarte okno wpływał do gabinetu zapach traw i krzewów. Światło słoneczne przesiane przez krzaki jaśminów i bzów rosnących za oknami rozpryskiwało się o mur z książek zestawionych ściśle jedna przy drugiej na półkach biblioteki. Na wyfroterowanej posadzce kładły się długie prostokąty odblasków barwy miodu. Nie była to aura, jaką można mieć mieszkając na wsi, gdzie oddychasz powietrzem przesyconym aromatycznym zapachem lasu lub łąki albo wonią żyta dojrzewającego w upale tuż nad brzegiem wiejskiej drogi. Skoro jednak taka sielanka jest nam niedostępna, cieszmy się swoim ogródkiem. Pomian cieszył się swoim ogródkiem i samotnością. Zaobserwował, że przypadki wyższej sprawności pisarskiej są łaską losu i nawiedzają go nieraz ze zmianą pogody, w czasie rozbudowującego się wyżu atmosferycznego. Wyż azorski przynosił lepsze samopoczucie, inwencję i gotowość do pisania. Czyste niebo, powiew wiatru, który poruszał łagodnie wzdętymi firankami, cisza — wszystko usposabiało dobrze i zachęcało do wzięcia za pióro. Nie będzie musiał zżymać się na białą kartkę papieru czekającą na biurku, kartkę, która wzbudzała niechęć przed koniecznością zadawania sobie gwałtu i wyciskania z wyobraźni wymęczonych scen i obrazów powieściowych. Wiedział z góry, co jest w powieści do zrobienia doznawał uczucia koncentracji i presji nieprzymuszonej woli, dyktującej spontanicznie słowa, jakie powinny być wypowiedziane w powieści przez Medeę i jej męża Jazona w osobach Matyldy Albińskiej i jej męża Szczepana. Postanowił prowadzić powieść tak, żeby perspektywa mityczna nadawała losom Albińskich szerszy zasięg i wymiar, odwieczne znaczenie. Żeby zasugerować czytelnikowi, że podobna historia mogła się zdarzyć pod każdym stopniem wysokości i szerokości geograficznej, zawsze i wszędzie, przed wiekami i dzisiaj, dzięki czemu konflikt nabiera głębi, charakateru symbolicznego i uniwersalnego, podobnie jak mord na osobie brygadzisty w mieszkaniu krawcowej, kiedy odmowa wypicia i nawoływanie do wstrzemięźliwości przywołuje przed oczy obraz bachantek w orszaku Dionizosa rozszarpujących obojętnych widzów, uchylających się od udziału w bachanalii.

Wiedział, że powinien zaraz, bez zwłoki zasiąść do pisania i wykorzystać szansę, która — jeżeli ją przeoczy — nie powtórzy się ani dziś, ani jutro. Doświadczenie mówiło, że rozbudzona wyobraźnia będzie w czasie pisania podsuwała nowe obrazy i pomysły i nieprzewidziane rozwiązania złożonych problemów. Tak było zawsze, gdy zabierał się do roboty z autentyczną chęcią wypowiedzenia się, bez narzuconego sobie przymusu i ze świadomością, że nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Teresa była na sesji naukowej w Instytucie. Wojtek pojechał na rowerze do Zagórza pod Ostrogardem do kolegi. Paulina poszła na majowe nabożeństwo. W wyciszonym mieszkaniu przygotowywał się do pracy nad „Medeą". Za chwilę zasiądzie do biurka. Telefon wyłączony. Fetysz szatanek na biurku. Można będzie popracować parę godzin bez przeszkód.

Pokazało się jednak, że istniała nieprzewidziana przeszkoda. Po drodze do biurka spojrzał na fotografię Wojtka wiszącą nad tapczanem. Wojtek miał długą twarz z wydatną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi. W ostatnich tygodniach zmizerniał. Teresa to zauważyła. Na domiar chłopak zrobił sobie tatuaż. Myśl o tej błahej sprawie stała się właśnie nieprzewidzianą zawadą. Przypomniał sobie, że Teresa wpadła w panikę podejrzewając, że Wojtek dostał się pod zły wpływ. Nonsens! Pomian zbagatelizował tę sprawę i starał się rozproszyć obawy Teresy, chociaż i w nim zakiełkował niepokój i podejrzenia, co za magnes w Zagórzu przyciąga Wojtka i skłania do dalekich wycieczek na rowerze? Dla pewności poddał Wojtka oględzinom. Lustracja wykazała, że głuptas wymalował sobie fioletowym długopisem na piersi rybę. Ryba wydłużała się, gdy Wojtek napinał piersi. Teresa upierała się, że to tatuaż i pomawiała Wojtka o podejrzane kontakty z młodzieżą wykolejoną, z marginesu społecznego. Pomian musiał sięgnąć po Słownik Kryńskiego i Niedźwiedzkiego (który zajmował w bibliotece poczesne miejsce jako „biały kruk", gdyż większa część nakładu uległa zniszczeniu w czasie wojny), żeby udowodnić Teresie, że w wypadku Wojtka nie można mówić o tatuażu, który według Słownika jest „napisem na żywym ciele wykonanym za pomocą nakłuwania lub nacinania skóry i zapuszczania nakłuć farbą". Głupi wyskok Wojtka był więc tylko dziecinną fanfaronadą.

— Po co to zrobiłeś, głuptasie? — strofował Wojtka. — Mama się zamartwia, co z ciebie wyrośnie, i podejrzewa, że zadajesz się z chuliganami. Nie? No więc po co umazałeś się tym świństwem?

— Żeby się zapisać do szkoły oficerów marynarki.

— Tam nie przyjmują bez matury.

— Ja się zapiszę do szkoły kucharzy okrętowych.

— Idiotyzm! — Pomian puknął się trzy razy w głowę. — A w ogóle skąd ten pomysł wstąpienia do marynarki?

— Chcę poznać świat.

— Marny zawód sobie wybrałeś. Kucharze okrętowi są zajęci przy kuchni i rzadko wychodzą na pokład. Powinieneś zapisać się do szkoły oficerów marynarki, ale przedtem musisz zrobić maturę.

— Dobrze, tato.

— No a teraz idź do łazienki. W apteczce jest denaturat. Zmyj z siebie to świństwo.

Chęć i gotowość do pracy, które ożywiały Pomiana przed kwadransem, rozwiały się. Niepokój o Wojtka wyparł poprzednią dobrą dyspozycję do pisania; miejsce jej zajęła troska, rozterka i zamęt. Obraz powieściowy, mający otwierać kolejny rozdział zszarzał, stracił urzekającą siłę i nie zniewalał do utrwalenia go na piśmie.

Wziąwszy pióro do ręki uświadomił sobie od pierwszych słów, że zdania, które układa, są koślawe, pozbawione nośności i nie mają siły wyrazu zdolnej przykuć uwagę czytającego. Wiedział z doświadczenia, co to znaczy: Zaczynały się trudności i kłopoty. Poród będzie ciężki, a on będzie się musiał namęczyć, zanim wyda na świat niedonoszony płód, jeżeli przedtem nie oszaleje. Czuł w piersi duszność, w żołądku zakalec, w głowie ołów, a ręce i nogi jak z kauczuku. Ludzie! wzdychał, Ludzie, cały jestem jak Golem, ulepiony z jakiegoś tworzywa, niezdarna, bezduszna poczwara.

Przez dwie godziny trudził się i męczył nie mogąc nadać amorficznej prozie właściwego kształtu, zwięzłości i rytmu. Po dwóch godzinach poczuł pustkę w głowie, suchość w ustach, szum w uszach, mroczki przed oczami. Czy każdą powieść, mówił sobie, muszę szlifować i przerabiać, jak to robił Fadiejew pracując nad swoim małym arcydziełem, „Klęską", mini-powieścią, którą przepisywał dwadzieścia razy? Stałem się niewolnikiem nałogu. Kto mi każe nakładać na siebie jarzmo ambicji, dręczyć się i męczyć, gdy praca mi nie idzie? Zdjęty gniewem podarł zapisane karty, wrzucił do kosza i wstał od biurka. Wyczerpany daremnym zmaganiem z ociężałą myślą, leniwą wyobraźnią i nieposłusznym słowem, zaczął krążyć po gabinecie, który jak gdyby zwęził się i zaciesnił. Zabrakło powietrza. Nie było czym oddychać. Czuł się zamknięty jak w Odwykówce, nie miał gdzie wyładować irytacji, niepokoju, zdumienia z powodu swojej nieudolności, którą odczuwał jak ciężką przypadłość, nieuleczalną chorobę, paraliż przerywający normalne funkcjonowanie umysłu.

Zabrakło mi Schwungu, jak powiadają Niemcy, zabrakło polotu i werwy do pisania, rozmawiał ze sobą. Nie chce mi się pisać, jestem zmęczony, oklapłem. Oto przyczyny! Usiadł w fotelu na biegunach i zaczął się bujać. Skryp skrzyp. Skrzypiała podłoga czy fotel? Rozproszone myśli, brak skupienia! rozmyślał. Znakomity pisarz Samuel Bellow powiada: „I think that art has something to do with an arrest in the midst of distraction". Bardzo trudne do przetłumaczenia. „Skupienie" — no, właśnie. „Zatrzymanie (skupienie) uwagi w samym środku szaleństwa" (?) Szaleństwo czyli natłok myśli i obrazów, tak pewnie to rozumiał Bellow. Sięgnął po Słownik Stanisławskiego. Distraction w Słowniku to roztargnienie, dystrakcja, pomieszanie zmysłów. Może popełniłem błąd, rozważał opierając powieść na idei zatraty całej rodziny przez alkoholizm, na szaleństwie jako skutkach alkoholizmu? W tak ujętej koncepcji jest jednak coś z dydaktyzmu, a ten zawsze okazuje się zabójczy dla sztuki.

Napięty i podniecony, wyszedł szukać odprężenia i relaksu dla przemęczonego umysłu. Chciał przestać myśleć o „Medei", o sobie, o swojej klęsce, o tym, że to już pewnie koniec. Mieli rację wrogowie, którzy głosili z tryumfem i złośliwą uciechą, że Pomian już się skończył i że można go spokojnie odłożyć na zawsze na półkę.

W Alei Wolności wmieszał się między rozchwiany tłum przechodniów, żeby zgubić się między ludźmi, zapomnieć o sobie, odprężyć się, rozluźnić.

No cóż, rozważał, układanie i pisanie historyjek nie powinno być celem samym w sobie. Obowiązkiem pisarza jest napisanie dobrej książki. Nic innego się nie liczy. Marzeniem moim jest napisać powieść, która byłaby zrozumiana i trafiła do wszystkich ludzi, do ludzi prostych i do intelektualistów, do sfrustrowanych i do tych, którym się powiodło, do ponuraków i do optymistów, do starych i młodych, do całego narodu. Im dalszy jestem od tego celu, tym jaśniej widzę, że spartaczyłem moje życie, którego już nie naprawię, bo nie można je przeżyć po raz drugi, na nowo. Nie rozumiem więc po co piszę? Może dlatego, że gdybym stracił te nędzne resztki nadziei i nie mógłbym w ogóle nic napisać, nie wiedziałbym, czym wypełnić życie. Bez tej pracy byłbym tylko w połowie sobą.

Była pora popołudniowa. Godziny natężenia ruchu ulicznego. Urzędnicy wychodzili z biur. Na przystankach autobusowych formowały się kolejki. Potrącany i popychany, zboczył w przecznicę i trafił na plac budowy. Robotnicy przesypywali żwir przez arkę, zwozili taczkami piasek, rzucali w pryskające iskrami ognisko materiały z rozbiórki starego domu. Przypatrywał się pracy budowlanych. Gorąco od trzaskających płomieni oblewało twarz. Słońce przygrzewało równie mocno, jak ogień podsycany spróchniałymi deskami. U wylotu ulicy znęcił go błysk obszaru wodnego. Poszedł tam w poszukiwaniu ochłody. Spotniały zwalił się na ławkę na bulwarze. Lecz i tutaj nie zagrzał miejsca. Coś go gnało. Sam nie wiedział, dokąd i po co? Zszedł po kamiennych schodkach na brzeg, usiadł na piasku, patrzył na wędkarzy łowiących płotki i okonki. Kręty nurt srebrzystoszarej rzeki niósł kępki traw, pianę, pasma słomy i różne odpadki. Woda kląskała w czarnych dziąsłach wykarczowanych korzeni, szemrała i bulgotała.

OBYCZAJE

POLSKI STÓŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

Sos żółty robiono z szafranu, czerwony — z wiśniowego soku, czarny — ze śliwkowych powideł (a czasem kucharz dorzucał doń nieco utartych węgli drzewnych), sos szary — robiono z przetartej cebuli... I tak przez wszystkie niemal kolory tęczy.

Dużym uznaniem cieszyły się też rozliczne przyprawy, co Władysław Łoziński w dziele **„Życie polskie w dawnych wiekach"** nazywa **„zamiłowaniem w korzeniach"**. I rzeczywiście — jest to uderzająca właściwość polskiej kuchni, zważywszy, że przyprawy były wówczas dość drogie. Ale to właśnie kiedyś używano do potraw w olbrzymiej ilości: imbir, szafran, pieprz, goździki, liście bobkowe, cynamon... Ówcześni moraliści krytykowali nawet ówczesne gospodynie, iż więcej kupują w aptece niż w jatkach. Przyprawy — jak wiadomo — sprzedawano wówczas w aptekach.

Dajmy jednak spokój korzeniom. Na polski stół wjeżdżały smakowite dania, które cudzoziemców przyprawiały o zawrót głowy. Przed paroma laty ukazało się piękne dwutomowe wydanie **„Cudzoziemcy w Polsce"**. Są to zebrane przez Jana Gintela relacje i opinie na przestrzeni wieków od X stulecia po wiek XIX. Ogromnie dużo miejsca, w tym blisko tysiącstronicowym dziele, zajmują gastronomiczne fascynacje.

Fulwiusz Ruggieri pisał w roku 1565:

„Piją dużo piwa, ale nie robią go jak Niemcy lub Prusacy z jęczmienia i chmielu, lecz z pszenicy zmieszanej z żytem, orkiszem i owsem, do których bardzo mało chmielu dodają i dlatego piwo polskie nie jest tak gorzkie, jak niemieckie i daleko smaczniejsze (...). Mają drugi napój zwany miodem — bardzo używany na Rusi, na Podolu, w Prusiech i na Mazowszu, który niczym nie jest tylko miodem przaśnym gotowanym z wodą i jest podobny z koloru do najpiękniejszego wina, ale zbyt słodki i dlatego zapewne przyprawiają go czasem sokiem jabłecznym, wiśniowym i korzeniami (...). Dodają wiele korzeni do każdej potrawy, więcej niż każdy inny naród i używają wiele cukru. Na ucztach i biesiadach dużo piją, w czym przewyższają samych nawet Niemców; przy kieliszku często przychodzi między nimi do zwady".

Co prawda Ruggieri złyma się, iż jeden Polak zje za pięciu Włochów, ale już na przykład Francuz Beauplan składa dowody bardzo bystrej i bardzo drobiazgowej obserwacji spraw polskiego stołu. W jego to relacji znajdujemy informacje o specjalnościach polskiej kuchni, takich jak kwaśna kapusta z wędzoną słoniną, łazanki gryczane z makowym mlekiem czy groch roztarty ze słoniną, który, jak zapewnia Beauplan, był dla biesiadników wielkim smakołykiem. Podobno nie sposób było sobie wówczas wyobrazić przyzwoitą ucztę bez owego przysmaku.

Przysmakiem nie lada było także mięso tura. Tak to relacjonuje Jan Paweł Mucante, legat papieski, który w Polsce zjawił się latem 1596 roku:

„Kosztowałem to mięso u stołu kardynała, zdało mi się podobne do wołowiny, lecz cokolwiek suchsze i twardsze".

I dalej podaje Mucante listę żywnościową na podróż z Krakowa do Warszawy dla całego orszaku liczącego 500 osób i 250 koni.

Codziennie towarzystwo to zjadało: 2 woły, 7 cieląt, 7 baranów, 6 wieprzów, 48 kapłonów... i tak dalej. Lista ma blisko pięćdziesiąt pozycji, wśród których takie, jak: **„Piwa beczek — 20, wina baryłek — 3, ptaszków małych — 120"**. A na koniec **„sarn, jeleni i innej zwierzyny — ile było potrzeba"**.

W ogóle cudzoziemcy gościli nie tylko na dworach, lecz jak wścibscy reporterzy zaglądali nawet do... jatek miejskich. Papieski legat Mucante pisze:

„Za kościołem ciągnie się plac, gdzie się przedają rozmaite mięsa — wołowina, cielęcina, baranina, wieprzowina (...). Jatki te są bardzo czyste, nie bije się bowiem tam bydła lecz już zabite przywożą..."

A następnie legat papieski daje... przepis na palenie gorzałki.

Na marginesie refleksja. Otóż tyle się ostatnio ukazuje książek kucharskich, nawet przed laty wydano po polsku... „Potrawy kuchni włoskiej". Oczywiście to bardzo dobrze, ale czy nie warto opracować i wydać niewielką książeczkę pt. „Kuchnia staropolska". Wydaje nam się nieraz, że wiemy, że doskonale znamy potrawy polskiego stołu sprzed lat. Ale to nie zawsze jest prawda.

Ludzie do bigosu dodają przecier pomidorowy i myślą, że jedzą prawdziwy staropolski bigos. A tu nawet ze zwykłą ćwiklą sprawa nie jest taka prosta. Jak zaświadcza Zygmunt Gloger w swojej **„Encyklopedii staropolskiej"** — dawna ćwikła, były to buraki pokrajane w talarki, zalane winnym octem (innego wówczas nie było) oraz przysypane tartym chrzanem posypane koprem i solą.

No i co? Podobne to do naszej współczesnej ćwikły?

Wróćmy jednak do stołu — po to jednak, aby położyć na nim otwartą księgę Zbigniewa Kuchowicza. Autor ten — w przeciwieństwie do cytowanych przeze mnie — Łozińskiego i Glogera — nie ogranicza się jedynie do opowieści o stole szlacheckim. Nie potępia też w czambuł, jak choćby Ruggieri, polskiego obżarstwa.

Dużo było na ówczesnym polskim stole mięsiwa? Owszem, dużo, ale na stole szlacheckim. To raz. Po wtóre raczmy pamiętać, że w wieku XVII i XVIII ziemniaki, które dziś są powszednie i tanie, wówczas stanowiły bardzo drogi przysmak. Niska była też produkcja owoców i soków owocowych. Pito więc miód i piwo.

A zatem, jak byśmy dziś powiedzieli, baza surowcowa i produkcja żywnościowa były niewielkie — stąd konieczność spożywania dużej ilości mięsiw, kasz, sosów zawiesistych, piwa...

To, oczywiście, na szlacheckim stole. A na stole chudopachołków? Niestety — piewcy szlachetczyzny raczą o nich nie pamiętać. Gloger przytacza opowieści, ile to mógł zjeść ten czy ów wielmoża, mało jednak pisze o chudopacholskim stole.

A był to stół nędzarski. Kontrast między stołem szlacheckim — wielki. Kontrast między stołem magnackim — wprost niewyobrażalny. Ludność biedna żywiła się prymitywnie, a nieraz wręcz odrażająco. Śledzie i ryby były wówczas luksusem, jedzono głównie potrawy roślinne, kraszone olejem. Najlepszy przysmak chłopski stanowiła kapusta ze słoniną. Zamiast pieprzu używano suszonych jagód zmieszanych z mąką i kwasem. Na stole biednym królowały: ogórki, gorczyca, chrzan.

W kuchni chłopskiej przysmak stanowiły miód, słodkawy sok brzozowy, mak. Na bogatych stołach znajdowały się rodzynki, migdały, konfitury, pierniki.

Cudzoziemcy w swoich relacjach zarzucają naszym przodkom obżarstwo. Jest to obserwacja słuszna, ale dość powierzchowna. Otóż występowało w Polsce obżarstwo dwojakiego rodzaju: zamożni przejadali się systematycznie, biedni — sporadycznie, z okazji świąt i różnego rodzaju uroczystości. Biedująca całymi miesiącami ludność objadała się tylko podczas chrzcin, wesel czy świąt kościelnych. To obżarstwo wynikało z ciągłego niedojadania.

Natomiast stół magnacki czy szlachecki zawsze był pełny i bankietowanie stanowiło w tych warstwach pasję, szczyt szczęścia i najlepsza zabawę. Lecz i tu Zbigniew Kuchowicz robi znamienne zastrzeżenie. Otóż polska szlachta i magnateria wcale w tym względzie nie ustępowały patrycjatowi innych krajów. Łakomstwo i obżarstwo cechowało większość panujących wówczas w Europie dynastii. Tak więc Maria Leszczyńska, kiedy została żoną Ludwika XV i trafiła na dwór francuski — znalazła tu znajomą atmosferę. Pewnego razu ledwo ją odratowano po przejedzeniu się ostrygami, które w dodatku popijała piwem.

Jaki więc był ów stół biesiadny dawnych Polaków? Widać z powyższego, że różnorodny, albo lepiej będzie powiedzieć, że było wiele polskich stołów. Dziś się nasz polski stół zapewne zunifikował w poważnym stopniu, zanikły dawne kontrasty, ale przecież i dziś są różne stoły.

Jak choćby w tym znanym dowcipie rysunkowym: Posiłek zamożnego — „krakersy i pepsi-cola", posiłek ubogiego — „kiełbasa i piwo". Ale dowcip dowcipem — zarówno jedni i drudzy zasiadają przy świątecznym stole, na którym znajduje się coś więcej niż kraszona kapusta, jak to drzewiej bywało.

JERZY WILMAŃSKI

Rys. Janusz Szymański — Glanc

PLASTYKA

KOLEKCJA MATEUSZA GRABOWSKIEGO

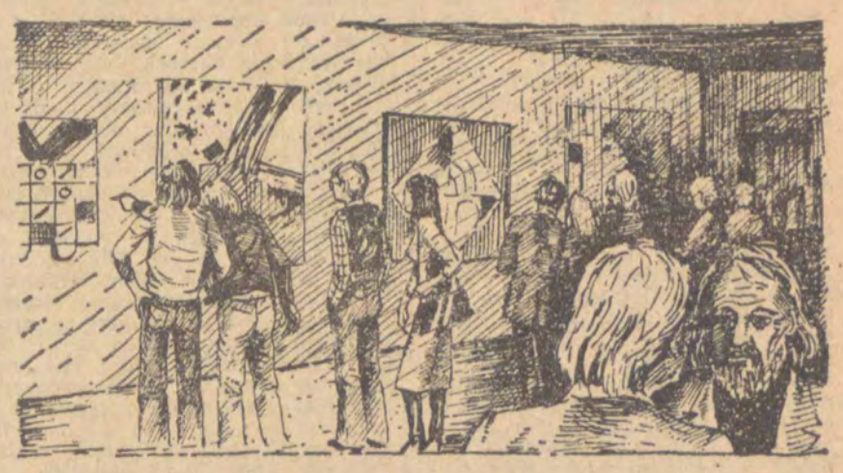

Rys. Janusz Szymański — Glanc

W listopadzie 1975 roku mgr MATEUSZ B. GRABOWSKI, mieszkający w Londynie, przekazał Muzeum Narodowemu w Warszawie i Muzeum Sztuki w Łodzi swą wielką kolekcję dzieł sztuki współczesnej złożoną z 383 obrazów, rysunków, prac graficznych, rzeźb i tkanin. Muzeum Narodowe w Warszawie otrzymało prace artystów polskich, zaś Muzeum Sztuki w Łodzi artystów głównie zagranicznych w większości brytyjskich.

Kolekcja stanowi plon 150 wystaw zorganizowanych w okresie 16 lat działalności „GRABOWSKI GALLERY" w Londynie. Założycielem, właścicielem i kierownikiem Galerii był mgr Mateusz B. Grabowski.

Po klęsce wrześniowej i kapitulacji Francji w 1940 roku znalazł się w Londynie, gdzie jako farmaceuta pracował w służbie zdrowia, w czasie wojny — wojskowej, potem cywilnej. W 1948 roku założył własną aptekę, gdy zaś przedsiębiorstwo rozwinęło się pomyślnie, w 1959 roku mógł urzeczywistnić marzenie swojej młodości i założył Galerię. Słowem aptekę i Galerię znajdujące się w dwóch połączonych budynkach w centrum Londynu (Chelsea Kensington) jednoczyła więź tak personalna jak i terytorialna.

„GRABOWSKI GALLERY", której znakiem rozpoznawczym stała się stylizowana warszawska syrenka, nie miała charakteru komercjalnego. Ta ważna cecha różniła ją od innych, licznych galerii londyńskich, dawała swobodę wyboru wystaw, możliwość decyzji artystycznych, nie zaś handlowych, możliwość wystawiania i popierania artystów młodych, debiutantów, artystów polskich tak mieszkających w Wielkiej Brytanii jak i w kraju. Wielu artystów, których Grabowski pokazał u siebie po raz pierwszy, zyskało międzynarodową sławę. Galeria rozpoczęła swą działalność w lutym 1959 roku wystawą Związku Artystów Polskich w Wielkiej Brytanii. Grabowski, jak sądzono na początku, nie zamknął się jednak w kręgu tych artystów, następne wystawy coraz bardziej rozszerzały obszar działalności Galerii. Grabowski wchodzi w kontakty z artystami i krytykami sztuki znanymi ze swych niekonwencjonalnych poglądów, młodymi, prezentującymi nurty, które dopiero zaczynają się rozwijać w londyńskim środowisku kulturalnym.

Od 1962 roku zaczyna się rozkwit Galerii. Rozpoczyna się seria wystaw ukazująca po raz pierwszy londyńskiej publiczności kierunki, które od tej chwili zaczynają się bujnie rozwijać tj. sztukę optyczną — „op-art" i niezmiernie charakterystyczny dla kultury plastycznej Londynu „pop-art". Od tego czasu Galeria Grabowskiego staje się galerią młodych i dotrzymuje kroku najnowszym tendencjom sztuki brytyjskiej. W 1975 roku Grabowski powziął decyzję likwidacji Galerii, ostatnia 150 wystawa trwała do końca maja 1975 roku.

Kolekcja przekazana w darze Muzeum Narodowemu w Warszawie i Muzeum Sztuki w Łodzi stanowi dokumentację każdej, niemal, wystawy, od niełatwych początków, sukcesy lat sześćdziesiątych, pomyślną stabilizację lat siedemdziesiątych. Jest ona obrazem najważniejszych nurtów sztuki brytyjskiej tego okresu i na kontynencie europejskim stanowić będzie najszerszą jej prezentację.

Sztukę optyczną prezentują w kolekcji prace m. in. takich artystów jak MICHAEL KIDNER, BRIDGET RILEY, WOJCIECH FANGOR, JEFFREY STEELE, MICHAEL KIDNER, którego obrazy znajdują się także w zbiorach Tate Gallery w Londynie, tworzy kompozycje, w których przestrzeń malarska powstaje w wyniku działania trzech kolorów, niezależna od formy rysunkowej obrazu. Działanie optyczne obrazów Kidnera nie jest narzucające się, artysta pozostawia wiele zagadek do rozstrzygnięcia samemu widzowi. Bridget Riley jest chyba najbardziej znaną w świecie przedstawicielką tego kierunku. Jej obrazy, zwykle bardzo dużych rozmiarów, często kompozycje pasów prostych lub falujących przez bardzo charakterystyczne układy kolorów, w oczach widza zaczynają drgać, poruszać się w rytmie muzycznym, męczącym i gwałtownym. Gwarz Riley z kolekcji Grabowskiego pochodzi z wczesnego okresu (1961 r.), w którym dominowała czerń i biel, zaś ów rytm i przestrzenna wieloznaczność osiągnięte są przez układ kompozycyjny. Obrazy WOJCIECHA FANGORA przesycone są światłem, stanowi ono ich główny temat i treść. „Op-art" oraz prace związane z problemami konstruktywizmu m.in. tak znanego łódzkim widzom HENRYKA STAŻEWSKIEGO (miał wystawę w Galerii w 1963 r.) PETERA STRUYCKENA (Holandia), rzeźbiarza Brian Wall i wielu innych stanowią bardzo ważną, szczególnie dla Muzeum Sztuki w Łodzi część kolekcji.

„Pop-art" jest kierunkiem, który swój europejski początek znalazł w sztuce brytyjskiej. I właśnie w Galerii Grabowskiego odbył się pierwszy w Londynie pokaz reprezentantów tego nurtu. W kolekcji najbardziej znamienne są obrazy DEREKA BOSHIER. Sztuka jego odnosi się do otoczenia człowieka, do subiektywnej wizji świata, odnajdujemy w niej elementy rzeczywistości, potoczne symbole, rysunki i napisy ze ścian londyńskiego metra, dwuznaczność i wiele satyry. „Pop-art" w latach sześćdziesiątych w Londynie przyczynił się do powstania i rozpowszechnienia plakatów, opakowań, okładek wydawnictw sensacyjnych, atmosfery ulicznych kramików okolic Picadilly i Carnaby Street.

Inaczej, lecz także z cywilizacją miejską związani są artyści, których wystawa (Grupa z Leicester) miała miejsce w 1964 roku. Do kolekcji weszli tacy artyści jak TOM HUDSON, TERRY SETCH, MICHAEL SANDLE. MICHAEL SANDLE nawiązuje do symboli związanych z ludzkim życiem i śmiercią, jego czarna, wypolerowana kompozycja odbija i deformuje odbijaną rzeczywistość. Nieco zbliżone problemy prezentują rzeźby MERVYNA BALDWINA. Z „pop-artem" związana jest też twórczość MICHAELA DAVIDSONA — autora portretów z papier-mache przypominających figury z gabinetów osobliwości, a także „Komoda" CHRISTINE SMITH.

Z tradycją sztuki brytyjskiej związane są obrazy FRANKA BOWLINGA. Brutalna deformacja, koloryt, kompozycja, w której centralnym punktem jest zwykle samotna, skulona postać ludzka widziana jakby przez zamazaną soczewkę, oto najogólniejsze cechy twórczości jednego z najbardziej znanych malarzy brytyjskich FRANCISA BACONA. Obrazów jego nie znajdziemy w Kolekcji Grabowskiego — lecz wpływ jego osobowości jest w twórczości wspomnianego BOWLINGA, niektórych obrazach STANISŁAWA FRENKLA, innych.

Osobny problem stanowi w kolekcji GROUP ONE FOUR, należą do niej ROY GRAYSON, JOHN BERRY, MAURO KUNST, BRIAN YALE, z pragnieniem by ich sztuka stała się częścią otoczenia człowieka.

Najliczniej prezentowany w kolekcji Grabowskiego jest PIOTR MLECZKO. Artysta ten podczas wojny więzień obozów hitlerowskich — wspomnienia o nich zachował w swoim malarstwie. Ekspresyjne przechadzki więźniów, zjawy w pasiakach, tragiczno-groteskowe tańce za drutami, baraki obozowe ożywają w bardzo osobistej wizji malarskiej Mleczki.

Na baczną uwagę zasługują też inni malarze polscy zarówno mieszkający w kraju jak i na Zachodzie. M.in. prezentujący zagadnienia koloryzmu PIOTR POTWOROWSKI — malarz, profesor Akademii w Bath, wywarł duży wpływ na malarzy angielskich oraz, wyrośli z koloryzmu JAN LEBENSTEIN, TADEUSZ DOMINIK.

Jak bogata jest kolekcja M. Grabowskiego niech poświadczy choćby obecność dwu znakomitych obrazów Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Wystawa Kolekcji Mateusza B. Grabowskiego czynna będzie w Muzeum Sztuki w Łodzi do 18 stycznia 1976 roku.

JANINA ŁADNOWSKA

JERZY RZYMOWSKI

ZA SZYBKO ZAPADA ZMROK

„— Moja złota, jaką panichce książkę?
— Nieważne, byle wzruszającą.
— Dam pani Binkowskiego...”
(Dialog w bibliotece)

Jestem w niewygodnym położeniu z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że piszę przed świętami dla Czytelnika po świętach o książce dość smutnej, a po świętach potrawy i lektury dobierać należy starannie, aby były lekkie, łagodnie tonizujące i dawały poczucie trwania miłych chwil, których już nie ma. Po drugie zaś dlatego, że piszę o książce redakcyjnego kolegi, czym jako recenzent wystawiam na szwank swe morale. Na dodatek kolega ów i ja urzędujemy w jednym pokoju, gdzie zajmujemy się sprawami Polski środkowej, z tym że on obsługuje życie, a ja literaturę; on opisał w swych niezliczonych reportażach tzw. teren, skąd do mnie z kolei, jak do elewatora, kopiastymi furami dowożone są plony poetyckie regionu.

Podstawy kumoterstwa są zatem oczywiste, a ocalenie niezawisłości mojego osądu — zwłaszcza w opinii tych teksatorów życia literackiego, którzy nie chcą uchodzić za naiwnych i dlatego widzą we wszystkim, co widzą, niemal wyłącznie przejawy sezonowych koniunktur i grup(k)owych interes(ik)ów — jest niemożliwe. Jasne natomiast jest, że każda pochwała i każda uwaga krytyczna muszą mieć jakiś ukryty sens, wynikający z układów sitwowych lub z personalnych animozji, o których nic mi nie wiadomo, ale które na pewno istnieją, bo inaczej (pochwała i krytyka) skąd by się wzięły?

Świadom potęgi takich wyobrażeń rozpocznę wywód mglisto i neutralnie, od dwuznacznej, co do intencji piszącego trudno rozpoznawalnej statystyki, uprawianej przy pomocy tzw. liczebników porządkowych.

Ryszard Binkowski (wyjaśniać w „Odgłosach”, kto zacz, znaczyłoby tyle, co w towarzystwie żonie jej własnego męża przedstawiać) wydał czwartą książkę — **„Tak szybko zapada zmrok”** (1975), która jest podobna do jego trzeciej książki — **„Latoś wesel nie będzie”** (1974), która jest podobna do jego drugiej książki — **„Pójdziesz ponad sadem”** (1972), która jest podobna do jego pierwszej książki — **„Sypała brzezina złotem czerwienią”** (1971). Cztery książki w ciągu pięciu lat — to bez wątpienia dorobek duży, a tym większy, że autor ma zaledwie 35 lat, czyli należy do pisarzy młodych.

Trzeba bowiem przy okazji ustalić, co następuje: z powodu obiektywnych i subiektywnych trudności ruchu wydawniczego nie sposób zostać pisarzem przed ukończeniem 25 roku życia (jeśli są wyjątki od tej reguły, to są one tylko wyjątkami), wobec czego pisarze najmłodsi mają od 25 do 30 lat, pisarze młodzi — od 30 do 40 lat, pisarze średniego pokolenia — od 40 do 50 lat, pisarze doświadczeni i zasłużeni — od 50 do 70 lat, wreszcie seniorzy literatury polskiej (doświadczeni i zasłużeni ex definitione) — ponad 70 lat. Status pisarza w obrębie cechu jest, jak widać, jasno określony, awans zaś odbywa się mechanicznie na takiej mniej więcej zasadzie, na jakiej w wielu branżach podzielono siatkę płac na rubryki co 4—5 lat stażu pracy. Binkowski jest więc pisarzem młodym o sporym urobku.

Jak się jednak rzekło, ta wielość jest jednością, co świadczy o przywiązaniu do pewnych 'ematów, pomysłów fabularnych i stylu, lokujących autora w tzw. nurcie wiejskim naszej literatury, a jest to dzisiaj dobra lokata talentu, ponieważ nurt ten trzyma się krzepko, rozpościerając się szerokim rozlewiskiem poetyk: od standardowego realizmu, poprzez realizm upoetyczniony liryzmem, fantastyką i mitologią ludową (to nic, że wymyśloną przez śródmiejskich inteligentów, grunt, że funkcjonalną) aż po groteskę i jawną kreację, która już realizmu nawet nie udaje. Lokata jest dobra jeszcze dlatego, że Binkowski stara się czerpać z tego rozlewiska to, co w różnych jego akwenach najlepsze; czuje respekt dla empirii (pamięta o swej biografii), baczy na procesy społeczne, ochrania język gminny, ale gdzie tylko może — w narracji, opisach, tytułach — szlifuje styl niczym rasowy esteta. Jego fikcje (literackie) mają pokrycie w rzeczywistości, świadectwo naszych oczu i ustalenia socjologii dają temu pisarstwu rękojmię prawdziwości, za artyzm wysłowienia posypały się pochwały w prasie — czemu ma więc pisać inaczej?

Oczywiście, rzecz nie w tym, czy się pisze wciąż tak samo, czy za każdym razem odmiennie, tylko w tym, czy się pisze dobrze, czy mniej niż dobrze. Obie bowiem strategie twórcze: orientacja na formę stałą i orientacja na formę zmienną są zawodne. Jeśli ktoś pisze wciąż tak samo, może to oznaczać, że ma ubogi warsztat i w związku z tym w piętkę goni (tak powiedzą jedni krytycy), ale może też oznaczać, że jest twórcą o wykrystalizowanym talencie, co własny styl wypracował (i tak powiedzą drudzy krytycy). Jeśli zaś ktoś pisze co rusz to inaczej, może to oznaczać, że ma bogaty warsztat i że się twórczo rozwija (tak powiedzą jedni krytycy), ale może też oznaczać, że jest twórcą o niewyrobionym talencie i dopiero szuka własnego stylu (i tak powiedzą drudzy krytycy).

Ryszard Binkowski nie powinien o tych sprzecznościach sądów myśleć, gdyż wie co robi, a robi to w ten oto sposób, że jeśli można użyć stolarskiego porównania — bierze kawał rzeczywistości niczym deskę, nie deformuje jej i nie przygładza ponad potrzebę, a następnie nakłada warstewkę przeźroczystego, lśniącego liryzmu, która nic nie zaciera, ani sęków ani słojów nie zakrywa, ale blasku całości przydaje.

Tym lirycznym blaskiem fosforyzuje również ostatnia powieść Binkowskiego, choć w tytule zmrok, a i w postaciach literackich nie brak posępności. Tej posępności, która ujawnia się zawsze wówczas, gdy niedostatek moralnych hamulców obnaża nieobłaskawione głębie natury ludzkiej. Jest to powieść o mieszkańcach domu starców, o ludziach ze wsi, odepchniętych przez własne dzieci, które zmieniając swą pozycję społeczną rachunki za koszty awansu przedkładały do zapłaty rodzicom, a kiedy owi sterani życiem posiadacze kilkumorgowych poletek stali się niewypłacalni, potraktowani zostali jak lądująca na śmietniku puszka od konserw, z której już nic wyskrobać nie sposób — wyrzuceni z rodziny, usunięci z jedynej istotnej budowli, wzniesionej w pracowitym życiu. Mimo wszystkie rozjaśnienia krajobrazu społecznego i finał łagodzący konflikty poprzez wyeksponowanie kojącego działania rezygnacji jako autoterapeutycznej postawy życiowej (nie uwierzę, że izolatorium dla skrzywdzonych zastąpi im dom rodzinny, choć może się im wydawać Arkadią, jeśli jedyną alternatywą jest agonia w chlewie — przykład wzięty z fabuły!), otóż mimo te promyki optymizmu powieść Ryszarda Binkowskiego dostarcza silnej dawki smutku, przygnębienia i wzruszenia.

Niewykluczone, że obojętność na świat względem nas zewnętrzny jest przyrodzonym stanem człowieka, a każda próba ustosunkowania się do otoczenia, a więc jakaś forma aktywności, musi być okupiona wysiłkiem, wymuszeniem własnej reakcji, aktem woli. Myślę, że najmniej wysiłku wymaga wzruszenie, pojawia się jakoś tak spontanicznie i — w przeciwieństwie do postaw intelektualnych — jest energetycznie oszczędną formą reagowania na świat, choć w skutkach męczącą, a nawet więcej niż męczącą (przypadek skrajny: wzruszył się i umarł). O tej zdolności wzruszania się, nie obwarowanej żadnymi warunkami wstępnymi, wiedzą dobrze dyrygenci emocji. Wystarczy pokazać na ekranie umierające dziecko, przedłużające się rozstanie, a niekiedy po prostu odjeżdżający pociąg, a sala płacze, odczuwa ucisk w krtani, a przynajmniej czuje się poruszona. Stefan Żeromski przyznał kiedyś w przypływie samokrytycznej chandry, że łapie się na myśli, iż ludzie cierpią po to, aby pisarze mieli o czym pisać. Szerzej zaś ujmując — nieszczęście, cierpienie, upadek, zło są dogodniejszym materiałem dla twórcy, niż szczęście, spokój, sukces, czy dobro, wobec których sztuką jakże często jest bezsilna estetycznie (ciekawie ujął to Roland Barthes w znanym u nas tomie „Mit i znak”). Łatwość wzruszania za pomocą kilku niezawodnych chwytów jest potężną bronią w rękach artysty, toteż często bywa nadużywana (patrz: melodramat, libretta operowe, hollywoodzkie filmy). Ale i w dziełach ambitnych twórców widać ślady tej pokusy, jaką daje orientacja na krtań czytelnika (mówi się najczęściej: serce), rozgrzeszana z reguły zbożną tendencją społeczną, moralną czy polityczną, zabiegającą o pozyskanie odbiorcy poprzez apel do jego serca (czyli do krtani). Twierdzę, że tak właśnie jest w omawianym przypadku.

Walka ze znieczulicą, z amoralnością postaw eksploatatorskich, z bezwzględnością i okrucieństwem w stosunkach międzyludzkich to sprawa czysta i godna pisarskich zabiegów. Rzecz tylko w tym, czy wzruszenie — stan silny, ale ulotny — jest tu reakcją wystarczającą, czy przypadkiem nie jest formą rozładowania napięć, do niczego człowieka nie zobowiązującą, czy przypadkiem odruch wzruszenia poprzez swą oczywistą szlachetność nie jest estetycznym środkiem neutralizacji i oczyszczenia sumień. Genologowie, czyli specjaliści od gatunków literackich, zwracają uwagę na istnienie podwójnej klasyfikacji książek: tej na użytek nauki i tej na użytek czytelnika. Nauka wyróżnia lirykę, epikę, dramat, powieść, nowelę sonet itd., a czytelnicy — książki sensacyjne, ładne, do czytania, wzruszające, o miłości, o wojnie, o życiu itd. Obawiam się, że powieść Ryszarda Binkowskiego krążyć będzie w bibliotecznym obiegu jako powieść „wzruszająca”, a to już skutecznie może immunizować czytelnika przed jej treściami społecznymi.

Tymczasem w nich właśnie upatruję wartości tego, co Binkowski napisał. Powiem o tym krótko, bo nie wypada rozwodzić się nad osiągnięciami kolegi. Otóż moim zdaniem osiągnięcia te dostrzeżemy, jeśli będziemy czytać **„Tak szybko zapada zmrok”** jako powieść o niedoskonałości przeobrażeń społeczno-ekonomicznych, które czynią życie łatwiejszym, ładniejszym i sprawiedliwszym, rozszerzają możliwości konsumpcji, kariery, poznania świata i zdobycia wiedzy, ale nie gwarantują wzrostu poziomu moralnego społeczeństwa. Ryszard Binkowski zdaje się mówić, że awans socjalny niekiedy jest tylko awansem pozornym, w konsekwencji demoralizującym. Istnieje potrzeba jakby drugiego etapu, decydującego z punktu widzenia idei socjalistycznej — etapu głębokiej humanizacji stosunków między ludźmi, budzenia wrażliwości i prawości moralnej, wzmacniania więzi społecznej, a osłabiania tych postaw, które powodują, że w drugim człowieku widzimy jedynie narzędzie do zaspokojenia naszych potrzeb.

Przesłanek do takich tez dostarcza w powieści Ryszarda Binkowskiego materiał drastyczny w swym kształcie zewnętrznym, zaczerpnięty z życia nieoficjalnego, usytuowany na wstydliwych poboczach rzeczywistości — tradycyjnym terenie łowieckim reportażu interwencyjnego. Dobrze, że i literatura tam sięga, tylko że literatura wkracza w te rejony ze swym ekwipażem estetyzacji i mimowolnie urządza polowanie na „wzruszające” tematy. A to jakże często, również mimowolnie, prowadzi do odfajkowania sprawy za pomocą kilku uronionych łez. Wartościowszej postawy wymaga jednak położenie, w jakim znajdują się bohaterowie Binkowskiego, ratowani przez system społecznej opieki, gdy zamykają się przed nimi drzwi ich własnych domów. **„Tak szybko zapada zmrok”** jest książką smutną, a więc nie nadającą się na lekturę tuż-poświąteczną, nie tylko dlatego, że pokazuje smutne życie smutnych ludzi, ale również dlatego, że demonstruje impas literatury, która nie jest w stanie zapanować nad sensem uzyskiwanym poza wolą jej twórców.

Na zakończenie godzi się jeszcze wspomnieć, że akcja **„Tak szybko zapada zmrok”** rozgrywa się w Łodzi i w jej najbliższych okolicach. Jest to lokalizacja bardzo trafna ze względu na diagnozy społeczne powieści, tutaj bowiem nieprzerwanie przez dziesięciolecia setki tysięcy przybyszów ze środowisk wiejskich szukało swoich życiowych szans. O innych aspektach owej „łódzkości” (realiach topograficznych, obrazach dawnego miasta, historii Łodzi w latach 1913—1945 zbeletryzowanej na 30 stronach) pisać nie będę, gdyż nie budzi to we mnie zapału, nie chcę zresztą wchodzić „w szkodę” Widokowi, któremu nic, co łódzkie w literaturze i nauce światowej, nie jest obce, więc zapewne nie przepuści okazji, by kolegę Binkowskiego pochwalić bez tego typu wahań, jakie mnie nie opuszczały, ilekroć podnosiłem walory powieści.

Ryszard Binkowski: Tak szybko zapada zmrok. Łódź 1975, Wydawnictwo Łódzkie, ss. 155, cena 15.— zł.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Z NIEMIECKICH DZIEJÓW „CHŁOPÓW”

Piątego grudnia minęła pięćdziesiąta rocznica śmierci Władysława Reymonta, jednego z dwu polskich laureatów Literackiej Nagrody Nobla, pisarza mocno związanego z naszym miastem i regionem, piewcy „ziemi obiecanej”, przypomnianej niedawno filmem Andrzeja Wajdy.

Julian Krzyżanowski, znany historyk literatury polskiej i monografista Reymonta nazwał go „osobistością w świecie literackim czasów neoromantyzmu chyba najniezwyklejszą”. W pochlebnym tym określeniu zawarta jest nie tylko fascynacja niezwykle barwnym, pełnym najrozmaitszych doświadczeń, życiem syna organisty wiejskiego, ale i jego karierą literacką, ugruntowaną w skali międzynarodowej przyznaniem odznaczenia zwyczajowo najważniejszego dla człowieka pióra.

Nagrodę tę otrzymał Władysław Stanisław Reymont nie za całokształt twórczości, jak to zazwyczaj bywa, ale za jeden utwór — tetralogię „Chłopi”, osadzoną bardzo mocno w naszej tradycji literackiej i ukazującą całe bogactwo życia wsi polskiej przełomu wieków w rocznym zaledwie wycinku. Kolejne tomy tej powieści, od „Jesieni” po „Lato”, ukazywały się w latach 1902 — 1909. Trzy lata później ujrzał światło dzienne jakże ważny i znamienny dla dalszych losów „Chłopów” przekład niemiecki.

Przed kilku tygodniami ukazało się w Republice Federalnej Niemiec jego wznowienie jako natychmiastowa reakcja wydawcy na prezentowanie w telewizji zachodnioniemieckiej przez trzynaście kolejnych niedziel, od 17 sierpnia począwszy, serialu Jana Rybkowskiego, nakręconego według głośnego dzieła Reymonta (dwa i pół roku temu pokazywała go także Telewizja Niemieckiej Republiki Demokratycznej). Stąd też i obwoluta prezentuje kolorowe zdjęcie z oczepin Jagusi, a opaska informuje czytelnika, iż wyróżniona Nagrodą Nobla książka posłużyła za scenariusz wielkiego serialu. „Chłopów”, opatrzonych podtytułem „Polska kronika rodzinna” poprzedził przedmową Karl Dedecius, najwybitniejszy współczesny tłumacz z literatury polskiej na terenie niemieckiego obszaru językowego. Prezentuje on pisarza i jego dzieło, prowokując jednocześnie współczesnego czytelnika przypomnieniem fragmentu głośnego swego czasu listu otwartego wydawcy, Eugeniusza Diederichsa, skierowanego do publiczności czytającej. Diederichs, zniecierpliwiony faktem, iż rozeszły się zaledwie 93 egzemplarze (wobec rozesłanych 300 egzemplarzy recenzyjnych) taki dał wyraz swemu oburzeniu: „Każda wielka sztuka zrośnięta jest z ziemią i dlatego nas interesuje. Odwykliście tylko od zajmowania się nią bez efektownych haseł literackich. Jeśli książka zatytułowana jest „Perwersyjny chrabąszcz” piorunem chowacie ją do kieszeni, by się dokształcić, ale jeżeli książka nosi tytuł „Chłopi” powiadacie, że jest wam obojętna...”

Zamieszczenie dzisiaj tego znamiennego sformułowania, opatrzonego równie prowokacyjnym pytaniem, czy publiczność literacka zmieniła się w ciągu minionych sześćdziesięciu lat, obliczone jest, rzecz prosta, na konkretny efekt, stanowić ma dodatkowy bodziec, bo przecież i cena najnowszego wydania jest niebagatelna.

W oparciu o opublikowaną w ubiegłym roku przez Deutsche Staatsbibliothek w Berlinie (NRD) bibliografię „Polnische schöne Literatur in deutscher „Übersetzung 1900-1971” ustalić można, iż jest to kolejne, trzynaste wydanie niemieckiego przekładu (nie licząc oczywiście oddzielnych publikacji dwóch fragmentów utworu). Kontynuująca aktualnie w Kolonii dawne jenajskie tradycje firma Diederichsa przedrukowała również posłowie tłumacza Jeana Paula d'Ardeschah (Jana Kaczkowskiego) z roku 1926 oraz zawarte we wcześniejszych wydaniach objaśnienia. I tu zauważyć wypadnie niestety edytorskie potknięcie: otóż mylnie podane zostało nazwisko tłumacza pod posłowiem („d'Arschedah”) — co u czytelnika niemieckiego wywołać może jednoznaczne humorystyczne skojarzenie. Wydaje się również, iż należałoby „uwspółcześnić” nieco objaśnienia, bo i one niekiedy prowadzić mogą do niepotrzebnych nieporozumień czy dowcipów. Przykładowo przypis ósmy brzmi: „Chłopi w Polsce sądzą, iż także mężczyzna posiada macicę”.

Międzynarodowy sukces „Chłopów” i rozgłos ich autora związany jest bezpośrednio z powodzeniem w Niemczech. Wspomniany tylko co list Diederichsa odbił się głośnym echem w niemieckiej opinii literackiej i przyspieszył zapewne zainteresowanie krytyków, a w ślad za tym i czytelników „Chłopami polskimi” („Die polnischen Bauern”), taki bowiem tytuł nosił przekład niemiecki aż do roku 1929. Krytyka przyjęła utwór entuzjastycznie: „od wielu już, wielu lat nie witano w Niemczech tak ostentacyjnie, z tak jednomyślnym uderzeniem w wielkie dzwony przekładu wybitnego utworu literatury obcej, jak oto powitano w całej prasie niemieckiej ukazanie się świetnego przekładu czterotomowych „Chłopów” Reymonta” — tymi słowy rozpoczął Czesław Jankowski opublikowaną w roku 1914 broszurę pt.: „Chłopi” Reymonta i krytyka niemiecka”, rejestrującą i komentującą liczne wypowiedzi.

Sam Reymont znany był czytelnikowi niemieckiemu już wcześniej. Najpierw przedstawiło go pismo „Aus fremden Zungen”, a następnie ukazały się pierwsze przekłady nowel: „Begegnung” (1900), „Unterwegs” (1903), „Tomas Baran” (1908) i „Lynchjustiz” (1910). Dopiero jednak przekład „Chłopów” wydany w 1912 roku otworzył Reymontowi Niemcy: w roku 1914 ukazał się „Wampir” („Der Vampir”), a dwa lata później „Ziemia obiecana” („Lodz, das gelobte Land”).

Diederichs, ulegając panującej od lat w Niemczech modzie na — jak byśmy to dziś powiedzieli — tematykę wiejską (tzw. Heimatkunst), powziął zamiar opublikowania serii powieści „chłopskich”, tłumaczonych z różnych języków. Owo przedsięwzięcie wydawnicze rozpoczęła właśnie publikacja „Chłopów”, kontynuowała wznowiona w 1922 roku powieść pisarza duńskiego Henrika Pantoppidana „Ziemia obiecana”, a następnie „Wieś” Iwana Bunina, która ukazała się w roku 1936.

Niemiecki przekład „Chłopów” dotarł do Szwecji i wywołał wśród tamtejszej publiczności literackiej znaczne zainteresowanie. Jednym z oddźwięków był esej o Reymoncie znanego szwedzkiego historyka literatury Fryderyka Böőka, który wystawił dziełu polskiego pisarza taką opinię: „Rzadko się zdarza czytać wielotomową powieść w rozmiarze „Chłopów” z równym zainteresowaniem od początku do końca (...) Żyjemy podczas lektury między prawdziwymi ludźmi, oglądamy tak liczne oblicza, że nawet nazwisk ich zapamiętać nie można, czujemy każdej chwili twardy grunt pod nogami. Skoro w końcu odkładamy książkę na bok wiemy, że zdobyliśmy to, co tylko wielki poeta dać może: wgląd w prawdziwe życie ludu” (cyt. za: Stanisław Wędkiewicz, „Chłopi” Reymonta w Szwecji, Kraków 1925).

W roku 1918, równocześnie niemal z ukazaniem się eseju Böőka, Akademia Umiejętności w Krakowie przedstawiła kandydaturę Władysława Stanisława Reymonta Akademii Szwedzkiej przyznającej Nagrodę Nobla. Ale na sukces trzeba było jeszcze kilka lat poczekać. Akademia Szwedzka ogłosiła Reymonta laureatem w dniu 13 listopada 1924 r. W tym też czasie ukazał się ostatni tom szwedzkiego przekładu „Chłopów” (w tłumaczeniu Ellen Wester), zawierający na okładce — jako najlepszą reklamę — przedruki fragmentów recenzji niemieckich.

Szczegółowe ukazanie recepcji „Chłopów” na gruncie niemieckim wykracza siłą rzeczy poza ramy okolicznościowego artykułu. Jej drobiazgową rejestrację pozostawmy zatem specjalistom, akcentując w tym miejscu przede wszystkim żywotność wybitnego dzieła, sprawdzającego się znakomicie w pół wieku po śmierci autora w szerokim, pozapolskim kontekście kulturowym.

W kręgach tłumaczy literatury polskiej mówi się coraz częściej o wzrastającym jej oddziaływaniu — rośnie bowiem ilość przekładów, poszerza się międzynarodowy krąg odbiorców. Powiada się także o „posłannictwie książek”, przyczyniającym się do lepszego poznania i wzajemnego zrozumienia różnych narodów. Dla współczesnych twórców i tłumaczy casus „Chłopów” Władysława Stanisława Reymonta stanowi wzorzec najlepszy owego właśnie posłannictwa.

PORÓWNANIA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

PROGI DOJRZAŁOŚCI

Znający się na rzeczy powiadają, że młody człowiek, jeżeli tylko zdrowy jest i rozwija się normalnie, musi przekroczyć dwa ważne progi w okresie dojrzewania: próg, który go dzieli od dziewczyny i świata. W pierwszej i bardzo miłej sprawie każdy przyzna, że trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego niż czasy pierwszej miłości i kilku następnych, także uznawanych za pierwsze. To właśnie uczucie, rzecz prosta, silne i wierne nie tyle może do grobowej deski ile następnej wiosny, ulokowało się — jeśli miałbym o sobie powiedzieć — w niezwykłym pejzażu kieleckim, a i literackim, gdzie swój ciepły stosunek do kobiet tak wdzięcznie podkreślali — Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, czy Stefan Żeromski. Jeszcze i dzisiaj chciałoby się pójść za Żeromskim starą aleją na klasztorne wzgórze, albo ku Puszczy Jodłowej, koniecznie przysiąść na kamieniu Biruty i zapewniać miłą — wybijemy się jakoś razem, zdobędziemy wspólnie ten zawiły i pełen zasadzek świat, tak jest, zdobędziemy, jesteśmy już przecież dojrzali. Prawie dojrzali, jeszcze tylko ta matura trochę wadzi.

Mówmy jednak o tym drugim progu, stosunku młodego człowieka do świata. Jestem po lekturze ostatnich numerów pisma młodzieży Liceum Ogólnokształcącego imienia Stefana Żeromskiego w Kielcach. Tytuł raczej wymowny i bojowy — **„Młodzi Idą"**.

Pismo powstało jeszcze w latach trzydziestych, należy więc pewnie do najstarszych tego typu i miało nie byle jakich redaktorów, że dla przykładu wymienię — **Juliana Rogozińskiego, Adolfa Sowińskiego, Tadeusza Papiera**, przed samą wojną — **Józefa Ozgę Michalskiego**, po wojnie — **Edmunda Niziurskiego**, a więc pisarzy z prawdziwego zdarzenia, którzy wyrastali również przy pomocy szkolnego pisma, tam, na jego łamach przypinali sobie po raz pierwszy ostrogi. Miałem i ja szczęście należeć do grona redaktorów „Młodzi Idą", co kompensowało mi choć trochę bardzo wyraźne niepowodzenia w przedmiotach ścisłych.

Pamiętam, że w latach międzywojennych pismo wychodziło regularnie, ale na wariackich papierach. Żyło głównie z ogłoszeń, zależało więc od dobrego humoru kieleckich kupców, właścicieli sklepów kolonialnych księgarń, piekarń, zakładów pogrzebowych, czy kamieniołomów. Nasi dzielni akwizytorzy wyrzucani nie jeden raz drzwiami, powracali do właścicieli „interesów" oknami. Bywało, udawali ciężko chorych w poczekalniach najbardziej wziętych lekarzy, próbowali nawet kiedyś zbierać datki na pismo podczas mszy, bezskutecznie jednak, konkurencja była zbyt silna i doświadczona. Pismo wychodziło więc regularnie, a drukował je pan Łęski, wielki przyjaciel młodzieży całkiem zresztą bezinteresownie, otrzymywał bowiem należność na „święty — nigdy".

Młody człowiek w starannie zaprasowanych spodniach, wystrojony w przepisowy mundurek szkolny, opatrzony czerwoną tarczą, pragnął wtedy udowodnić, że jest dojrzały, przekracza ów trudny próg stosunku do świata. Tak się dzieje w każdym chyba pokoleniu. Młody człowiek próbował rymować, pisał wiersze, od tego często zaczynał, podobnie jak i dzisiaj bywa. Bania z poezją rozbiła się ponad głowami młodzieży, sam także próbowałem poezjować chociaż bez żadnego skutku. W rezultacie tego może i nie najwyższych lotów ruchu poetyckiego ukazał się w Kielcach pierwszy w dziejach młodych samodzielny tom poetycki, zatytułowany — a jakże — po świętokrzysku: „Gołoborze". Tomik otrzymał rymowaną recenzję pióra **Witolda Zechentera** na łamach oficjalnego **„Ilustrowanego Kuriera Codziennego"**, który wychodził w Krakowie. Zechenter pisał zjadliwie:

„Jeden z drugim nieboże,
o, kielecka szkoło!
Do matury dostać się nie może
a już wydali wiersze „Gołoborze".
Istotnie goło".

Mniejsza o poezję i jej krytyków. Młody człowiek zapewne przesadnie o tym przekonany, że połknął już wszystkie esencje filozoficzne i wie, co to jest świat i jak się w nim znaleźć, ten młody człowiek próbował formułować swoje poglądy, niekoniecznie zgodne z programem nauczania. I właśnie wtedy był sobą, kiedy próbował tworzyć własną hierarchię wartości.

Dalekie to już lata, pamiętam jednak zawzięte dyskusje na łamach „Młodzi Idą". Konkurencja z sąsiedniego Liceum Matematycznego pisała w swoim organie, że młodzi wcale nie idą, ale leżą i to na obu łopatkach, oni jednak zastanawiali się nad położeniem maturzysty, niewesołym w tamtych latach. Kraj wcale nie wołał o ręce do pracy, przeciwnie — chętnie ich się pozbywał. W refleksjach uczniów pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, wegetujących chłodno i głodno na stancyjkach, odzywały się nadal wtedy aktualne echa „Słowa o bandosie". Młody człowiek dobre miał oczy i wrażliwe serce. Te same miejsca, kanonizowane na lekcjach literatury czy historii, przedstawiał jako Czarnolas zwykłej chłopskiej biedy dalekiej od zachwytu nad urokami lipy, dawno zresztą ściętej. Piórem jeszcze nie sprawnym pewnie z bykami gramatycznymi, które poprawiała „pani od polskiego", próbował rysować smutne obrazy rzeczywistości i w ten niedoskonały, ale istotny sposób, przekraczał próg swojego już, własnego, autentycznego stosunku do świata.

Fot. Archiwum

Przejrzałem uważnie ostatnie numery „Młodzi Idą". Inne to już pismo, inna młodzież próbuje w nim sił, a jednak pozostała jakaś wspólna nić, ta sama chęć pokazania wagi pierwszych osiemnastu lat życia, pierwszych doświadczeń społecznych, sądów i odkryć. Patronem społecznym pisma jest kielecki Wydział Kultury. Mimo znanych kłopotów z papierem, czy uruchomieniem „odpowiedniego paragrafu" wydział znajduje odpowiednie środki na wydawanie pisma.

Młody człowiek z dzisiejszych lat, także zaopatrzony w czerwoną tarczę, ów znak prawie-dojrzałości, ubrany w strój dowolny, jak jego poprzednik, próbuje prezentować swój stosunek do świata. Dyskutuje, spiera się zawzięcie i uparcie broni swoich racji.

Biorę do ręki dwa pierwsze z brzegu numery i z miejsca natrafiam na interesującą dyskusję dotyczącą modelu współczesnego maturzysty, jego wyposażenia i życiowych szans. Ten sam temat, a jakże różne argumenty! Punkt wyjścia stanowi tym razem dokonywana właśnie reforma szkolna. Czy współczesny maturzysta dobrze jest do życia przygotowany w momencie otrzymania patentu dojrzałości? Młodzi wątpią w to przygotowanie, w szkole wciąż jeszcze przeważa metoda trochę zastępczego poznawania świata, podręcznikowa, od strony do strony. Rzeczywistość, chociażby tylko ta związana ze sprawami kultury, nie utorowała sobie zbyt szerokiej drogi do szkoły. Rzecz charakterystyczna — młodzi licealiści nie pasjonują się specjalnie regulaminem szkolnym, prawami ucznia, gotowi są chodzić w mundurkach, czesać się, jak sobie dyrekcja życzy, odpowiadać, pisać klasówki w każdym terminie, byle tylko ich szkoła stała się integralną częścią współczesności.

Inna dyskusja, rozsądna, poparta z każdej strony argumentami, wykazała niesłuszność posądzania młodych o szukanie wzorów postępowania u hippisów. Czytałem też z dużą satysfakcją artykuły atakujące opóźnienia inwestycji kulturalnych na Kielecczyźnie. Atak jest ostry, precyzyjniejszy niż to czasem bywa u dziennikarzy „dorosłych", tych z organów, skłonnych do uników.

Młody człowiek jest szczery i bezkompromisowy. Szkoła mu nie wystarcza, poszerza więc niejako program nauczania, uzupełnia go rozważaniami na temat literatury współczesnej, kiepsko jeszcze reprezentowanej w szkolnym repertuarze. Szuka u współczesnych pisarzy odpowiedzi na pytania, które stawia samemu sobie, szuka z pewnością dlatego, że w szkole nie znajduje odpowiedzi.

Z największym jednak zainteresowaniem czytałem reportaże z ziemi rodzinnej Stefana Żeromskiego i z innych stron kraju. Młode oczy wrażliwe i bystre w dzo dobrze jak się Polska — używając słów Żeromskiego — zmienia „Od przyciesi". Przejęty swą dojrzałością zachowuje się dzisiaj nie jak ubogi klient wielkiej ojczyzny, lecz jak jej partner, prawie współtwórca tego, co się dzieje i widzi, dobrze widzi swoje miejsce w dynamicznie rozwijającym się kraju który woła o zdolne głowy. To już nie jest maturzysta z tamtych lat, niepewny o swój przyszły los. Przeciwnie, dzisiaj może wybierać ścieżki, którymi pójdzie w dojrzałe życie. Ten zapis świadomości młodego pokolenia wydaje mi się szczególnie cenny.

Patrzę na starannie wydawane pismo, rzadkie chyba w kraju, odczytuję nazwiska uczniów i uczennic z różnych liceów, z rozmaitych miast, a myślę o Łodzi. Tu także nie brak zdolnej młodzieży, która przekracza właśnie progi dojrzałości. Daleki jestem, to chyba jasne, od przekonania, że ożywienie interszkolnego życia intelektualnego młodzieży, załatwi powołanie u nas trybuny młodych na kielecki wzór, czy też własny, wypracowany u siebie. Ale od tego można zacząć, jeżeli się wierzy, że młodzież może i powinna zaprezentować własne, zaangażowane i cenne dla ogółu stanowisko wobec współczesności.

FILM

EWA NURCZYŃSKA

TRUDNY BILANS

Film polski po latach zastoju odzyskał zaufanie publiczności. Najprościej byłoby powiedzieć, że stało się to za sprawą literatury. Rzecz sama nie jest jednak tak oczywista, bo gdyby tak było, premiery polskich filmów winny być pasmem nieustających sukcesów, jako że nieomal co premiera — to adaptacja. Film nasz żył i żyje z literatury, a oryginalne scenariopisarstwo nadal pozostaje kinematograficznym ewenementem. Fakt więc, że bywa wielka i mała literatura, można by przyjąć za wytłumaczenie proporcjonalnej ilości wielkich i małych filmów. Po części w konstatację tę uwierzyć by można, gdyby nie pamięć o tych filmach, którym dobra literatura nic a nic nie pomogła. Tak więc przyszła chyba pora uwierzyć w dobrych filmowców, ludzi, którzy umieją czytać literaturę, ale na tej umiejętności nie poprzestają. Znają też swą sztukę czy po prostu tylko swój fach. Dzięki temu i dzięki swym autentycznym talentom proponują dzieła, które w całokształcie narodowej kultury zyskują swą autonomiczną ważność i wartość, stają obok swych pierwowzorów, dzieł, które swoje miejsce dawno już odnalazły.

Czasem filmy te zajmują pozycje konkurencyjne **(„Ziemia obiecana", „Dzieje grzechu")**, czasem stają skromnie obok, proponując jedynie wybór **(„Noce i dnie")**, czasem przedłużają żywot oryginału, zwracają nań na powrót czytelniczą uwagę **(„Zaklęte rewiry")**. Dobrane tu przykłady to jedynie tegoroczne premiery, filmy, które kontynuując dobrą passę filmowych adaptacji polskiej literatury, podbudowały owo wspomniane u początku rozważań zaufanie publiczności.

Tak więc idąc tropem literatury, dodajmy — jej klasyki, film polski roku 1975 wypłynął na szerokie wody sukcesu, które zamącił jedynie nieszczęsny **„Doktor Judym"**, któremu dajmy jednak już spokój i zapomnijmy dla dobra ogółu o jego istnieniu. U progu nowego roku, za którym stoją jednak lata następne, warto z troską pomyśleć o tym, czym one „filmowo" wypełnione będą. O wielką literaturę niełatwo, a jej zasoby przy zainteresowaniach i tempie przyjętym przez naszych filmowców szybko się wyczerpią. I co wówczas? Bilans tegoroczny każe z pewną trwogą w ową przyszłość patrzeć, jako że sama klasyka kino żyć nie może, bieżącej dobrej literatury nie tak znów wiele, scenarzystów, fach swój znających, w kinematografii polskiej jak nie było tak i nie ma, a barw grona reżyserów — autorów bronią ostatnio z godnością jedynie **Grzegorz Królikiewicz** i **Krzysztof Zanussi**.

Spojrzenie wstecz na to, co kinematografia polska proponowała swym widzom, każe, poza wspomnianymi sukcesami adaptacyjnymi, dość surowo dorobek mijającego roku ocenić. Bo i jak inaczej, skoro z jednej strony temat współczesny uważa się za jeden z głównych atutów sztuki filmowej, z drugiej zaś walory atrakcyjności i rozrywki za magnes ludzi do kina przyciągający. Co wynika z przymierzenia tych przekonań do rzeczywistości filmograficznej 1975 roku?

Temat współczesny nie po raz pierwszy w kinie naszym wyparty został przez temat wojenny. Były czasy, że sytuację taką przyjmowano jako coś naturalnego. Temat obrachunków z wojną i okupacją był wyrazem potrzeby społecznej świadomości. Powstały wówczas filmy wybitne, które zwyczajowo zwykliśmy określać „szkołą polską". Późniejsze powroty do czasów wojny przyjmowaliśmy i przyjmujemy nadal jako coś naturalnego i potrzebnego, stawiamy jednak tym powrotom coraz większe wymagania. Charakterystyczne dla współczesnego czytelnika i widza gusty i zainteresowania kierują go częściej ku literaturze faktu i filmowi dokumentalnemu. Od literackiej i filmowej fikcji artystycznej wymaga się coraz silniejszych walorów intelektualnych, emocjonalnych i moralnych, którym towarzyszyć musi prawda historyczna. Tych oczekiwań nie zaspokoiła bardzo liczna grupa tegorocznych filmów o tematyce wojennej, a więc ani **„Czerwone i białe"**, ani **„W te dni przedwiosenne"**, ani **„Moja wojna, moja miłość"**, ani **„Znikąd donikąd"**, obronną ręką wyszedł jedynie **Stanisław Różewicz**, autor filmu **„Opadły liście z drzew"**.

A temat współczesny? Reprezentowała go znikoma ilość filmów, pośród których jedynie **„Wieczne pretensje" Grzegorza Królikiewicza** ujawniły autentyczną pasję penetracji zjawisk życia społecznego i psychologicznego. **Kazimierz Kutz** realizując **„Linię"** według powieści **Jerzego Wawrzaka** nie wykorzystał do końca szansy, jaka tkwiła w ważkim politycznie i społecznie temacie.

Film psychologiczno-obyczajowy w każdym wypadku staje się okazją do odkrywania problemów świata, w którym żyje człowiek. Film taki jest nieobecny w polskiej kinematografii. Para się nim jedynie **Krzysztof Zanussi** i jego **„Bilans kwartalny"** pozostaje jedyną wizytówką tego jakże cenionego przez widzów gatunku. Przymierzył się też do niego **Jerzy Stawiński**, realizując **„Urodziny Matyldy"**, efektem tej próby była karykatura psychologii i prawdy obyczajów. Karykaturą zamierzoną był **„Awans" Janusza Zaorskiego**, zrealizowany wedle literackiego pomysłu autora bardzo w Polsce w ostatnich latach czytanego, **Edwarda Redlińskiego**. I choć można by film tłumaczyć tym, że **„Awans"** nie dorósł do **„Konopielki"**, to i tak to tłumaczenie nas zupełnie nie uspokoi.

Film ten pozwala jednak przenieść się w rejony kina rozrywki, kina popularnego — komedii, sensacji, kryminału itd. Przenieść jedynie w marzeniach. Film rozrywkowy bowiem to nadal pusta plama na mapie naszej kinematografii. Nie wypełni jej ani **„Orzeł i reszka"**, ani **„Strach"**, utworki, których nie ratuje przysłowie o bezrybiu, na którym i rak — ryba. Tak więc ni wzruszać, ni bawić, ni emocjonować się na polskim filmie nie jest nam dane. Inni robią to lepiej — to pewne, ale nasi nawet ostatnio i nie próbują. Toteż cofam słowa pod adresem prób panów Filipskiego i Krauzego, bo może, i z nie najlepszych doświadczeń, coś dobrego kiedyś wyniknie. Tyle, że to oczekiwanie na dobrą polską filmową rozrywkę trwa już tak długo, że ową wiarę traci się pozwoli zupełnie, podobnie, jak i wiarę w to, że ktoś tam pamięta o tysiącach dzieci, które tak lubią kino, a kino tak bardzo je nie lubi. Jedyną premierą aktorskiego a nie animowanego filmu dla dzieci był na ekranach **„Koniec wakacji" Stanisława Jędryki**. To chyba za mało jak na potrzeby.

Tak więc zacząwszy od radości z sukcesów, wbrew marzeniom, skończyć trzeba było na smutkach i żalach. Ale tak to już jest, gdy rok minął trzeba obejrzeć się wstecz, po to, by myśleć o tym, co przed nami. Oby było lepiej — czego z Nowym Rokiem życzę polskim filmowcom, wszystkim Czytelnikom i sobie samej, bo choć piszącemu łatwiej krytykować, lecz milej chwalić.

SAGA O BEATLESACH

Dalszy ciąg ze str. 1

— Królowa Anglii.

Ich osobowość oskarza i cudownie rzutuje na cały świat pop-music, który w rzeczywistości jest przedłużeniem nurtów wielkich mitów jakie są potrzebne każdej nowej generacji. Bożyszcza płyt zastąpiły gwiazdy kina. Każdy z Beatlesów pozostaje w kontraście z pozostałymi czterema, podkreślając przez to ich wartość. Cała grupa gra nieustanną „komedię dell' arte" aby usatysfakcjonować wszystkie gusty publiczności.

BYŁO NAS CZTERECH FACETÓW

John Lennon, Paul McCartney, George Harrison, Ringo Starr. Byli jedynym zespołem beatowym który spotkał olbrzymi zaszczyt 26 października 1965 r. w Pałacu Buckingham królowa Elżbieta II dekoruje ich Orderem Imperium Brytyjskiego. Dekoracja Beatlesów była powodem dużego zamieszania, protestów, a nawet zdarzało się, że 'combatanci zwracali w dowód protestu ordery otrzymane za zasługi wojenne. **John Lennon** skwitował to następująco:

„Dużo ludzi protestowało przeciwko naszemu odznaczeniu Orderem Imperium Brytyjskiego. Przeważnie byli to ci, którzy zostali nim odznaczeni za walki wojenne i za zabijanie innych ludzi. My natomiast dostaliśmy order za dawanie ludziom rozrywki i umilanie życia innym. Myślmy się chyba lepiej zasłużyli. A co wy o tym myślicie?".

Zresztą kilka lat później Beatlesi zwrócą swe odznaczenia protestując przeciwko wojnie w Wietnamie i uciskowi kolonialnemu.

4 lata później John Lennon powie: **„Było nas czterech facetów. Założyliśmy zespół, który zdobył sukces, stał się sławnym już nigdy więcej nie zrobi żadnych postępów".**

Jak to było naprawdę?

PREHISTORIA

Współczesna pop-music zaczęła się zasadniczo w momencie, kiedy na arenę wstępuje **Bill Haley** i jego The Comets, kiedy **Elvis Presley** — chłopiec z Tennessee — nagrywa swe pierwsze płyty w Nashville dla fabryki płyt „Sun". Rozpoczyna się wielka era rock and-rolla. Nazwa muzyki pochodzi od jednego z przebojów rhytm and blues, w którym powtarzały się słowa **We gonna rock, we gonna roll"** (Będziemy się kołysać, będziemy się zataczać). Termin rock and roll miał — podobnie jak ongiś słowo jazz użyte czasownikowo — znaczenie czysto erotyczne. Oba te słowa utraciły oczywiście swe pierwotne znaczenie i stały się nieprecyzyjnymi ogólnikami oznaczającymi określoną formę muzyczną.

Pierwsze popularne przeboje młodego pokolenia opierały się na współczesnym rhytm and blues na jego sztandarowych tematach, które już — znacznie wcześniej — zrobiły karierę na rynku murzyńskich bluesów. Część tych standardów była również eksploatowana przez muzykę jazzową. Wokaliści „Hit Parades" osiągają fenomenalne triumfy, robią błyskawiczne kariery. Nagrania muzyki pop stają się główną podporą radiostacji, wytwórni płyt gramofonowych, a później sieci koncernów telewizyjnych.

Wraz z pojawieniem się Chubby Checkera następuje okres twista, a z nim kończy się era bezpośredniego kontaktu tancerzy w tańcu (do tytułu wynalazcy twista rościł sobie również pretensje aktor i śpiewak murzyński Stephin Fetchit). Oprócz twista zjawiają się inne gatunki: hully gully, jerk locomotion, pony watusi, hitch-hike, swim, monkey. Zostaje utworzony sztandarowy skład instrumentalny (3 gitary i perkusja) młodzieżowych zespołów pop-music. I od tej pory gitary elektryczne: prowadząca (solowa), rytmiczna (akordowa) i basowa oraz mocno eksponowana strona wokalna wyznaczać będą styl i kierunek rozwojowy światowej muzyki rozrywkowej.

ICH SZCZENIĘCE LATA

Pisze o tym „wódz ideowy" zespołu John Lennon w swym autobiograficzno-monograficznym szkicu zatytułowanym **„Nasze szczenięce lata":**

„Urodziłem się 9 października 1940 roku w Woolton, handlowej dzielnicy Liverpoolu. Wspomnienie rodzinnego miasta kojarzy mi się zawsze z widokiem statków na redzie, z zapachem ryb i krzykiem mew unoszących się nad portowymi basenami. Gdy miałem pięć lat uganiałem się wraz z innymi małymi urwisami po krętych ulicach Liverpoolu ku utrapieniu poczciwej ciotki Mimi Smith, która zajęła się mną po rozwodzie rodziców. Byłem puciłowatym chłopcem o jasnych włosach i dużych orzechowych oczach, rozpieszczonym przez wszystkich mieszkańców dzielnicy. Miałem bardzo szczęśliwe dzieciństwo...

Gdy byłem nieco starszy, spędzałem długie godziny na czytaniu angielskich klasyków, rysowaniu i malowaniu. Chciałem wówczas zostać malarzem, a gdy skończyłem 14 lat wstąpiłem do liverpoolskiej „Art School". Poznałem tam Paula McCartneya; był on dwa lata młodszy ode mnie, jego rodzice mieszkali w willowej dzielnicy Aleston, a ojciec handlował bawełną..."

Był to rok 1955, John zorganizował wtedy zespół skiflowy **„Quarrymen"**, a Paul został członkiem tej grupy. Kilka miesięcy później były muzyk orkiestry „Rebels" skaperowany został do „Quarrymen". Nazywał się **George Harrison**. „Quarrymen" istniał do grudnia 1959 roku, a na jego miejsce powstało trio **Johny and The Moondogs** (John, Paul i George), w roku następnym powiększone o **Stu Sutcliffe'a** i **Pete Besta**. Paul grał na fortepianie, a George i John na gitarach. Stu poradził im, aby udali się do Hamburga, gdzie zespoły angielskie miały dość duże powodzenie.

„W Hamburgu zawarliśmy znajomość z Ringo. Angielskie orkiestry występujące w tym mieście tworzyły swoistą kolonię. Mieszkaliśmy w tych samych hotelach, jadaliśmy w tych samych restauracjach, spotykaliśmy się w tych samych lokalach. Ponadto Ringo pochodził jak i my z Liverpoolu, gdzie jego ojciec był skromnym urzędnikiem. Ringo nazywa się naprawdę Richard Starkey, a przezwisko Ringo nadano mu ze względu na jego zamiłowanie do pierścionków (w języku angielskim „ring" — przyp. A.J.). Nosił ich zawsze co najmniej trzy. Ringo miał najsmutniejsze z nas wszystkich dzieciństwo, często bowiem chorował. Perkusją zaczął się interesować dopiero mając 17 lat; pracował wówczas w sklepie z przyborami sportowymi...

Fot. Archiwum

W 1960 r. po powrocie z Hamburga odbyliśmy tournee po Szkocji. Jako zespół Silver Beatles akompaniowaliśmy tam Johnny Gentle'owi. Po powrocie z Liverpoolu rozpoczęliśmy regularne występy w najbardziej uczęszczanym lokalu „Cavern" George już od dłuższego czasu grał razem z nami. Afisze reklamujące Beatlesów zapowiadały, że „przybyli oni wprost z Hamburga", zatem podczas naszego pierwszego koncertu publiczność sądziła, iż jesteśmy zespołem niemieckim. Ringo, który również wrócił do kraju, zastępował niekiedy Pete Besta. W kwietniu 1961 r. pojechaliśmy do Hamburga na specjalną prośbę dyrektora „Top Ten". George skończył już 18 lat, mógł nam więc tym razem towarzyszyć.

W Hamburgu ubrano nas w czarne skórzane bluzy. Nasze koncerty stały się jednym wielkim triumfem. Uznano nas za gwiazdorów, akompaniowaliśmy takim sławom jak Tony Sheridan, z którym nagraliśmy również nasze pierwsze płyty — mój pierwszy przebój: „Ain't she sweet" i „My Bonnie". Pierwszego wieczoru George, który właśnie wyszedł z wanny, zjawił się na scenie nie uczesany, z włosami opadającymi na czoło. Zdecydowaliśmy się na wylansowanie takiej właśnie fryzury".

Do Anglii wracają bez Stu Sutcliffe'a, który zaręczył się z młodą Niemką Astrid i pozostał w Niemczech licząc na stypendium ułatwiające mu kontynuowanie studiów nad rysunkiem. Na jego miejsce wchodzi do zespołu Paul. Powstaje więc (7 lipca 1961 r.) nowa grupa — **Beatmakers**, w której poza Georgem i Johnem (grał na fortepianie) występują dwaj perkusiści **Freddie Mardsen i Pett Best**, wokalista **Gerry Marsden**, saksofonista **Les Maguire** i

JACEK INDELAK

SMUTEK GRAJĄCEGO KRĄŻKA

Ukazała się wreszcie polska licencyjna płyta, zawierająca nagrania z pierwszego longplaya szwedzkiej grupy **„Abba"**. Płyta która **„POLSKIE NAGRANIA"** pysznią się, niczym paw zapatrzony w jedno kolorowe piórko własnego ogona. Płyta zresztą o którą przez wiele tygodni nagabywali klienci, a która zniknęła w ciągu kilku godzin półek stoisk muzycznych. Zniknęła — mimo podwojonej ceny, wbrew cennikom i początkowym zamiarom producenta.

Wszyscy w koło — od klientów po recenzentów — wychwalają „Polskie Nagrania" za operatywność, a ja — się czepiam! Dlaczego? Otóż, polska płyta „Abba" wpędziła mnie w absolutny smutek. Jednym szybkim pociągnięciem obaliła bowiem wieloletnią legendę, jaka „Polskie Nagrania" mydliły oczy nam — miłośnikom muzyki z płyt gramofonowych. Legendę, w którą — jako dobry obywatel — skłonny byłem wierzyć i nie czepiać się „Polskich Nagrań".

Przez wiele lat wiedliśmy się na samym końcu ogona producentów płyt, pod względem ich ilości, jak i jakości! Bili nas na głowę Czesi i Jugosłowianie, Węgrzy i Rosjanie, nie mówiąc już zupełnie o innych rutynowanych producentach. Biją nas nadal, bo i nadal wleczemy się w przysłowiowym ogonie. A z polskiej płyty „Abba" żadna pewnie jaskółka, zanim doczekamy się przedwiośnia, przebrnąć będziemy musieli przez surową i długą zimę.

Legenda jednak została przekreślona. „Polskie Nagrania" same chyba nie wiedząc co czynią, stworzyły sytuację, w której już dłużej nie będą mogły się bronić i wykręcać trudnościami obiektywnymi: niedorozwojem przemysłu tłoczeniowego i okładkowej poligrafii brakiem sprzętu i urządzeń trudnościami dewizowymi.

Zwłaszcza te ostatnie były zawsze najmocniejszym atutem „Polskich Nagrań". Dlaczego nie kupujemy za granicą aktualnych przebojów? Odpowiedź: brak dewiz! Dlaczego nie kupujemy nagrań oryginalnych, tylko kiepskie kopie, w rodzaju **„Kabaretów"** czy **„Al Saxonów śpiewających Sinatrę"**? Odpowiedź: za mało dewiz! Dlaczego kupujemy na wyprzedażach prowincjonalne taśmy z nagraniami **„Avenue Recordings LTD."** czy **„Inmus"**, które nawet u nas nie znajdują już nabywców i zostają w końcu przecenione? Dlaczego kupujemy nagrania podrzędnych wykonawców takich, jak — powiedzmy — **James Royal** czy grupa **„The Zombies"**? Odpowiedź: za mało dewiz! Jeśli mamy tak mało dewiz, to dlaczego wyrzucamy je lekką ręką w błoto, kupując tandetę i barachło, za które nikt już pewnie złamanego dolara nie zechce dać? Tylko na to pytanie „Polskie Nagrania" nie potrafiły — lub nie chciały — udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

Aż tu nagle — „Abba". Zaistniał precedens. „Polskie Nagrania" nie mają zatem innego wyjścia: muszą już na dobre otrząsnąć się z mitów i legend o totalnej niemożności, a zabrać się do solidnej, pożytecznej i operatywnej pracy. Tym bardziej że oczywistego dowodu na to, iż mogą tak pracować, dostarczyły same — już nie tylko „Abba" ale — na przykład — wydanymi w rzeczywiście krótkim czasie **„Srebrnymi dzwonami"**. Ta zaś płyta rozwiała kolejną legendę z repertuaru „Polskich Nagrań", głoszącą, że w naszych warunkach od wykonania studyjnego zapisu do ukazania się płyty w sklepach musi upłynąć co najmniej rok!

Smutno więc i nijako. Bo przecież — mimo precedensów — na naszym rynku płytowym żałość i szarzyzna. „Polskie Nagrania" od dobrych trzech lat grożą rewolucją, a nawet „drobny przewrót pałacowy" wyjść im nie może. Tymczasem zaś rewolucję w naszej płytowej rzeczywistości próbuje zrobić całkiem kto inny. Bez szumu przy tym, jaki wzniecają „Polskie Nagrania"...

Ten kto inny, to **Łódzkie Zakłady Radiowe „Fonica-Unitra"**. Ostatnia wizytą, jaką złożyłem w tym zakładzie, wzbudziła we mnie uczucia co najmniej mieszane. Z jednej bowiem strony — podziw dla ambitnej załogi, dla wysiłków dyrekcji i działów konstruktorskich. Z drugiej zaś — znów smutek i żal z powodu nieprzystawania gramofonowych zamierzeń „Foniki" do rzeczywistości płytowej, jaką nam stwarzają „Polskie Nagrania". Aż strach pomyśleć, co będzie, jeśli „Fonica" w tak krótkim czasie, jak to planuje, zrealizuje wszystkie swe projekty.

Zaistnieje wówczas, być może, sytuacja podobna do tej, o której opowiadali mi znajomi. Zaproszeni oni zostali przez miłośnika płyt na muzyczny seans, podczas którego na znakomitej aparaturze stereofonicznej odtworzono im kilka doskonałych nagrań płytowych. Na koniec właściciel płytoteki puścił jeszcze jedną płytę: szumy własne płyty, trzaski przydźwięki uniemożliwiały jej normalne słuchanie. Czuła aparatura zdemaskowała ponadto pseudostereofoniczny charakter monofonicznej w istocie płyty. Była to polska płyta stereofoniczna wyprodukowana w 1974 roku. Rzecz zaś cała wydarzyła się w Danii — w mieszkaniu tamtejszego, całkiem zresztą przeciętnego, amatora płyt.

Daleko nam jeszcze do takich sytuacji, gdyż w wielu naszych mieszkaniach na zdezelowanych **„Bambinach"** czy nawet **„Karolinkach"** „piłuje się" namiętnie tandetne pocztówki dźwiękowe. Niemniej szeroką falą rozpowszechnia się moda na dobre płyty gramofonowe i sprzęt odtwarzający o wysokiej jakości. Modę tę zresztą umacnia i rozszerza łódzka „Fonica", podbijając rynek co rusz to nowymi konstrukcjami gramofonów.

„Fonica" wyszła z impasu, w jakim się jeszcze nie tak dawno znajdowała. Śmiało kroczy w stronę światowego standardu. Wypuściła gramofony średniej klasy — całą rodzinę **„hitów"**. Mimo nieustającego ich powodzenia, zaprzestaje produkcji znanych już na rynku typów. Mgr **Józef Napieracz**, dyrektor naczelny „Foniki", wyjaśnia, że ambicją zakładu jest uprzedzanie życzeń potencjalnych nabywców gramofonów. Dlatego też popularne **„Mister-Hit"**, **„Stereo-Hit"** i **„Party-Hit"** zastąpione zostaną już w przyszłym roku nowymi gramofonami: **„WG-414"**, **„WG-416"** i **„WG-417 Lux"**. Wszystkie będą miały poprawione parametry techniczne: większe moce, większy zakres odtwarzanych dźwięków. Zmieni się także ich szata zewnętrzna. Zastosowanych ponadto zostanie w nich wiele ulepszeń konstrukcyjnych, m.in. **„WG-417 Lux"** wyposażony zostanie w „lift", czyli urządzenie do płynnego opuszczania i podnoszenia ramienia adapteru.

To tylko fragment przedsięwzięć „Foniki". Najważniejszym z nich jednak jest bez wątpienia ulepszony **„Fonomaster"** — w istocie zaś prawie nowy gramofon światowej klasy **„Hi-Fi"** — typu **„WG-610"**.

„Fonomaster" — który mimo wysokiej ceny, stał się prawdziwym przebojem rynkowym tego roku — nie zadowolił jednak konstruktorów. We wrześniu powzięto decyzję o produkcji nowego gramofonu. W niespełna miesiąc później zakończono prace konstruktorskie i zbudowano prototyp. W grudniu — seria informacyjna. W styczniu zaś pierwsza partia tego urządzenia powędruje do sklepów. Tempo zawrotne! Jak je przymierzyć do drugiej strony płytowego medalu — do działalności „Polskich Nagrań"?!

W pracowni głównego konstruktora „Foniki" — inż. **Witolda Bohdziuna** oglądałem ten nowy gramofon. W porównaniu z „Fonomastrem", który nie tylko na nasze warunki stanowił duże osiągnięcie techniki, jest on dużym krokiem do przodu. Napęd talerza sterowany jest elektronicznie za pomocą klawiszy, sam talerz jest inaczej łożyskowany, zaś silnik napędza prąd stały, a co najważniejsze — całkowicie wyeliminowano zakłócenia wewnętrzne gramofonu.

W tej samej pracowni trwają próby innego prototypowego gramofonu — **„G 1100"** — również reprezentującego klasę „Hi-Fi", w którym po raz pierwszy zastosowane zostało sterowanie obrotów tzw. sensorami, umo-

MUZYKA — HISTORIA PŁYTY

kontrabasistą **Les Chadwick.** George był solistą tego siedmioosobowego zespołu, który głównie występował w Cavern. W październiku 1961 r. **Brian Epstein** proponuje im zajęcie się sprawami impresaryjnymi zespołu.

Nowi członkowie zespołu wkrótce zresztą odchodzą. Jeszcze tylko uroczyste koncerty w nowym klubie „Star-Club" w Hamburgu, trzy miesiące pobytu w Niemczech, powrót i... powstają **BEATLESI.**

Swój autobiograficzny szkic kończy Lennon na 1962 r., kiedy to ich piosenka **„Love me do"** zdobyła 17 miejsce na liście przebojów. Kończy się pierwszy okres twórczości chłopców z Liverpool.

NARODZINY

„W sierpniu przyłączył się do nas Ringo — pisze J. Lennon i tak narodzili się Beatlesi. 23 sierpnia 1962 r. odbył się mój ślub z Cynthią (Cynthia Pauwell, studentka liverpoolskiej „Graphic School of Art" — przyp. A.J.), a 4 września tegoż roku Brian wprowadził nas do studia EMI — jedynej wytwórni płyt, która okazała nam zaufanie. Pod kierunkiem George'a Martina nagraliśmy nasz pierwszy przebój — kompozycję Lennona i McCartney'a „Love me do". Co miała nam przynieść przyszłość? Brakowało nam odwagi, by się nad tym zastanawiać..."

Już w **styczniu 1963 r.** piosenka Beatlesów **„Please, please me"** zajęła pierwsze miejsce na liście przebojów. Był to ich drugi sukces, po którym rozpoczęły się triumfalne tournee z Helen Shapiro, Chris Montezem, Roy Orbisonem. A przyszłość miała im przynieść triumf, sławę i fortunę. Stali się prekursorami współczesnej muzyki rozrywkowej, legendą swego pokolenia.

W sierpniu 1963 r. Beatlesi po raz ostatni występują w liverpoolskiej Cavern prezentując dwa nowe wielkie szlagiery **„From me to you"** i **„She loves you".** Koncerty w Szwecji wylansowują im utwór **„I want to hold your hand"**, który przez wiele lat utrzymywał się na pierwszych miejscach pod względem ilości sprzedaży płyt (do roku 1967 ok. 6 milionów płyt z tym nagraniem). Zresztą miesiąc przed ukazaniem się „She loves you" już było 500 tys. płyt z góry zamówionych. Subskrypcja „I want to hold your hand" przekracza milion.

Koniec roku 1962 to rewelacyjny show gwiazdkowy, który zorganizował przedsiębiorczy Brian Epstein. Znakomita reklama: radio, prasa, telewizja, emblematy, stroje, plansze, deklarowały: **„we love the Beatles they are fabolous".** Prasa wymyśla nowe słowo: **Beatlomania.**

W lutym 1964 r. liverpoolska grupa wyjeżdża na tournee do Stanów Zjednoczonych. Nie odnoszą tam wielkich sukcesów, ale ich przedsiębiorczy impresario Brian Epstein wykorzystuje pobyt w Stanach dla zorganizowania triumfalnego... powrotu Beatlesów do Anglii.

Kilka lat później Paul McCartney oceniając menagerskie zdolności Briana Epsteina powie:

„To nieprawda, że Brian wylansował Beatlesów. To Beatlesi wylansowali Briana".

Prawda, jak zawsze chyba leżała pośrodku. To właśnie Epstein namówił reżysera Richarda Lestera do nakręcenia z Beatlesami bestsellerowego — jak się później okazało — filmu **„A Hard Day's Night"** (tytuł polski „The Beatles").

Kiedy 6 czerwca 1964 r. odbywała się premiera tego filmu, zaszczyciła ją swą obecnością królowa Elżbieta II.

W tym samym miesiącu nowe eksportowe gwiazdy brytyjskiej pop-music wyjeżdżają na tournee do Danii, Australii, Hongkongu i Nowej Zelandii, a dwa miesiące później ponownie udają się do USA. Tym razem olbrzymi sukces; znakomite przyjęcie przez amerykańską publiczność, a utwór „A Hard Day's Night" znalazł się na pierwszym miejscu list płytowych bestsellerów.

U SZCZYTU SŁAWY

Ich nowy album **„With the Beatles"** staje się ponownym sukcesem, a Beatlesi są już popularni na całym świecie.

Krótko po ślubie Ringo Starra (z Maureen Cox), Beatlesi odlatują na Wyspy Bahama (luty 1965), gdzie rozpoczynają zdjęcia do swego drugiego filmu **„Help"**, a już miesiąc później występują w Australii, Francji, Hiszpanii i we Włoszech. 29 lipca premiera filmu „Help" (tytuł polski: „Na pomoc"), tym razem bez udziału Elżbiety II, ale w zamian z księżniczką Małgorzatą i lordem Snowdonem.

W USA: dziewięć miast, 16 koncertów, łączna liczba widzów — pół miliona, a jeden koncert na stadionie Shea w Nowym Jorku ogląda 60.000 publiczności(!). Epstein przeprowadził tam kampanię reklamową bez precedensu. Wydaje 50 tys. dolarów i 5 milionów afiszy pokryło mury głosząc: **„Beatlesi przybywają".** Specjalny dziennik ukazał się w milionowym nakładzie. Radio wytworzyło nastrój niepewności i oczekiwania, komentując godzina po godzinie podróż grupy przez Atlantyk. W rezultacie ponad 10 tys. młodych ludzi zalało lotnisko Kennedy'ego: ich emblematy i transparenty głosiły: **„I love the Beatles".** Potem były gorączkowe konferencje prasowe.

Wszystkie rekordy zostały pobite, gdy 73 miliony telewidzów oglądało ich występ w programie **„Ed Sullivan Show"**: to był prawdziwy triumf! Beatlesi przybyli potem helikopterem na stadion, gdzie tłoczyło się 60 tys. ludzi i każda minuta pobytu tam przynosiła im jeden lub dwa miliony zysku. Impresario **Sid Bernstein** zaproponował im najbardziej bajeczny kontrakt w całej historii „show-businessu": 50 milionów dolarów za dwa przedstawienia. Oni jednak odrzucili uprzejmie tę ofertę. 4 akcje **„News Enterprises"** (założonego przez Epsteina) były już rewelacyjnie wysoko notowane na giełdzie w Londynie.

Rok 1965 przynosi oprócz „Help" dwa nowe przeboje bijące rekordy popularności **„Michelle"** i **„Yesterday"** (w utworze tym pojawiają się... skrzypce) oraz ukoronowanie dotychczasowej kariery Beatlesów w formie wręczenia im przez Elżbietę II Orderu Imperium Brytyjskiego. W grudniu nagrywają **„Day tripper", „We can work it out"**, oraz **„Rubber soul".** Rok 1966 rozpoczyna się małżeństwem trzeciego z Beatlesów George'a, który żeni się z modelką Patti Boyd. Kolejny szlagier **„Żółta łódź podwodna"** (Yellow Submarine) oraz album **„Revolver".** Dokonują znakomitych nagrań **„Paperback Wroter"** (brudna historia, brudnego człowieka — dziennikarza z Daily Mail, który pragnie zostać pisarzem książeczek kieszonkowych).

Występy w Japonii, RFN i na Filipinach, kolejne tournee po USA i wywiad przed kamerami telewizji, w którym zdecydowanie oświadczają, iż nigdy już nie będą występować publicznie. Odtąd mają poświęcić się wyłącznie nagraniom płytowym. Są u wyżyn sławy. John Lennon mówi wtedy:

„Jesteśmy bardziej popularni od Chrystusa, chociaż prawdopodobnie on miał rację".

Chyba jednak John miał rację, gdyż popularność Beatlesów była przede wszystkim opłacalna. Czwórka młodych chłopców z angielskich nizin społecznych w ciągu kilku lat staje się milionerami i najpopularniejszymi ludźmi na świecie.

HIPOTEZA BUNTU

Głównym odbiorcą muzyki Beatlesów była młodzież. Młode dziewczyny widziały w Paulu McCartney'u (jak pisze Reisner) „uroczego księcia, eleganckiego, dobrze wychowanego i sentymentalnego, którego dobre maniery pozwalały każdej teściowej widzieć w nim idealnego zięcia".

Intelekutaliści „wpadli w pułapkę" Johna Lennona, antykonformisty, którego pisma porównywano do pism Lewisa Carrola i Spike'a Milligana...

George mistyk był „przeciwwagą" Ringa — bufona rozpieszczonego przez wszystkich. John Lennon ukazywał się w Rolls-Royce wyposażonym w składane łóżko i wymalowanym w kolory tęczy. George ubierał się w stylu „hippie". Dziewczyny płakały, gdy Paul ożenił się, jak zresztą pozostali trzej, a kiedy Ringo poddaje się operacji usunięcia migdałów, radio nadawało regularnie biuletyn lekarski o stanie jego zdrowia.

I dlatego mogli mówić: „jesteśmy bardziej popularni niż Jezus Chrystus".

Buntująca się młodzież otrzymała bunt z dostawą do domu, gotowy, w plastykowym opakowaniu. Młodzi są ponoć zagorzałymi konformistami: Jest to, według określenia socjologów, konformizm względem tzw. środowiska. Każdy z rodziców może poświadczyć, że dzieci chcą robić i nosić identycznie to samo co ich koledzy. Nakazy mody są rygorystycznie przestrzegane, zaś podobieństwo w ubraniu nigdy chyba nie było tak surowo wymagane jak wśród najgorliwszych miłośników muzyki poważnej. Buntując się przeciw konformizmowi młodzi nieuchronnie wpadają sami w pułapkę, a mianowicie w... konformizm.

ANDRZEJ JÓŹWIAK

(Fragment książki „Polowanie na piosenkę" przygotowywanej dla „Wydawnictwa Łódzkiego").

CIA PRZECIW KUBIE (III)

RAJ AGENTÓW

Latem 1961 roku „G.M.Waif" podjęła szereg na wpół militarnych akcji dywersyjnych, których celem było niszczenie na Kubie, z początku małych, a później także większych zakładów przemysłowych, takich jak cukrownie i rafinerie nafty. Akcje te wyrządzały bezpośrednie szkody gospodarce kubańskiej i zmusiły Fidela Castro do zmobilizowania środków i siły ludzkiej w celu ochrony wybrzeży. W 1961 roku 200 tysięcy Kubańczyków stanęło pod bronią, nie licząc ludzi w zmilitaryzowanym aparacie kierowniczym. Stworzono też nową gałąź przemysłu ukierunkowanego na produkcję środków obrony.

Na prowadzenie podobnych operacji „G.M.Waif" wydatkowała ogromne sumy pieniędzy — na zakup kutrów, broni, na rozbudowę tajnych baz marynarki wojennej wzdłuż wybrzeży Florydy, na system zaopatrzenia materiałowego, obozy ćwiczebne i oczywiście na żołd dla kubańskich żołnierzy desantowych i ich dowódców. CIA musiała utrzymywać tajną flotyllę, a także całą armię ludzi w stanie bojowej gotowości.

Przed „G.M.Waif" stanął problem zakonspirowania tego ogromnego aparatu do prowadzenia tajnej wojny przeciwko Kubie. Ponieważ większość jej agentów i mienia znajdowało się na Florydzie, a więc na terytorium USA, odpadała kwestia zabezpieczenia prawnej „przykrywki" czy immunitetu dyplomatycznego, pod osłoną których pracują zazwyczaj ekspozytury agencji na obcym terenie. Niemniej istniał jeden problem wiążący się z prowadzeniem tajnej wojny z bazy na ziemi amerykańskiej, a mianowicie sam charakter tej działalności prowadził do nieustannego naruszania ustaw federalnych i miejscowych. Wszystkie morskie wypady na Kubę były technicznie antyustawowe i agentura CIA w Miami musiała opracować z władzami celnymi i imigracyjnymi oraz służbą ochrony wybrzeża specjalne warunki współpracy. Agenci naruszali, na przykład, ustawę przewożąc samochodami karabiny maszynowe i materiały wybuchowe. Agentura musiała się więc porozumieć z miejscową policją o wprowadzenie wyjątków aż w 17 pozycjach ustaw stanu Floryda. Częstokroć pracownicy agencji przeprowadzali nielegalne operacje finansowe pod zmyślonymi nazwiskami, wykazując fałszywe źródła dochodów. Do kamuflowania takich kombinacji była niezbędna współpraca z miejscowymi sędziami, Ministerstwem Sprawiedliwości, urzędem dochodów wewnętrznych i wieloma innymi organami administracji stanu Floryda.

Chyba tylko w takim mieście jak Miami tajna armia „G.M.Waif" mogła się ukryć przed oczami społeczeństwa. W początkach tajnej wojny Miami przypominała Casablancę w latach II wojny światowej. W mieście roiło się od szpiegów, agentów kontrwywiadu, wypędzonych dyktatorów, szefów mafii, emigrantów, szantażystów, hrabin, złodziei, szulerów, wróżbiarek, gangsterów, zbiegłych bandytów i roznegliżowanych turystów. W ten sposób nikt się nie wyróżniał z tłumu i to oczywiście pomagało CIA w maskowaniu jej agentury. To samo dotyczyło niezliczonej ilości przeróżnych antycastrowskich organizacji, których większość przeniesiono do Miami z północy kraju, nadając im takie nazwy, jak: „Montecristo", „Ruch 4 listopada", „Alfa — 66", „Rewolucyjny Dyrektoriat Studencki", „Ruch 30 maja" itp., oraz dziesiątki innych drobnych ugrupowań, składających się tylko z przywódcy i garstki wiernych mu stronników.

Ale nawet w Miami „G.M.Waif" nie mogła się obejść bez ścisłej współpracy z gazetami, miejscowymi organami władzy i działaczami politycznymi. W konsekwencji wszystkie instytucje i reprezentanci władzy politycznej musieli przystąpić do spisku. Doskonale ułożyły się stosunki z prasą. Mówi o tym jeden z byłych agentów „G.M.Waif": „Nie mieliśmy żadnych problemów z prasą Miami. Na przykład w „Miami Heral" dwóch—trzech reporterów zajmowało się Kubą i zapewniliśmy im dostęp do naszego sztabu CIA. W ten sposób my dostarczaliśmy im informacji, a oni robili na tym karierę dziennikarską. Chłopcy ci rozumieli, że nie powinni nam stwarzać trudności. Tylko sporadycznie dostarczaliśmy im świadomie fałszywych informacji, i tylko wtedy, kiedy mieliśmy ku temu ważne powody. Gazety zawsze były gotowe do zapewnienia nam spokoju".

Wokół prasy, podobnie jak i wokół agentury „G.M.Waif", kręcili się bankierzy, lekarze, biznesmeni, a także garstka robotników i zawodowych rewolucjonistów. Wszyscy oni z radością witali nową możliwość zadania ciosu Castro. Agencja zapewniła im przerzut do jej baz w Ameryce Środkowej i do innych zakonspirowanych miejsc, uczyła ich obchodzenia się z bronią i materiałem wybuchowym, szkoliła w zakresie środków łączności, urządzania zasadzek i przebywania w trudnych warunkach terenowych.

Ludzie z desantu, ubrani w identyczne mundury co kubańscy milicjanci, byli uzbrojeni w karabiny maszynowe z tłumikami, karabiny bezodrzutowe i karabiny „S-4" (duży kaliber) oraz bomby plastykowe. Ich tajne bazy wypadowe rozmieszczono w luksusowych willach z krytymi basenami do pływania i cienistymi kortami oraz w odosobnionych dworkach, rozrzuconych na przybrzeżnych wysepkach.

W czasie pierwszych rajdów, organizowanych wkrótce po nieudanej inwazji na Kubę w Zatoce Świń, ograniczano się do przemycania broni na Kubę, przeznaczonej dla montowanej tam podziemnej agentury CIA. Wszystkie te operacje przeprowadzano po wyjątkowo drobiazgowym opracowaniu szczegółów. Na zajęciach instruktażowych omawiano dokładnie elementy operacji, poczynając od studiowania miejsc lądowania desantu, ustalonych na podstawie zdjęć fotograficznych wykonanych z samolotu U-2, a na komunikatach o pogodzie i określeniu dokładnego czasu zachodu i wschodu słońca na wybrzeżu kubańskim kończąc. Plany operacyjne nanoszono na mapę z wyliczeniem każdej minuty lądowania desantu. Sporządzono także alternatywne plany działania na wypadek nieprzewidzianych okoliczności, grożących katastrofą. W razie wzięcia do niewoli dowódcy operacji miał on mówić, że prowadzi na morzu prace naukowe i zebrana przez niego informacja nosi szczególny charakter. Wszystkich agentów zaopatrywano w pieniądze kubańskie i fałszywe dokumenty. Zazwyczaj kutry z desantem płynęły do brzegów Kuby własnym kursem, jednakże najczęściej holowały je duże statki na odległość 50 mil od wybrzeży Kuby. Następnie kutry płynęły bezpośrednio do brzegu, a kilkaset metrów od lądu dywersanci przesiadali się do łodzi gumowych, zaopatrzonych w specjalne, bezgłośne silniki elektryczne. Łączność z desantem utrzymywano przy pomocy przenośnych radiostacji.

W wielu wypadkach, kiedy desant wykrywano przy lądowaniu lub gdy zaczynały go tropić kutry kubańskiej służby ochrony wybrzeża, trzeba było wspomagać desant ogniem z kutrów. W końcu lata 1961 roku plany takich rajdów nabrały szerszego rozmachu i już w latach następnych podejmowano próby wysadzania w powietrze rafinerii ropy naftowej i fabryk chemicznych.

Kilka dni po lądowaniu, grupy dywersyjne opuszczały wyspę i kutry oraz większe jednostki morskie CIA zbierały je na morzu; ale nieraz pozostawały one na Kubie przez kilka tygodni, a nawet miesięcy. Operacje związane z powrotem tych grup wywoływały największe zdenerwowanie i niepokój. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że schwytany agent mógł zdradzić godzinę i miejsce spotkania z kutrem. W takim wypadku na kuter czekała pułapka. Najbardziej wyczerpujące nerwowo były długie godziny bezowocnego oczekiwania na wciąż nie pojawiających się agentów.

Lądowania na Kubę odbywały się prawie co tydzień i agentom — Kubańczykom nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na rozkazy i wierzyć w dobre intencje CIA. Nie podawano im do wiadomości nazwisk ich etatowych zwierzchników, a ci z kolei znali swoich agentów tylko z pseudonimów. Cała działalność oddziałów desantowych była otoczona głęboką tajemnicą. Wszystkich agentów — Kubańczyków zobowiązano do przekazywania informacji wywiadowczej wyłącznie w przeznaczonych do tego pomieszczeniach służbowych. Żeby mieć co do tego pewność, CIA utrzymywała setki innych agentów — Kubańczyków, którzy śledzili tamtych. A tych z kolei poddawano kontroli podczas okresowych badań przy pomocy „detektorów kłamstwa".

Wszystkie te środki ostrożności pozbawiły kubańskich agentów CIA możliwości jakiegokolwiek rozeznania w kwestii celów i perspektyw działania ich pododdziałów. Chociaż wszyscy byli przekonani co do jednego: że „G. M. Waif" ma jakiś sposób na bezkarne naruszanie miejscowych ustaw. Zdarzały się wypadki, kiedy pijany agent dostawał się za kratki i jego zwierzchnik mógł go uwolnić z aresztu bez żadnych wyjaśnień: Agent mógł się rozwieść z żoną bez oficjalnego procesu sądowego i wolno mu było nosić przy sobie różne rodzaje broni. Zdarzało się też nieraz, że kuter z desantem płynącym na Kubę zatrzymywały jednostki amerykańskiej służby ochrony wybrzeża, ale wystarczało jedno słowo dowódcy i kuter przepuszczano natychmiast. Te nadzwyczajne pełnomocnictwa CIA w jeszcze większym stopniu uzależniały szeregowych agentów od ich etatowych zwierzchników.

(C.d.n.)

smutek grającego krążka

żliwiającymi ich zmianę za jednym dotknięciem palca. Także i ten gramofon wejdzie do produkcji w przyszłym roku.

Na rynku krajowym znajdzie się więc już wkrótce wiele tysięcy egzemplarzy sprzętu odtwarzającego o wysokiej jakości, sprzętu klasy „Hi-Fi", który w zetknięciu z rodzimą płytą do końca zdemaskuje jej techniczne braki.

Ostatni spis powszechny ustalił, że co trzecia polska rodzina dysponuje gramofonem. Statystyki podają, że w 1960 roku wyprodukowaliśmy 67,9 tys. gramofonów w pięć lat później — 177 tys., zaś w zeszłym roku — już 526 tys. sztuk. Coraz więcej rodzin wyposaża swoje mieszkania w gramofony, coraz większej też liczby użytkowników nie zadowalają przestarzałe gramofony — wymieniają więc je na nowy, bez porównania nowocześniejszy sprzęt. Statystyczny polski nastolatek kupuje dziś gramofon nierzadko identyczny z tym, jakiego na co dzień używa jego — powiedzmy — francuski rówieśnik. „Fonica" bowiem eksportuje wiele swoich wyrobów m.in. do Francji.

Na gramofonie kończy się jednak podobieństwo. Z płytami przecież — jak wszyscy wiemy — jesteśmy ciągle do tyłu. Nawet symboliczna niejako „Abba" ukazała się u nas z dwuletnim bez mała opóźnieniem. Jesteśmy do tyłu.

Kierownik działu ogólnotechnicznego „Foniki" — **Leszek Nagórski** podkreśla, że na jeden produkowany u nas gramofon przypada kilka zaledwie płyt długogrających wyprodukowanych w ciągu roku.

A „Polskie Nagrania" zapowiadają wciąż rewolucję. Zreorganizowały się, powymieniały kierownictwo. I co? Niewiele — ciągle obiecują... Ta instytucja wiecznych optymistów rozbudza ostatnio apetyty amatorów płyt swoją modernizacją. Do przekazania nowej siedziby przedsiębiorstwa na warszawskiej Woli (która to siedziba ma być podobno panaceum na wszystko) pozostało jeszcze sporo czasu — termin wyznaczono na 1978 rok. Obecnie więc modernizuje się starą siedzibę „Polskich Nagrań" — w Warszawie, przy ul. Długiej.

Zmiany widać tam rzeczywiście wyraźne. Wydzielono — ciasne, ale własne — trzy sale nagrań studyjnych. Zakupiony został — jedyny w naszym kraju — stół mikserski angielskiej firmy **„Neve"**, z całym zestawem kamer pogłosowych i innych urządzeń wspomagających. „Polskie Nagrania" dysponują też od niedawna trzema 16-ścieżkowymi magnetofonami stereofonicznymi typu **„Studer"**, a także najnowocześniejszym urządzeniem do zapisu mechanicznego na matrycach płytowych — firmy **„Neumann"**. Zakupione też zostały automatyczne urządzenia do tłoczenia płyt o wydajności pół miliona sztuk rocznie.

„Polskie Nagrania" nieraz już się reorganizowały i nieraz — modernizowały. Niewiele z tego wynikło. Jak na razie podkreślają bardziej fakt ogromnych zadłużeń dewizowych niż perspektywę zmian repertuarowych, jakie powinna przynieść modernizacja. Dewizy! Pewnie na to konto **„Muza"** i **„Pronit"** „trzepać" będą znów w ogromnych (za ogromnych!) nakładach **Halinę Kunicką** i **Jaremę Stępowskiego** czy też importowaną, kupowaną chyba na kilogramy, tandetę dźwiękową.

Pomyśleć tylko, że **Bułgarzy** nie przepuszcza żadnej okazji związanej z udziałem sław światowej estrady w ich festiwalu **„Złoty Orfeusz"**. Potrafili już wydać tym sposobem **G. Becaud** (BTA 1301), **Adamo** (BTA 1381), **G. Morandi** (BTA 1558), czy **M. i K. Kissoon** (BTA 1559).

NRD wydaje regularnie aktualne longplaye **Mireille Mathieu** („Amiga" — 855 203, 855 206, 855 259), **E. Fitzgerald i B. Holliday** (855 084), **M. Jackson** (855 066), czy **J. Smitha** (855 267).

Radziecka „Melodia" potrafiła podpisać wieloletni kontrakt z amerykańskim koncernem **„EMI"**, na mocy której to umowy ukazują się równocześnie w Nowym Jorku i Moskwie premierowe płyty. Pierwszą był wydany w styczniu **„Sunrise" Neila Diamonda.** Niezależnie od tego radzieckie wytwórnie wydają np. **E. Humperdincka** (S — 05378) czy cykl nagrań orkiestry i chóru **J. Lasta** (S — 04740, S — 05274, S — 05624), nie mówiąc już o składankach oryginalnych zachodnich przebojów, jak np. **„Estradnaja orbita"** (S — 05008) z **Sheilą**, nowym **Presleyem, Stevensem, Ringo Willie Catem** i zespołem **„The Cats".**

„Jugoton" kupuje licencyjne matryce od słynnej **„Decca"**, dzięki czemu ukazują się regularnie w Jugosławii takie nagrania, jak **„Gimme Shelter"** zespołu **„The Rolling Stones"** (LSDC — 70471).

Rumuński „Electrecord" sprzedaje od dawna licencyjne przegrania oryginalnych angielskich przebojów (np. EDE 0447, EDE 0401), zanim nie straciły one jeszcze całkiem na aktualności...

A zatem — można. Że faktycznie można dowiodły i same „Polskie Nagrania", wydając swoją „Abbę". Ale jedna „Abba" wiosny nie czyni. Ciągle jeszcze z rodzimego grającego krążka zieje smutek przeogromny...

LISTY

„JAK WRKĘCAĆ ŻARÓWKĘ?"

Z narastającym niepokojem zapoznawaliśmy się z opinią zawartą w artykule zamieszczonym w Nr 46 z 13.11.75 a dotyczącą żarówek głównego szeregu produkcji Polamu w Pabianicach.

Niepokój nasz wynika z faktu, że w zakresie poprawy jakości żarówek i utrzymania ich na stabilnym wysokim poziomie zrobiono w okresie ostatnich lat wiele, co zostało potwierdzone pozytywnymi wynikami badań Biura Badawczego Jakości SEP i pozwoliło uzyskać na wszystkie produkowane żarówki bądź znaki kontrolne KWE bądź znaki jakości.

Jest to pierwsza od dłuższego czasu tak nie pozytywna opinia, świadcząca jednak o tym, że istnieją jeszcze w procesie produkcji słabe ogniwa których poprawa jest niezbędna.

Przeprowadzona w tej sprawie dotychczasowa analiza wykazała, że trudności z wkręcaniem żarówek mogą mieć miejsce, jednak nie wynikały one z przekroczenia tolerancji wymiarowych lecz z wprowadzenia do produkcji trzonków taśmy aluminiowej której powierzchnia jest bardziej szorstka niż powszechnie dotychczas stosowana taśma stala cynkowana. Usterka ta zostanie usunięta. Dla informacji podajemy, że wprowadzenie taśmy aluminiowej na trzonki było podyktowane podniesieniem ich odporności na korozje co przy dotychczasowych stalowych trzonkach używanych szczególnie w pomieszczeniach wilgotnych było trudne do spełnienia.

Zobowiązaliśmy zakład w Pabianicach do zastosowania kontroli i natychmiastowego usunięcia wszystkich usterek zaobserwowanych przez K. Skibickiego.

Jednocześnie czujemy się w obowiązku poinformować, że wprowadzone na rynek żarówki fasonowe, cieszące się zresztą dobrą opinią, nie zastępują dotychczas produkowanego asortymentu żarówek głównego szeregu i zastąpić ich nie mogą, są bowiem przeznaczone do innych celów oświetleniowych.

Cena tych żarówek wynika zarówno ze stosowania droższych materiałów np. trzonek mosiężny jak również z wyższych parametrów w tym szczególnie trwałości, która jest 2,5-krotnie wyższa niżeli w żarówkach głównego szeregu.

W zakończeniu podkreślamy, że nie jest naszym celem stosowanie „oryginalnej strategii ekonomicznej" lecz dążenie do utrzymania na wysokim poziomie jakości wszystkich produkowanych wyrobów. Zgadzamy się z autorem, że całkowitą odpowiedzialność za jakość wyrobu, niezależnie od trudności kooperacyjnych, ponosi producent głównie w tym przypadku zakład w Pabianicach.

Odpowiedzialność ta zostanie wyegzekwowana.

in. JERZY ŚWIERCZYŃSKI
zastępca dyrektora
Kombinatu Techniki Świetlnej
w Warszawie

„SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH"

Niebywałe zdziwienie wywołał u mnie artykuł Anny Szwedziakówny o poezji Józefa Henryka Wiśniewskiego zamieszczony w nr 43 „Odgłosów" z 23 października 1975 roku. Autorka bowiem popełniła szereg błędów i dała interpretację poezji i prozy J. H. Wiśniewskiego równie uproszczoną, co fałszywą.

M.in. J. H. Wiśniewski debiutował reportażem w roku 1953 na łamach tygodnika „Wieś", zaś pierwszy wiersz opublikował w roku 1956 Tymczasem w artykule napisano, iż debiutował on w roku 1955. Wiśniewski był redaktorem jednodniówki „Z tej strony", w artykule napisano, iż jej nazwa brzmiała „Nowa linia". Dalej znajdujemy następujący fragment: „Zarówno data debiutu jak i poetyka zbliżała Wiśniewskiego do pokolenia Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Pokolenie to połączone doświadczeniem tzw. małej stabilizacji dumne z racji, iż „...pierwsze od kilkudziesięciu lat w Polsce (...) nie znajduje się pod dławiącą presją totalnej doraźności historycznej..."

Czyżby więc mylili się — Stanisław Czernik, Stanisław Piętek, Julian Rogoziński, Barbara Biernacka i inni, którzy pisali o obsesji śmierci, o wojennym doświadczeniu autora? Czyż autorka pisząc o dacie debiutu i powiązaniu poezji Wiśniewskiego z „małą stabilizacją" nie popada przypadkiem w absurdy? Myślę, że autorce chodziło zwyczajnie o „zaszufladkowanie" Wiśniewskiego.

By dowieść absurdalne racje autorka odpowiednio zestawiła wyrwane z kontekstu cytaty i poszła tak daleko, że utożsamiła autora z bohaterem lirycznym wiersza „Outsider". Chyba nie czytała ona poematu „Dialog", skoro wiersz kończący się słowami „...ty-ja" potraktowała jak dialog a nie pozorny dialog i wyciągnęła stąd wygodne dla siebie wnioski, twierdząc, że Wiśniewski „...wybiera czysta sztukę".

Nieporozumieniem jest też lekkie potraktowanie oryginalnej przecież prozy poetyckiej J. H. Wiśniewskiego, o której A. Szwedziakówna napisała, iż jest to „...proza poetycka w stylu Herberta". Cóż to znaczy w stylu Herberta? Czemu nie Przybosia, Różewicza, czy jeszcze kogoś innego? Wszak nie Herbert wymyślił formę prozy poetyckiej A nie trzeba być wielkim stylografem, by łatwo udowodnić, że akurat o wpływach Herberta w prozach poetyckich Wiśniewskiego nie może być mowy. Rozśmieszyło mnie zdanie, iż „Wiśniewski czyni poszukiwania, by ...włączyć się w któryś z nurtów stylowych".

Jak dalece fałszywa jest interpretacja twórczości J. H. Wiśniewskiego w omawianym artykule może świadczyć fakt, iż o jego opowiadaniach p. Szwedziakówna napisała, że „...oparte są one na tych samych motywach, które charakteryzują jego twórczość poetycką" I nic więcej. Jest to twierdzenie również absurdalne, jak schematyczne są sądy p. Szwedziakówny o poezji J. H. Wiśniewskiego.

Jakże można mówić o autotematyzmie, o zamknięciu się w wieży z kości słoniowej u autora, który swego czasu otrzymał wiele nagród poetyckich, w tym jedną międzynarodową właśnie za wiersze walczące, społecznie zaangażowane, Jak można było pominąć fakt, iż pojedyńcze wiersze J. H. Wiśniewskiego były tłumaczone na 8 języków obcych i znalazły się w antologiach polskich i zagranicznych, skoro artykuł był hasłem do słownika pisarzy łódzkich?

Proszę przeto o opublikowanie moich uwag w nadziei, że przyczyni się to do sprostowania nieścisłości popełnionych przez p. Szwedziakównę.

DARIUSZ STRUSZCZAK
(Łódź)

HIPOTEZY

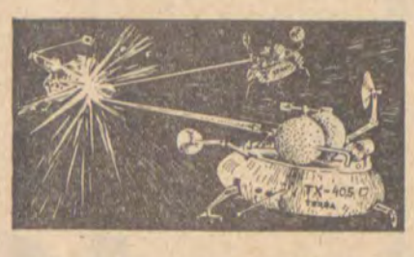

W poprzednim odcinku zatytułowanym „Złoto bogów" donosiliśmy o odkryciu w Ameryce Południowej rozległego systemu podziemnych korytarzy zawierających wiele interesujących i wręcz rewelacyjnych skarbów. W dalszej części publikowanych dziś wyjątków z najnowszej książki Dänikena znajdujemy hipotezę mającą wyjaśnić kto i po co zbudował owe tajemnicze tunele.

Wszyscy, których uczono kiedyś katechizmu pamiętają zapewne opowieść o tym jak archanioł Lucyfer pojawił się pewnego dnia przed obliczem Boga i w imieniu zbuntowanych aniołów oświadczył, że nie będzie Mu więcej służył. Wtedy Bóg rozkazał archaniołowi Gabrielowi ognistym mieczem strącić z niebios Lucyfera wraz z jego poplecznikami.

W Pięcioksięgu Mojżesza nie ma i nie mogło być wymienione imię Lucyfera. Uważa się, że Mojżesz żył około roku 1225 przed naszą erą, a słowo Lucyfer jest pochodzenia łacińskiego, a więc nazwą dużo późniejszą. (Początków języka łacińskiego należy szukać nie wcześniej niż około 240 roku przed Chrystusem). Lux fare (= Lucyfer) znaczy niosący światło. Jest rzeczą dziwną, że ten groźny i złowieszczy szatan został wprowadzony do nauki religii katolickiej jako niosący światło.

W innych jednak księgach Starego Testamentu możemy spotkać wzmianki o wojnie toczonej w niebie. Prorok Izajasz (740—701 p.n.e.) tak pisze na ten temat (r. 14: 12—15):

„Jakoż to, żeś spadł z nieba, o jutrzenko! która wschodzisz rano? powalonyś aż na ziemię, któryś wątlił narody!

Wszakieś ty mawiał w sercu swem: Wstąpię na niebo, nad gwiazdy Boże wywyższę stolicę moję, a usiądę na górze zgromadzenia, na stronach północnych:

Wstąpię na wysokość obłoków, będę równy Najwyższemu.

Wszakże strącon jesteś aż do piekła, w głębokość dołu".

Na ten sam temat znajdujemy także wzmiankę w Nowym Testamencie w Objawieniu Świętego Jana (r. 12: 7—9):

„I stała się bitwa na niebie. Michał i aniołowie jego potykali się z smokiem, smok się też potykał i aniołowie jego.

Ale nie przemogli, ani miejsce ich dalej znalezione jest na niebie.

I zrzucony jest smok wielki, wąż on starodawny, którego zowią dyjabłem i szatanem, który zwodzi wszystek okrąg świata; zrzucony jest na ziemię, i aniołowie jego z nim są zrzuceni".

Inne stare źródła również wspominają o walkach w niebie. Księga Dzyan, święta księga przechowywana w Tybecie, tak mówi o tym w szóstej strofie:

„Podczas trzeciego obrotu kazano synom stworzyć podobieństwa swoje. Jedna trzecia odmawia, a dwie usłuchały. Przekleństwo jest rzucone... Starsze koła obracały się w dół i w górę. Nasienie matki wypełniało wszystko. Toczyły się bitwy pomiędzy stwórcami i niszczycielami i bitwy o przestrzeń; przy czym nasienie ciągle pojawiało się i znikało. Porób dokładne obliczenia, uczniu, jeśli chcesz poznać prawdziwy wiek twego małego koła".

Ten sam temat, wojny w niebie, spotykamy też w egipskiej „Księdze zmarłych", gdzie jest wzmianka o tym, jak bóg słońca Ra walczy ze zbuntowanymi dziećmi nigdy nie opuszczając swego świata-jajka podczas bitwy.

Poeta Owidiusz w jednym z mitów opowiada o tym jak Faeton (= ten, który błyszczy), syn boga słońca wyprosił u ojca pozwolenie na kierowanie wozem słonecznym. Faeton nie był w stanie opanować pojazdu i spadł z nieba wzniecając na ziemi wielki pożar.

Międzynarodowa Akademia do Badań nad Sanskrytem w Mysore (Indie) odważyła się na śmiały eksperyment polegający na zastąpieniu w jednym ze starych tekstów tradycyjnych wyrażeń używanych dotychczas przy tłumaczeniach wyrażeniami oznaczającymi współczesne pojęcia. Wynik tego zabiegu był oszałamiający: starożytne legendy przekształciły się w zwykłe opisy techniczne!

Jeśli użyć tego samego sposobu i po prostu zastąpić wyraz „niebo" nowoczesnym pojęciem „Wszechświat" lub „Kosmos", to w mgnieniu oka legendy i mity o wojnach prowadzonych przez bogów w niebie staną się opisami gigantycznych bitew toczonych w przestrzeni kosmicznej pomiędzy dwoma wrogimi obozami. W niebie, które wyobrażają sobie małe dzieci, nie było, oczywiście, żadnych wojen i rządzi w nim dalej jeden dobry, wszechmocny Bóg.

Jednakże Stary Testament nie mówi tylko o jednym Bogu, lecz o wielu (Genesis, r. 1:26):

„...Uczynimy człowieka na wyobrażenie nasze, według podobieństwa naszego; a niech panuje nad rybami morskiemi i nad ptastwem...".

Ta liczba mnoga pojawia się u monoteisty Mojżesza i przy innej okazji (Genesis, r. 6:2):

„Że, widząc synowie boży córki ludzkie, iż były piękne, brali je sobie za żony...".

Jeśli w Kosmosie toczyły się wojny, musieli być zwycięzcy i zwyciężeni. Zwycięzcy roztoczyli niekwestionowaną władzę nad własną planetą a pokonani musieli ratować się ucieczką. Zmuszeni byli wystartować w pozostającym do ich dyspozycji statku kosmicznym w kierunku jakiejś innej planety w sytuacji, gdy nie mieli wiele czasu. Rezerwa energii i żywności, jaka może znajdować się na takim statku wystarczy na stosunkowo krótki okres czasu. Dlatego też zwycięzcy zdawali sobie sprawę z tego, że mają do dyspozycji tylko ściśle wyznaczony okres czasu, w przeciągu którego muszą wykryć, dogonić i zniszczyć swych przeciwników. Każda zwłoka w pogoni pomagała zwyciężonym, gdyż działało na ich korzyść prawo rozciągliwości czasu. (To zjawisko, przewidziane przez teorię względności, oznacza, że w pojeździe kosmicznym podróżującym z szybkością przyświetlną czas płynie wolniej niż na macierzystej planecie, gdzie wszystko odbywa się z normalną szybkością.) Zwycięzcom zależało na tym, żeby nikt ze zwyciężonych nie ocalał. Gdyby tylko dwoje z nich zdołało dotrzeć do spokojnej przystani, rozmnożyliby się, a ich potomkowie mogliby szukać odwetu za klęskę ojców. Gdyby zbiegowie znali biologię molekularną — a zwycięzcy zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że tak istotnie jest — mogliby łatwo przekształcić prymitywne formy życia na planecie, która była celem ich ucieczki. Zwyciężeni znali mentalność zwycięzców, jak też dysponowali identyczną wiedzą techniczną. Tak więc, ścigając się z czasem, szukali odpowiedniej planety. Czy pokonani odszukali trzecią planetę naszego układu, naszą Ziemię, znajdującą się 28 000 lat świetlnych od centrum galaktyki, po wojnie w Kosmosie?

Czy nasza niebieska planeta była schronieniem dla kosmicznych zbiegów?

Możliwość istnienia życia na innych planetach, a co za tym idzie, możliwość podjęcia lotów kosmicznych przez istoty inteligentne na tych planetach jest już obecnie uważana za rzecz dopuszczalną. Uczeni skłaniają się również ku przypuszczeniu, że gdziekolwiek rozwija się życie, a rozwijać się może tylko w warunkach zbliżonych do ziemskich, to rozwój ten następuje poprzez formy również do ziemskich zbliżone. Wynika z tego, że przybysze z innych planet także musieli być podobni do ludzi.

Jeśli można (lub też powinno się) przyjąć, że życie inteligentne istnieje na milionach innych planet, to myśl, że życie to mogło powstać wcześniej i dlatego jest pod każdym względem bardziej zaawansowane niż ziemskie nie jest jedynie spekulacją myślową, którą można zbyć wzruszeniem ramion. Nie jestem, oczywiście, w stanie udowodnić mojej teorii, lecz skoro nikt nie przedstawił mi argumentów mogących mnie przekonać o jej nieprawdziwości, uważam za słuszne przedstawić tu całą teorię.

Rywalizujące ze sobą w Kosmosie obozy reprezentowały ten sam poziom wiedzy matematycznej i ten sam stan rozwoju technologicznego. Pokonani, uciekłszy z pola walki, musieli wystartować na poszukiwanie planety podobnej do ich planety ojczystej, wylądować na niej i stworzyć tam cywilizację (w braku już istniejącej). Zdawali sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne byłoby odnalezienie ich przez wrogów. Wiedzieli też, że będą się oni starali znaleźć ich przy pomocy wszelkich znanych im środków technicznych. Dlatego też, po wylądowaniu, astronauci ukryli się pod ziemią. Pod powierzchnią ziemi wykopali system połączeń komunikacyjnych ciągnących się na olbrzymich przestrzeniach, zbudowali podziemne twierdze, w których mogli czuć się bezpiecznie, przy czym w każdej chwili mogli z nich wyjść na powierzchnię.

Należy stanowczo odrzucić obiekcję, że budowniczowie tuneli musieli „zdradzić się" poprzez ogromne ilości ziemi wykopanej podczas budowy i wyrzucanej na powierzchnię. Ponieważ wierzę, że posiadali rozwiniętą technikę, wierzę, że znali też świder termiczny, podobny do opisanego w „Der Spiegel" z trzeciego kwietnia 1972 roku.

Naukowcy z amerykańskiego Laboratorium Badań Naukowych w Los Alamos pracowali nad tym wynalazkiem przez półtora roku. Nie ma on nic wspólnego ze zwykłymi świdrami. Ostrze świdra termicznego wykonane jest z wolframu. Jest ono nagrzewane do wysokiej temperatury przez grafitowy element grzejny. Podczas borowania otworu świder nie wytwarza pokruszonej masy drążonego materiału, lecz roztapia skałę, która następnie krzepnie tworząc szkliste ścianki. Według relacji „Der Spiegel", pierwszy próbny model świdra przechodził prawie bezszelestnie przez bloki skalne o grubości 12 stóp (360 cm). W Los Alamos planuje się obecnie zbudowanie opancerzonego świdra termicznego zasilanego z miniaturowego reaktora atomowego, który to świder mógłby wgryzać się w ziemię jak kret. Świder taki miałby za zadanie przebić skorupę ziemską, która ma grubość około 25 mil i pobrać próbki znajdującej się pod nią roztopionej magmy.

Wydaje się być rzeczą możliwą, że astronauci-zbiegowie umieli także wykorzystywać wiązki promieni elektronów do budowy swoich tuneli. „Odparowywali" elektrony przy pomocy nagrzanej do wysokiej temperatury katody, a następnie przyspieszali je w polu elektromagnetycznym pomiędzy katodą a anodą. Skupiali strumienie elektronów w jeden duży strumień przy pomocy elektrody skupiającej. Amerykańska firma Westinghouse zbudowała generator strumienia elektronów dla przeprowadzania eksperymentów ze spawaniem w warunkach próżni kosmicznej. Strumień elektronów jest szczególnie użyteczny przy kruszeniu skał; kruszenie to następuje na skutek naprężeń termicznych.

Czy budowniczowie tuneli posiadali narzędzia będące połączeniem świdra termicznego i generatora strumieni elektronów? Jest to całkiem prawdopodobne. Jeśli świder napotykał na jakieś wyjątkowo twarde warstwy geologiczne, można je było rozbijać strumieniem elektronów. Następnie opancerzony świder atakował pokruszone skały nagrzewając je do takiej temperatury, że przechodziły w stan ciekły. Po przejściu świdra skały krzepły tworząc glazurę o twardości diamentu. Ten sposób budowy tuneli zabezpieczał je przed zalaniem wodą, jak też czynił zbędnym stawianie podpór pod stropy.

Do takich rozważań pobudził Dänikena system tuneli w Ekwadorze. Juan Moricz uważa, że podziemne korytarze mają szkliste ściany i że wszystkie rozległe komory zostały wykonane metodą wybuchów. Łatwo dają się zauważyć gładko i równo ucięte warstwy skały przy wejściu do podziemia, jak też i w miejscu, gdzie znajduje się prostokątny otwór („drzwi") w ścianie skalnej. Doskonałości technicznej w planowaniu i budowie tunelu dowodzą także regularnie rozmieszczone szyby wentylacyjne. Że nie są to naturalne szczeliny, lecz specjalnie zbudowane otwory dowodzi regularność ich rozmieszczenia, jak również mniej więcej jednakowa wielkość (przeciętna ich długość wynosi 2—3 metry, a średnica — 80 cm).

Znaczną część swej książki poświęca Däniken omówieniu tezy, że w tych właśnie podziemnych katakumbach przybysze z innej planety zdecydowali stworzyć człowieka „na wzór i podobieństwo swoje", gdy niebezpieczeństwo wykrycia ich przez wrogów minęło. Teza ta nie jest nowa i szeroko omawiana była w poprzedniej książce (patrz: „Odgłosy" — „Bogowie z Kosmosu"). Przytaczając na dowód teksty sumeryjskie, wyjątki ze Starego Testamentu i in., Däniken twierdzi, że najpierw było tylko jedno źródło pochodzenia homo sapiens — sztuczna mutacja przeprowadzona przez Kosmitów. Dużo później, gdy ludzie osiedlili się w różnych częściach kuli ziemskiej, nastąpiły nowe eksperymenty. Dowodzi tego fakt, że zasadniczy element aktu stworzenia — przekonanie, że człowiek stworzony został na podobieństwo bogów — obecny jest w tradycji ustnej i pisanej wszystkich ludów świata! Samo zaś stworzenie człowieka przez Kosmitów nie jest sprzeczne ani z teorią pochodzenia człowieka, ani z teorią ewolucji.

Prześledźmy jeszcze raz za Dänikenem kolejne etapy jego rozważań dotyczące tajemnicy podziemnych tuneli w Ameryce Południowej.

1. W dalekiej i nie znanej przeszłości, w głębinach galaktyki, miała miejsce wojna pomiędzy istotami inteligentnymi podobnymi do ludzi.

2. Zwyciężeni w walce ratowali się ucieczką na statku kosmicznym.

3. Ponieważ zwyciężeni znali mentalność zwycięzców, zastawili swego rodzaju pułapkę w tym sensie, że nie wylądowali na planecie, która idealnie nadawała się do życia.

4. Pokonani wybrali planetę Ziemię, na której warunki życia nie były idealne, a w porównaniu z ich rodzimą planetą, były o wiele gorsze. Przez długi czas przybysze musieli nosić maski gazowe, aby przyzwyczaić się do ziemskiej mieszaniny gazów w powietrzu atmosferycznym (stąd wyobrażenia hełmów, aparatów do oddychania, itp. na wielu rysunkach jaskiniowych).

5. Przybysze wgryźli się w ziemię i zbudowali system tuneli z obawy przed ścigającymi ich wrogami, którzy byli wyposażeni we wszelkiego rodzaju urządzenia techniczne.

6. Dla całkowitego zmylenia wrogów zainstalowali stacje techniczne i nadajniki transmitujące zaszyfrowane dane na piątej planecie naszego układu słonecznego (tzn. nie na Ziemi).

7. Ścigający dali się podejść i dlatego w brutalny sposób unicestwili piątą planetę. Została ona zniszczona przez gigantyczną eksplozję a jej odłamki utworzyły pas planetoid. (Spojrzenie na mapę systemu słonecznego pokaże nam, że istnieje nienaturalna luka o długości 300 000 000 mil pomiędzy obecną czwartą i piątą planetą — Marsem i Jupiterem. Przerwa ta nie jest jednak pusta; znajdują się w niej setki tysięcy różnej wielkości brył kamiennych określanych wspólnym mianem „pasa planetoid". Od niepamiętnych czasów astronomowie łamali sobie głowy nad wyjaśnieniem jak i dlaczego planeta znajdująca się pomiędzy Marsem a Jupiterem eksplodowała. Otóż planety nie eksplodują same z siebie; eksplozje ktoś inicjuje!).

8. Zwycięzcy myśleli, że zniszczyli swoje ofiary i zawrócili statek kosmiczny w kierunku rodzinnej planety.

9. Na skutek zniszczenia piątej planety równowaga grawitacyjna w systemie słonecznym została czasowo zachwiana. Oś ziemska odchyliła się o kilka stopni, co spowodowało ogromne powodzie (na całym świecie w legendach różnych ludów spotyka się wzmianki o powodziach i potopach).

10. Kosmici wyszli ze swych podziemnych schronów i rozpoczęli tworzenie inteligentnego życia na Ziemi. Wykorzystując znajomość biologii molekularnej stworzyli człowieka „na wzór i podobieństwo swoje" z żyjących na naszej planecie małp człekokształtnych (kod genetyczny, podania o stworzeniu człowieka, przyrzeczenie dane Abrahamowi przez „Boga", że jego potomkowie będą tak liczni jak gwiazdy na niebie, etc.).

11. Dawni pokonani, obecnie absolutni władcy i dlatego „bogowie" stwierdzili, że ewolucja rasy ludzkiej jest zbyt powolna. Bogowie często z tego powodu byli niecierpliwi, szybko karali i unicestwiali malkontentów, jak też tych, którzy nie podporządkowywali się ustanowionym przez nich prawom biologicznym. Bogowie nie rozważali problemu takich radykalnych operacji oczyszczających w kategeoriach moralnych ponieważ uważali, że jako stwórcy ludzi, są odpowiedzialni za ich przyszły rozwój.

Na zakończenie tego odcinka, jeszcze typowa dla Dänikena, gorzka refleksja.

„Wiem, że z powodu przedstawionych tu śmiałych spekulacji myślowych podaję wszystkim krytykom swoją własną głowę pod topór. Już się jednak do krytyki przyzwyczaiłem".

ERICH von DÄNIKEN

WOJNA W KOSMOSIE

Opracował:
BOGDAN KRAKOWIAN

U PRZYJACIÓŁ

Prasa radziecka zamieściła już obszerne streszczenie projektu Wytycznych KC KPZR na XXV Zjazd partii w sprawie kierunków rozwoju gospodarki w latach 1976—80.

Podstawowym zadaniem nauki radzieckiej — czytamy w Wytycznych — jest dalsze rozszerzenie i pogłębienie badań nad prawidłowościami rządzącymi przyrodą i społeczeństwem, zwiększenie wkładu nauki do rozwiązywania aktualnych problemów budowy materialno-technicznej bazy komunizmu przyspieszenie postępu naukowo-technicznego i wzrostu efektywności produkcji, podniesienie dobrobytu i kultury narodu, kształtowanie komunistycznego światopoglądu ludzi pracy. Wytyczne przewidują dalszy rozwój badań podstawowych i zastosowań w dziedzinie nauk społecznych, przyrodniczych i technicznych.

* * *

Prezydent Socjalistycznej Republiki Rumunii N. Ceausescu wygłosił na sesji Wielkiego Zgromadzenia Narodowego SRR obszerne przemówienie. M. in. podkreślił on potrzebę doskonalenia działalności RWPG. N. Ceausescu powiedział też, że zadaniem najwyższej wagi jest likwidacja rozbieżności w międzynarodowym ruchu komunistycznym i robotniczym.

* * *

Liczne obrazy i rzeźby, filmy, sztuki teatralne, pieśni, wiersze i opowiadania, które powstały w NRD w ubiegłych latach są poświęcone idei solidarności międzynarodowej. Twórczość artystyczna NRD jest od 1970 r. zdominowana przez tę tematykę bardziej niż kiedykolwiek. Walka i zwycięstwo w Wietnamie, wydarzenia w Chile, portugalska rewolucja, antyimperialistyczne ruchy narodowe w wielu innych krajach znalazły swoje odzwierciedlenie nie tylko w politycznym plakacie i w politycznej pieśni, lecz również w wybitnych, ponadczasowych dziełach sztuki.

Obok nowych dzieł Anny Seghers, Fritza Cremera, Ernsta Hermanna Meyera i Paula Dessaua, których cała twórczość związana jest z idea solidarności międzynarodowej, pojawiły się również utwory wielu twórców młodszej generacji. Seria fotoreportaży Thomasa Billhardtsa „Hanoi — na dzień przed pokojem", film dokumentalny Gitty Nickels „Tay Ho, wieś w czwartej strefie", „Epitafium na cześć Pabla Nerudy" i symfonia lipskiego kompozytora Friedricha Schenkera na sześć Martina Luthera Kinga są tego przykładem.

Jedna z najbardziej znanych pieśni — „Jesteśmy wszędzie, wszędzie na ziemi" z Klubu Październikowego — trafiła z X Festiwalu Młodzieży i Studentów w roku 1973 w Berlinie do wielu krajów świata.

* * *

Na Zjeździe KP Kuby w Hawanie pierwszy sekretarz KC KPK, Fidel Castro wygłosił referat sprawozdawczy KC partii. Referat zawierał tak obszerną tematykę, że F. Castro czytał go w ciągu trzech dni. Na wstępie referat KC KPK podkreśla, że pierwszy Zjazd KPK, pierwszej partii komunistycznej rządzącej w Ameryce Łacińskiej, wzbudza wielkie zainteresowanie za granicą. Świadczy o tym wymownie liczny udział w zjeździe przywódców wielu bratnich partii oraz innych postępowych, rewolucyjnych organizacji. Fidel Castro przekazał gościom zagranicznym serdeczne pozdrowienia, wskazując, iż naród kubański nigdy nie zapomni pomocy i solidarności z jaką spotkał się ze strony innych narodów, a zwłaszcza ZSRR.

* * *

W Leningradzie zmarła w wieku 65 lat wybitna poetka radziecka Olga Bergholc. Z tym właśnie miastem związane było niemal całe jej życie i twórczość. Już w latach szkolnych była młodzieżowym korespondentem gazety „Leninowskie Iskry", gdzie ukazały się jej pierwsze utwory poetyckie. Potem przychodzi praca w leningradzkiej fabryce „Elektrosiła" — młoda studentka pisze historie tego zakładu o rewolucyjnych tradycjach.

Szczytowe osiągnięcia w jej twórczości — to lata Wielkiej Wojny Narodowej. Powstały wtedy takie utwory, jak „Lutowe dzienniki", „Poemat leningradzki", „Wierność" i „Mów Leningrad" — poetycki odpowiednik słynnej VII Symfonii „Leningradzkiej" Dymitra Szostakowicza.

Zaraz po zabójstwie prezydenta Salvatore Allende wielu wykładowców i studentów, od dawna już umieszczonych na „czarnej liście" aresztowano, poddano torturom lub rozstrzelano. Część zaginęła bez śladu, przy czym los „zaginionych" nie budzi najmniejszych wątpliwości. Inni, są jeszcze wciąż przetrzymywani w więzieniach, niektórym udało się uciec za granicę. I wreszcie wielu usunięto z uczelni.

CHILE

WOJSKOWI INKWIZYTORZY W SZKOLNYCH MURACH

Ofiarą czystek padło 40 procent nauczycieli szkół podstawowych i średnich, 25 — 35 procent wykładowców i profesorów uniwersytetów i innych wyższych uczelni chilijskich. Liczby te będą stale rosnąć, bowiem czystka trwa i — co więcej — przybiera coraz większe rozmiary. Jednocześnie junta postanowiła obniżyć uposażenia wykładowców do poziomu najniżej opłacanych pracowników państwowych. Jest to swego rodzaju „kolektywna kara" w duchu reżimu hitlerowskiego; chilijskiego nauczyciela karze się za to, że odgrywał ważną rolę w „upowszechnianiu nowych idei".

Degradacja nauki

Następstwa tego kroku nie dały na siebie długo czekać: pewna liczba nauczycieli, w których te decyzje poniżające ich godność osobistą wzbudziły uczucie odrazy, zaczyna szukać za granicą pracy bardziej odpowiadającej ich dyplomom. Niedorzeczność polityki junty w dziedzinie nauczania przejawia się w całej swej złowieszczej tępocie. Swoimi represjami junta przyczynia się do ucieczki ludzi wykształconych. W ostatnim czasie — pisze korespondent „Le Monde Diplomatique" — ten odpływ uczonych przybiera rzeczywiście rozmiary bardzo niepokojące dla przyszłości nauki w Chile. Z każdym miesiącem topnieje liczba profesorów na wydziałach — biologii, matematyki i fizyki Państwowego Uniwersytetu Chilijskiego. Wkrótce wydziały te nie będą mogły w ogóle funkcjonować.

Do niektórych dyscyplin naukowych junta jest nastawiona tak wrogo, że wydziały, na których je wykładano, w wielu wypadkach, zostały już zamknięte. Chodzi tu o wydziały nauk politycznych i ekonomicznych, wydział dziennikarski, pedagogiczny i najbardziej przez juntę dyskryminowany — wydział socjologii. Zresztą wydziały socjologii zostały zamknięte wszędzie, z wyjątkiem Katolickiego Uniwersytetu w Santiago, w którym istnieją gwarancje „prawomyślności".

— Generałowie zamiast rektorów

Wykłady historii wzbudzają duży niepokój junty, bowiem uważa ona nauki historyczne za „dyscyplinę niebezpieczną i wybuchową". Z programu egzaminów „wycięto" dla pewności cały okres historyczny od 1891 roku do 11 września 1973 roku. Kto wie, jakie myśli mógłby zrodzić w egzaminowanych ten „dojuntowski" okres, jeśli by nawet został naświetlony „prawidłowo"?! W tym wypadku, jak zresztą i w innych, lepiej dać pierwszeństwo „świętej prostocie" nieuctwa.

Ponieważ nauczanie jest sprawą zbyt poważną, żeby pozostawić je w rękach cywilów, na czele uniwersytetów postawiono generałów i admirałów. Ci wyżsi oficerowie, podporządkowani ministrowi oświaty w stopniu admirała, mają szerokie pełnomocnictwa które w przeszłości posiadali rektorzy i senaty uniwersyteckie.

Głównym zadaniem tych rektorów -pełnomocników jest pilnowanie linii „prawidłowego myślenia". Generałowi lub admirałowi pomaga w tym „trybunał" kierowany przez funkcjonariusza wyznaczonego bezpośrednio przez juntę. „Trybunał" zbiera donosy, kieruje dochodzeniami, bada i bezapelacyjnie decyduje o losie „nieprawomyślnych" wykładowców, studentów lub pracowników administracyjnego personelu uczelni. Jeśli wziąć pod uwagę, że w Chile być usuniętym dziś z uniwersytetu oznacza jutro znaleźć się w więzieniu, zostać poddanym torturom lub skazanym na „zniknięcie", można sobie wyobrazić, iż działalność „trybunału" w każdym uniwersytecie nie sprzyja normalnemu tokowi zajęć uniwersyteckich.

Książki na stos

O mentalności junty można sobie wyrobić jasny pogląd czytając jej dokumenty i rozmyślając nad jej działalnością: w ostatecznym rachunku każdy, kto się uczy, jest — w jej mniemaniu — niebezpieczny dla państwa. Biblioteka Państwowego Uniwersytetu Chilijskiego nie uzupełnia już swego księgozbioru, wprost przeciwnie — sporządza się tutaj wykazy książek przeznaczonych do spalenia. Figurują na nich książki, których los przesądza nawet tytuł: „Partie polityczne", „Nowe społeczeństwo przemysłowe" itp. Junta poleciła zniszczyć w drukarni nakład książki pt. „Ideał historyczny". Tymczasem jej autor jest całkowicie „prawomyślny politycznie". Jest nim Claudio Orrero, były poseł z ramienia Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, który prowadził zaciekłą walkę przeciwko prezydentowi Salvatore Allende. Na czym polega jego wina? Rzecz w tym, iż w jego książce znajdowała się analiza odpowiedzialności faszyzmu za wywołanie II wojny światowej. Nie było w niej żadnych aluzji do Chile, jednakże junta uznała za niestosowne wspominanie o sznurze w domu wisielca.

Nawet przemówienia papieży podlegają cenzurze. Dziennikarzom wydano ustny zakaz cytowania najbardziej drażliwych fragmentów z papieskich encyklik. Papieżom daleko do marksistów, ale i im zdarzało się mówić, chociaż w bardzo zawoalowanej formie, o poważnych problemach socjalnych naszych czasów.

„Ideał junty"

Kontradmirał Horche Suit, który mocno trzyma w rękach ster rządów papieskiego Katolickiego Uniwersytetu, zwolnił 152 „nieprawomyślnych" profesorów. Oczekuje się na jeszcze jedną falę i wówczas liczba zwolnionych osiągnie 300. Zresztą nie tylko na tym polega ideał junty, do którego dąży od początku swoich rządów: kadra naukowców zredukowana do garstki profesorów, niektóre wydziały zamknięte, laboratoria bez środków do pracy, liczba studentów maleje...

Żeby przyśpieszyć proces likwidacji systemu studiów wyższych, junta podjęła decyzję, że w przyszłości uniwersytety będą zdane na „samofinansowanie". W związku z tym opłata za studia wzrosła 10-krotnie. Zniesiono prawo do bezpłatnej nauki dla niezamożnych studentów. Junta poszła jeszcze dalej: kryterium przyjęcia na studia jest dobra sytuacja materialna kandydata.

Jednakże młodość ma swoje prawa — nawet syn bogacza może być mało odporny na idee lewicowe. Dlatego przewidziano tworzenie komisji selekcyjnych, przez które przechodzą kandydaci na uniwersytety. Łatwo się domyślić, jakie tam stosuje się kryteria.

Pani Pinochet, żona głowy junty, zajęła się energicznie losem dziewcząt ze średnim wykształceniem, które z braku pieniędzy nie mogą przestąpić progów wyższej uczelni. Założyła dla nich szkołę, w której przygotowuje się „dobre pomoce domowe", wynajmowane po „studiach", na stałe lub dorywczo, do pracy w zamożnych domach. Oprócz nazwy, niczym nie będą się różnić od służących czy dochodzących pomocnic domowych.

W oczekiwaniu na „Pinochetjugend"

Militaryzacja obejmuje nie tylko uniwersytety. W państwowych i prywatnych szkołach codziennie, w charakterze „oczu i uszu" junty wałęsa się podoficer, albo, jeśli to duża szkoła — oficer, powiązany z instytucjami wojskowymi. Ten inkwizytor w wojskowym mundurze inwigiluje jednocześnie uczących się, ich rodziców, wykładowców i dyrektorów.

Posiada szerokie pełnomocnictwa: może na przykład zażądać od administracji, żeby przedłożyła mu programy i plany zajęć, może wejść do dowolnej klasy, żeby posłuchać, jak odbywa się lekcja, pojawić się całkiem nieoczekiwanie na radzie pedagogicznej. Może wezwać dyrektora do koszar, żeby wydać mu polecenia, a w wypadku jeśli dyrektor nie zechce wykonywać ich z dostateczną gorliwością — zażądać jego zwolnienia z pracy. Także nauczyciele mogą być wzywani o każdym czasie, na przykład w niedzielę o świcie. Mogą otrzymać naganę za to, że użyli w klasie takiego słowa, jak „wolność", „demokracja", „prezydent republiki"...

Ale są to wszystko drobiazgi. Głównym zadaniem inkwizytora szkolnego jest zachęcanie do formułowania politycznych donosów, zbierania i sprawdzania ich motywacji. Kiedy rozpoczęto dochodzenie, może się ono nagle przenieść z ucznia na jego rodziców. Od tej chwili wszyscy członkowie rodziny czują na sobie oczy junty. Każdy uczeń musi obowiązkowo uczestniczyć w lekcjach „bezpieczeństwa narodowego", na których wpaja się w nich nacjonalizm. W ten sposób junta ma nadzieję „wyhodować" nową chilijską młodzież.

Na razie junta czeka na pojawienie się owej krótko ostrzyżonej, o tępym spojrzeniu „Pinochetjugend", która będzie, podobnie jak „Hitlerjugend", maszerować twardym krokiem. Tymczasem jednak indeks inflacji osiągnął fantastyczną liczbę — 375 procent, 25 procent Chilijczyków nie ma pracy, rozpaczliwą sytuację całego narodu porównuje się do powolnego ludobójstwa.

JERZY CZECH

CZAS DOBRY dla POKOJU

Upływa rok, który na scenie międzynarodowej przyniósł wydarzenia największej wagi. I chociaż kalendarzowy okres w polityce zagranicznej nie stanowi żadnego przedziału — kronikarze historii świata zapiszą 1975 rok jako czas dobry dla pokoju. Pod tą datą znajdzie się bowiem pomyślny finał Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz wiele innych korzystnych wydarzeń. Druga połowa lat siedemdziesiątych powinna się więc rozpocząć od nadawania tym zjawiskom cech trwałych — uczynienia z odprężenia procesu nieodwracalnego. Takie stanowisko niezmiennie zajmują kraje socjalistycznej wspólnoty.

Potwierdziła to raz jeszcze moskiewska narada ministrów spraw zagranicznych siedmiu krajów, która odbyła się przed kilku dniami. Jej uczestnicy, reprezentujący Bułgarię, Czechosłowację, NRD, Polskę, Rumunię, Węgry i Związek Radziecki, dyskutowali najaktualniejsze zagadnienia rozwoju sytuacji międzynarodowej. Stwierdzili, że mimo całej złożoności współczesnego świata — cechą dominującą jest umacnianie się pokojowych i przyjaznych stosunków między państwami, rozszerzanie równoprawnych i wzajemnie korzystnych stosunków współpracy. Jest to w dużej mierze następstwem dynamicznej i konsekwentnej polityki pokoju, jaką prowadzą kraje socjalistyczne.

Na kontynencie europejskim droga do trwałego pokoju wytyczona została wspólnie przez 35 krajów Aktem Końcowym Konferencji w Helsinkach. Teraz niezbędna jest codzienna praktyka, która przyjęte w szczegółach postanowienia, wypełniłaby konkretną treścią.

„Państwa socjalistyczne, reprezentowane na naradzie w Moskwie — czytamy w końcowym komunikacie z jej obrad — *będą nadal działały w tym kierunku i liczą, że w taki sam sposób będą postępowały inne państwa — uczestnicy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie".*

Inne kontynenty nie są równie jak nasz zaawansowane w procesie odprężenia.

Na Bliskim Wschodzie — mimo iż nie ma stanu wojny — sytuacja jest nadal niebezpieczna. Dlatego niezbędne jest kontynuowanie wysiłków w celu osiągnięcia w tym rejonie sprawiedliwego i trwałego pokoju. Oznacza to potrzebę całościowego uregulowania konfliktu na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Chodzi tu przede wszystkim o wycofanie się wojsk izraelskich z zagarniętych terytoriów arabskich oraz zagwarantowanie słusznych praw arabskiemu narodowi Palestyny. Droga do tego może prowadzić tylko przez wznowienie prac konferencji genewskiej z udziałem wszystkich bezpośrednio zainteresowanych stron. Jedną z nich, jak wiadomo, jest Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

Innym ważnym problemem współczesności jest położenie kresu wyścigowi zbrojeń i doprowadzenie do rozbrojenia, szczególnie w zakresie broni jądrowej. Państwa socjalistyczne, uczestniczące w moskiewskiej naradzie, opowiadają się za skutecznymi krokami w tej dziedzinie i uczynią wszystko, aby zapewnić sukces rokowaniom dwustronnym, jak i wielostronnym.

Dotyczy to także wiedeńskich rokowań na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Powinny one doprowadzić do efektywnej redukcji *„na podstawie poszanowania zasady nieprzynoszenia uszczerbku bezpieczeństwu któregokolwiek państwa".*

Ministrowie spraw zagranicznych wymienili ponadto poglądy na temat niektórych innych aspektów sytuacji międzynarodowej, wyrażając poparcie państw socjalistycznych dla Ludowej Republiki Angoli.

Spotkanie moskiewskie jest jakby klamrą, spinającą rok, który — jak wspomnieliśmy na początku — był obfity w pomyślne wydarzenia. Ułożyły się one w pewien logiczny ciąg, łatwo dostrzegalny przez każdego wnikliwego obserwatora. Ale właśnie ta wielość pokojowych zjawisk w życiu międzynarodowym skłania przeciwników odprężenia do kontrofensywy. Zawierają przymierza i próbują łączyć siły, a wszystko to dzieje się pod hasłem „niebezpiecznego charakteru odprężenia'. Dlatego też mówimy o potrzebie stałej czujności wobec sił wstecznych i militarystycznych, które przecież nie złożyły broni i chciałyby odnowić swój kapitał polityczny, zdobyty w okresie zimnej wojny.

Rozwiewać ich nadzieje — to przede wszystkim nieustannie stwarzać nowe fakty na drodze budowy pokojowych stosunków między państwami. Utrwalenie wzajemnego zaufania i konstruktywnej współpracy, wspólne rozwiązywanie złożonych problemów, postęp w dziedzinie odprężenia wojskowego — to tylko niektóre z możliwych w najbliższym okresie przedsięwzięć. Wskazują na nie kraje socjalistycznej wspólnoty, wierząc, że nadchodzący 1976 rok może przynieść dalsze pogłębienie światowego odprężenia.

W. SŁAWSKI

MAFIA (część druga)

W poprzednim numerze „ODGŁOSÓW" opublikowaliśmy pierwszą część wyznań zawodowego mordercy, pracującego na usługach jednej z organizacji gangsterskich w Stanach Zjednoczonych, jakie złożył jednemu z amerykańskich dziennikarzy.

Obecnie publikujemy część drugą. Jest to swoisty dokument zwyrodnienia, do jakiego może dojść człowiek, traktujący mordowanie innych jako zwykłą „pracę", jak każdą inną.

SPOWIEDŹ „TARANA"

Umowa zawiera też tak zwaną „klauzulę wpadki" — chociaż wpadka jest dla mnie zupełnie nieprawdopodobną, wręcz niemożliwą sytuacją. Gdybym jednak wpadł — nie będę mówił. Ani słowa. Nie wydam dźwięku. Nawet nie pisnę. Cisza. Żeby zapewnić sobie moje milczenie, strona, z którą się układałem, musi opłacać gaże adwokatów, musi utrzymywać moją rodzinę i musi dać mi pewną sumę po wyjściu z pudła. Pewnego razu spędziłem za kratkami dziesięć miesięcy czekając na proces i kiedy mnie zwolniono otrzymałem czek na 50 000 dolarów — jakże wymowna nagroda za długie milczenie.

50 tysięcy to kupa forsy, ale Organizacja wie, co robi. Będąc spokojny o los najbliższych i wiedząc, że nawet za kratkami zarabiam pieniądze nie mam powodu, żeby mówić. Organizacja ma jeszcze jedno wyjście — może spróbować mnie zabić, ale to byłoby nierozważne, bo wtedy żaden zawodowiec nie zgodziłby się już dla niej pracować.

Johnson — facet, który zastrzelił Joe Colombo, nie mógł liczyć na taki układ, bo był amatorem i nikt nie miał wątpliwości, że gdyby go złapano wyśpiewałby wszystko bez większego oporu. Kropnął Colombo i w tym samym momencie wydał na siebie wyrok śmierci.

Jeżeli „taran" jest stałym pracownikiem jakiejś grupy, to proces zawierania umowy wygląda trochę inaczej. Odbierasz wtedy stałe wynagrodzenie i kiedy mówią ci, że ten czy ów człowiek musi odejść, to nie ma rady. Nieważne jaką funkcję sprawuje i kim jest dla ciebie — odchodzi. Staje się jeszcze jednym żołnierzem tej wielkiej, niebiańskiej armii.

Jeżeli wezmę pieniądze, to bez względu na okoliczności wykonam robotę. Biorąc choć jeden grosz gwarantuję umowę własnym życiem. Dlatego chcę, żeby skok zrobiony był szybko i dobrze. Pomaga mi w tym doświadczenie.

Zaplanowanie roboty nie jest trudne. Trzeba jednak skrupulatnie przestrzegać kilku prostych zasad: nie wolno „staranować" człowieka w jego własnym domu, ani w obecności jego rodziny (Gallo zginął w obecności żony i córki, bo zastrzelił go Colombo przy jego synach), nie wolno krzywdzić rodziny tego człowieka, nie wolno zastrzelić go w kościele ani w pobliżu jakiejkolwiek świątyni, nie wolno go torturować (jesteś jego katem, a nie sędzią) ani obrabować. Poza tym można z nim zrobić wszystko.

Są trzy sposoby zaplanowania takiego skoku. „Taran" albo otrzymuje dokładne informacje o skazańcu, albo też przeprowadza wywiad na własną rękę samemu wybierając czas, miejsce i narzędzie zabójstwa. Zdarza się, że ktoś przyprowadza ofiarę na umówione spotkanie. Jeżeli chodzi o mnie, to lubię trzymać wszystkie nitki we własnej garści i poświęcam bardzo wiele czasu upewniając się, że wszystko ułoży się tak, jak ja sobie tego życzę. Pewnego razu łaziłem za facetem dziesięć dni zanim nacisnąłem spust.

Ten człowiek wskazywał naszych kontrolerów ludziom, którzy ich rabowali. Zostawiał zwykle samochód na całą noc w pobliżu małej stacji benzynowej i po namyśle zdecydowałem, że „staranuję" go właśnie tam. Nie wiedział, co go czeka aż do momentu, w którym wyciągnąłem spluwę. Wtedy uświadomił sobie, że za chwilę umrze. Zaczął mnie o coś błagać, ale nie pozwoliłem mu wymówić nawet pięciu słów. Wiedział dlaczego strzelam, a ja wiedziałem, że nie do mnie należy wygłaszanie kazań. Tak czy inaczej wybrałem świetne miejsce — stacja była nieczynna i nikt się koło niej nie kręcił.

Najważniejszą rzeczą jest odizolowanie skazańca. Mogę czekać w jego własnym aucie i kropnąć go, kiedy usiądzie za kierownicą, mogę też namówić osobę której ufa, żeby przyprowadziła go na wybrane przeze mnie miejsce. Bardzo dobrze, jeżeli uda się zaskoczyć go późną nocą. Najważniejsze jednak, żeby strzelić do niego w chwili, kiedy jest sam, bo w przeciwnym wypadku muszą zginąć niewinni ludzie i trzeba zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

Na szczęście nigdy nie wpadam w takie tarapaty, bo bardzo starannie wybieram miejsce egzekucji. Gdyby jednak jakiś przechodzień przywałęsał się tam w chwili kiedy pracuję, musiałby odejść wraz z moją ofiarą. Wiem, że nie czułbym się wtedy najlepiej, ale wiem też, że zastrzeliłbym go bez wahania. Jestem zawodowcem i jestem ostrożny. Inni nie są tak ostrożni jak ja. Na przykład Mały Augie Pisano zabawiał się z dziwką, kiedy zatelefonowano do niego i kazano mu przyjść na spotkanie. Ten dureń wziął dziewczynę z sobą, co było jawnym pogwałceniem zasad Organizacji. Na takie spotkania nie wolno przyprowadzać cywilów. Na Augie Pisano czekali zabójcy. Kiedy się pokazał nie mieli wyboru — dziewczyna musiała odejść razem z nim. I odeszła.

Jak każdy zawodowy „taran" zawsze używam rewolweru. Zawsze. Użyłem go już trzydzieści osiem razy. Jestem dobrym strzelcem i wiem, gdzie cię trafić, żebyś umarł szybko. Nikt jeszcze nie przeżył mojego strzału. Mam mocne ręce, dobre oczy i ogromną pewność siebie. Moją ulubioną bronią jest rewolwer kalibru 38 i używam go tak często jak tylko mogę, bo jest nieduży i niezawodny w działaniu — chyba, że w komorze ławi nabój ze złą spłonką albo nagle pęknie kurek. Zawsze bardzo starannie sprawdzam broń. W większości wypadków używam tłumika, bo strzał przypomina wtedy ciche pfft. Najlepiej jest trafić pierwszą kulą w głowę ofiary. To natychmiast kończy sprawę i daje więcej czasu na odwrót.

Kiedyś popularne było topienie skazańców, ale teraz nikt już tego nie robi. Po co zadawać sobie tyle trudu, po co wlec faceta do miejsca, w którym woda jest dostatecznie głęboka, żeby go wreszcie przyzwoicie utopić? Żeby wyglądało to na wypadek? Bzdura! To nie może wyglądać na wypadek! Wszyscy muszą wiedzieć, że facet został staranowany. Jego trup będzie ostrzeżeniem dla innych.

Meyer musi zostać „staranowany". Miałem za to dostać duże pieniądze, ale odmówiłem bez wahania. Możecie wierzyć lub nie, ale jestem lojalny wobec gości, którzy dają mi chleb. Wiedziałem, że w momencie, w którym powiedziałem „nie" skazano mnie na śmierć. Nie zabito mnie od razu tylko dlatego, że trzymałem w ręku odbezpieczony rewolwer. Zawsze, ilekroć idę na tego rodzaju konferencje, wkładam spodnie z wyciętymi kieszeniami, dzięki czemu mam łatwy dostęp do mojej trzydziestki ósemki tkwiącej w specjalnym olstro umieszczonym po wewnętrznej stronie uda. Pamiętam, że siedzieliśmy wtedy w jakiejś restauracji, a ja za plecami miałem ścianę. Kiedy powiedziałem „nie", facet pokręcił głową. „Jakże mi przykro", rzekł. Wyciągnąłem spluwę i położyłem ją na stole. „A to dlaczego?" spytałem.

„Zobaczymy się jeszcze", oznajmił i wyszedł bez pożegnania. Mój błąd polegał na tym, że nie powiedziałem nic Meyerowi. Sądziłem, że dam sobie radę bez niczyjej pomocy i omal nie przypłaciłem tego życiem.

Pewnego dnia wyszedłem z banku w Miami Beach i znalazłem się w strasznych opałach. Strzelało do mnie trzech facetów. Uderzenie kuli wywołuje najdziwniejsze uczucie pod słońcem. Miejsce trafienia wybucha najpierw przeszywająco piekącym bólem, potem następuje szok i nagle masz wrażenie, że śnisz — wszystko wokół ciebie porusza się w zwolnionym tempie. Przy następnym trafieniu nie czujesz już bólu, chociaż siła uderzenia pocisku jest ogromna. Nie jesteś też w stanie myśleć. Wszystko zależy wtedy od refleksu i instynktu samoobrony. Pamiętam tylko, że nagle w moim ręku znalazł się rewolwer i że nacisnąłem spust. Pamiętam, że pierwszą kulą rozstrzaskałem głowę jednemu facetowi, pamiętam, że zastrzeliłem drugiego. Trzeciego nie zdążyłem już zobaczyć. (Kilka lat później w jakiejś włoskiej restauracji ten gość podszedł do mnie i powiedział: „Nie znasz mnie, a przecież omal cię nie wykończyłem". Rozmawialiśmy jakiś czas o tej strzelaninie. Nie byłem zły. Rozumiałem go. Praca jest przecież pracą).

gliny — co u diabła, w końcu zginął tylko jakiś gangster, po cóż więc tyle szumu? Niech się wzajemnie wystrzelają.

Kto zresztą może ich za to winić? Gazety, telewizja, kino, komiksy i książki odwaliły za nas porządny kawał roboty, bo napędziły tak zwanym uczciwym obywatelom okropnego pietra. Zadam wam jedno pytanie: czy po obejrzeniu „Ojca chrzestnego" zgodziliby-ście się zeznawać przeciwko Donowi Corleone? Do diabła! Jestem pewny, że po obejrzeniu tego filmu nie chcielibyście zeznawać nawet przeciwko Marlonowi Brando.

W ciągu całej kariery złamałem jedną tylko zasadę — z zemsty zabiłem trzech ludzi i zabijałem ich powoli, tak, żeby konali w męczarniach. Zwykle trzeba uzyskać pozwolenie na taką egzekucję, ale wtedy nie zawracałem sobie tym głowy. Do dzisiaj ta historia wraca do mnie jak ponury, zły film.

Pamiętam, że w „Nevada Smith" Steve McQuinn odnalazł trzech facetów, którzy wykończyli jego rodziców, ale trzeciego po prostu nie mógł już zabić. Ścigając zabójców stał się innym człowiekiem. To był film, ale życie jest inne. Nikt i nic na całej kuli ziemskiej nie mogłoby powstrzymać mnie od całkowitego spełnienia mojej zemsty.

W 1958 roku przywiozłem z Meksyku dużą partię narkotyków. Mój udział opiewał na 40 000 dolarów, ale pewien człowiek doszedł do wniosku, że moja śmierć byłaby znacznie tańsza. Na nieszczęście jego ludzie nie zastali mnie w domu. Zastali natomiast moją żonę, która była wtedy w czwartym miesiącu ciąży. Przeszukali mieszkanie i kiedy zobaczyli, że rzeczywiście mnie w nim nie ma wpadli w złość. Jeden z nich kopnął dziewczynę w brzuch, a potem wyszli zostawiając ją leżącą na podłodze w kuchni. Dostała krwotoku i umarła zanim sąsiedzi zdążyli odwieźć ją do szpitala.

Ci faceci dostali mnie w Nevadzie, w Reno. Wyszedłem właśnie z kasyna — nie wiedziałem jeszcze co się stało z moją żoną — i szedłem jakąś wąską uliczką, gdy nagle zgasły wszystkie światła. Uderzono mnie w tył głowy ciężkim, tępym narzędziem.

Odzyskałem przytomność dopiero dziesięć dni później w szpitalu w Washoe. Byłem zupełnie sparaliżowany. Po długim zabiegu przywrócono mi władzę w rękach i nogach. Następnego dnia przyjaciele powiedzieli mi, jaki los spotkał moją żonę.

Tego właśnie dnia przestałem dostrzegać różnicę między życiem a śmiercią. Tego dnia przestałem bać się śmierci. Pozostała we mnie tylko nienawiść. Nie mściłbym się na tych trzech gościach za zamach — praca jest przecież pracą — uregulowałbym tylko rachunek z ich bossem. Jednak kopnięciem wydali na siebie wyrok.

Małżeństwem byliśmy od niedawna. Żeniąc się myślałem o odejściu z Organizacji. Z całą pewnością nie pracowałbym już jako „taran". Słyszałem często, że kobieta potrafi zmienić życie mężczyzny... tak właśnie było ze mną. Moja żona była bardzo uczciwą dziewczyną. I była moja. Po raz pierwszy w życiu spotkałem kogoś, kto dał mi tyle szczęścia. Do tej pory nie wiedziałem, co to znaczy być szczęśliwym. Do tej pory wszystko wydzierałem życiu siłą lub podstępem. Po raz pierwszy spotkałem kogoś, kto chętnie dawał mi wszystko, bo po prostu mnie lubił. Nie było żadnych gróźb, żadnych manewrów — uczucie, które żywiła do mnie było zupełnie szczere.

I nagle mój świat przestał istnieć. Po prostu rozleciał się na kawałki. Zmieniłem się. Przedtem byłem niebezpieczny i trochę postrzelony, ale nie byłem okrutny. Teraz stałem się takim. Gotów byłem uciec się do najpodlejszego podstępu, byle tylko się zemścić. Zaraz po tym jak odzyskałem zdolność ruchów kazałem podprowadzić się do telefonu i zadzwoniłem do faceta, który chciał się mnie pozbyć. Powiedziałem mu tylko kilka słów: „Pomyliłeś się, frajerze. Przeżyłem".

Spędziłem w szpitalu osiem miesięcy i pewnego dnia doktor oświadczył mi, że albo zaryzykuję i zgodzę się na operację, albo zostanę w łóżku do końca moich dni. Spytałem go jakie mam szanse.

„Równe", odrzekł. „Albo wyjdzie pan stąd jako zdrowy człowiek, albo wyniesie pana ośmiu najlepszych przyjaciół".

Było mi wszystko jedno, więc poszedłem pod nóż. Siedem miesięcy później wyszedłem ze szpitala o własnych siłach i zacząłem rozglądać się za trzema facetami, którzy zabili moją żonę.

Szukałem ich bez wytchnienia. Rewolwer załadowałem nabojami o płaskim pocisku używanym zazwyczaj do strzelania na dalszą odległość. Z bliska te kule nie zabijają, ale miażdżą kości i wywołują krwotoki.

Pierwszego znalazłem w Kalifornii i zabijałem go bardzo powoli. Zwabiłem go na wielkie wysypisko śmieci zalegające jakieś wielkie i słabo oświetlone podwórze. Przysięgał, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią mojej żony, ale nie słuchałem tego co mówił, bo znaleźli się ludzie, którzy opowiedzieli mi całą historię. Strzelałem do niego bez pośpiechu. Najpierw w nogi, żeby nie mógł się ruszyć. Potem w piersi, żeby krwawił. Na końcu odstrzeliłem mu uszy. Kilka razy przeładowywałem broń i czułem się coraz lepiej. Odszedłem dopiero wtedy, kiedy zaczął konać.

Drugiego wytropiłem w Meksyku i zabiłem go w ten sam sposób. Nigdy jeszcze zabójstwa nie sprawiały mi takiej przyjemności. Cóż za wspaniały widok. Czułem zapach strachu. Wiem teraz dlaczego zwierzęta z większą furią atakują ludzi, którzy się ich boją. Strach śmierdzi. Widziałem to. Czułem ten zapach. I bardzo go lubiłem.

Trzeciego ścigałem przez cały kontynent. Wiedział, że go szukam i próbował się ukryć. Znalazłem go dopiero po roku w Nowym Jorku. Zginął tak, jak zginęli jego kumple. Potem zadzwoniłem do bossa. „Jesteś następny", powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Zanim się za niego wziąłem dostał dwadzieścia pięć lat za handel narkotykami. Tylko to ocaliło mu życie. Wierzcie mi. Modlę się gorąco, żeby każdy dzień więzienia był dla niego piekłem. Jeżeli to piekło przeżyje i wyjdzie za bramę, będę na niego czekał. Zobaczy mnie jeszcze raz, ostatni raz w życiu. Przysięgam.

Dlaczego to robię? Dlaczego zabijam ludzi? Mam ku temu kilka powodów. Najważniejszym jest forsa. Dobrze pamiętam lata nędzy, kiedy jako mały chłopiec jadałem mięso raz czy dwa razy w miesiącu. Nigdy tego nie zapomnę.

Poza tym lubię pozycję, którą daje mi mój zawód. Jestem kimś. Ludzie albo się mnie boją, albo są mną zafascynowani. Do tej drugiej grupy należą przede wszystkim kobiety. Możecie wierzyć lub nie, ale wiele z nich chce bliżej poznać człowieka, którego zawodem jest zabijanie ludzi. Potem jednak mają na twarzy dziwny grymas, tak jakby dotknęły czegoś nieczystego lub niepotrzebnie się przed kimś poniżyły.

Po tylu latach pracy mogę śmiało powiedzieć, że świetnie sobie radzę w wybranej przeze mnie profesji. Mam żonę, dom, samochód. Żyjemy w dostatku. Cieszę się szacunkiem kilku przyjaciół. Większość członków mojej rodziny domyśla się w jaki sposób zdobywam pieniądze, ale nigdy o nic mnie nie pytają. Raz na jakiś czas rozmawiam z kuzynem — policjantem o naszych interesach i zawsze przy pożegnaniu udziela mi tej samej rady: „Bądź ostrożny, chłopie, bądź ostrożny".

Nie próbujcie zrozumieć ani mnie, ani innego „tarana". W całych Stanach jest jeszcze około tysiąca takich jak ja facetów. Jednak ostatnio (może z wyjątkiem Nowego Jorku), jest nam coraz trudniej dostać pracę i dlatego jesteśmy chyba gatunkiem wymierającym. Najbardziej niezwykłe jest w nas to, że jesteśmy tak bardzo zwykli. Sadysta, szaleniec, łobuz czy dziwak nie przeżyłby w naszym zawodzie miesiąca. Po prostu zostałby usunięty. Nie pozostawiłby za sobą najmniejszego śladu.

Moi koledzy po fachu bardzo się między sobą różnią. Jedni są pogodni, drudzy ponurzy, jedni wysocy, drudzy niscy, a ostatnio pojawiło się kilku długowłosych. W ulicznym tłumie nie rozpoznałbyć żadnego z nich. Zresztą, po co. „Tarana" — fachowca znają tylko ci, którzy muszą go znać.

Spytacie mnie zapewne, co czyni „tarana" fachowcem. Odpowiem: duma, staranność i pewność siebie. Zawodowiec taki jak ja wychodzi, robi to, co do niego należy, potem wraca i razem z rodziną je niedzielny obiad.

Dobrze jest przecież wrócić do domu po skończonej pracy.

Słyszałem o „taranach", którzy zabijają nożami, toporkami i motykami, którzy wieszają i duszą, a co jakiś czas używają czegoś tak dziwacznego jak palnik acetylenowy, ale prawdziwi zawodowcy zawsze wybierają rewolwer. Ja na przykład nie użyłbym niczego innego. Nie dlatego, że kulę uważam za szlachetniejszą metodę zabójstwa, ale dlatego, że muszę zabić i nie chcę, żeby mnie przy tym złapano. Nigdy więc nie podchodzę bliżej jak na trzy, cztery kroki. Z tej odległości nie chybiam. Niewielu zdążyło uświadomić sobie jaki los ich czeka. Byłem ostatnią osobą, którą widzieli na tym świecie. Nigdy nic nie mówiłem, bo cóż mogłem im powiedzieć? Niektórzy zdążyli uczynić znak krzyża, inni zdołali wybełkotać „nie", ale nie dawałem im czasu na nic więcej.

„Staranowanie" szefa przedstawia się zupełnie inaczej. Po pierwsze, szef ginie tylko na wspólnie wydany rozkaz innych szefów. Zabicie bossa jest bardzo kosztowną opłacalną operacją. Słyszałem, że za staranowanie Alberta Anastasio mój przyjaciel Joey Gallo dostał 50 000 dolarów i kontrolę nad dużym obszarem południowego Brooklynu. Istnieją dwa sposoby „staranowania" tak ważnej osobistości. Pierwszy z nich jest łatwiejszy i polega na nawiązaniu porozumienia z człowiekiem z osobistej ochrony albo zastępcą bossa. W większości wypadków można to załatwić. Ludzie z ochrony rzadko bywają lojalni wobec swoich szefów. Weźcie takiego Anastasio. Gallo pogadał z jego osobistym strażnikiem Trigger Mike Coppolą i kiedy któregoś ranka Anastasio golił się w łazience Trigger Mike odszedł spod drzwi i pozwolił go „staranować". Proste. Szybkie. Sprawne. Łatwe.

Drugi sposób jest trudniejszy. Jeżeli człowiek z ochrony nie zgodzi się na współpracę, to i on musi zginąć. Kiedy pracowałem dla Meyera Lansky'ego przedstawiciel Vito Genovese zaprosił mnie na spotkanie i oświadczył, że

Adwokat, z którym byłem w banku wpakował mnie do taksówki. Kilkanaście minut później leżałem na stole w jakimś opustoszałym składzie, a zaufany lekarz wydłubywał ze mnie kule. Po tygodniu znalazłem się na statku płynącym do Brazylii, gdzie spędziłem rok wspaniałych wakacji.

Mam jedną zasadę, od której nigdy nie odstępuję — w żadnym wypadku nie staram się planować alibi. „Ustawianie" alibi jest dla mnie oznaką skończonej głupoty, bo polega się wtedy na zbyt wielu ludziach. Prosząc, żeby poświadczyli twoją obecność, dajesz im znak, że coś chcesz w tym czasie zrobić. A przecież wystarczy dobrze wykonać robotę i nikt nie będzie wiedział, że miałeś coś z tym wspólnego. Ja zawsze znajdę alibi. W każdej chwili osiemnastu ludzi poświadczy, że noc i dzień grali ze mną w karty. To samo zrobi dla mnie kilku właścicieli knajp i kin. Nie ma problemu.

Policja nie sprawia zazwyczaj wielkiego kłopotu. Glinom nie będzie się chciało ruszyć głową, żeby znaleźć zabójcę gangstera. Wiem z doświadczenia, że bardzo często nie mogą nawet znaleźć świadków, chociaż równie często wiedzą kim jest morderca i dlaczego zabił; mimo to odkładają sprawę na półkę jako „nie rozwiązaną". Chylę czoła przed policją. Gliny naprawdę znają swój fach. Kiedy jednak jakiś członek Organizacji zabije innego członka Organizacji... cóż, powiedzmy sobie szczerze, że żadnemu policjantowi nie spędzi to snu z powiek i żaden oficer śledczy nie będzie zbyt gorliwie pracował.

Świadkowie nie wchodzą w rachubę. Tylko niewielu zgodzi się zeznawać przeciwko Organizacji. Nie dlatego, że są uprowadzani czy zabijani, ale dlatego, że taki przeciętny człowieczek nie chce sprowadzić nieszczęścia na głowy swoich najbliższych. Poza tym ludzie tworzący nasze społeczeństwo są zupełnie aspołeczni i myślą podobnie jak

Tłumaczył:

JERZY TWORKIEWICZ

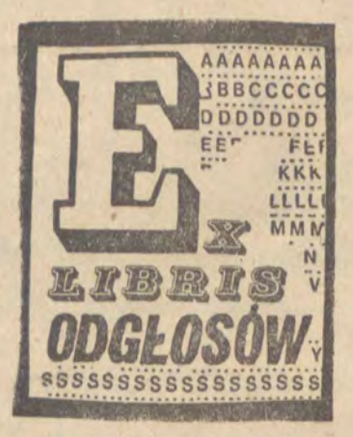

„POŚLIZG"

W popularnej już wśród amatorów literatury science fiction serii Iskier „Fantastyka — Przygoda" ukazał się zbiór opowiadań Tadeusza Kozłowskiego. „POŚLIZG". W 230-stronicowej książce znalazły się cztery opowiadania są one więc z natury swojej obszerniejsze, a ich akcja rozgrywa się w nie tak dalekiej przyszłości.

W literaturze SF rzeczą niezwykle ważną jest pomysł. Musi być to pomysł pobudzający wyobraźnię czytelnika, a jednocześnie tak przekonywająco przedstawiony, aby nie rodzić podejrzeń o... niemożliwości. Czytelnik musi być przekonany, że wprawdzie wymyślił to człowiek nam współczesny, ale wymyślił akcję, która może zdarzyć się w przyszłości. Jest zdaniem czytelnika prawdopodobna.

Tadeusz Kozłowski sprezentował odpowiadania skonstruowane wedle takiej właśnie zasady. Dwa z nich są zręcznym połączeniem opowiadań kryminalnych z SF. Czytelnik jest tu świadkiem rozwiązywania zagadek przez urzędników policji. Są to jednak zagadki, które zdarzyły się w przyszłym świecie wysokiej cywilizacji i wymagają pomocy nauki.

Dwa inne opowiadania, w tym tytułowy „Poślizg" pochodzą z innego kręgu pomysłów. „Poślizg" jest jeszcze jedną kombinacją na temat możliwości podróżowania w czasie. Ludzi ciągle interesuje przeszłość, ale nie tylko ta, poznawana dziś i odtwarzana mniej lub bardziej hipotetycznie, ale ta, która byłaby wierną kopią minionych czasów, albo po prostu autentycznymi minionymi czasami. I Tadeusz Kozłowski wpadł na pomysł „zmarszczki" w przestrzeni.

Wszystkie 4 pomysły, które stały się podstawą opowiadań można zaliczyć do dobrych, gdyż wypełniają warunek prawdopodobieństwa.

Tadeusz Kozłowski „Poślizg". Iskry. Warszawa — 1975. str. 234, cena: zł 16,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

PIĘKNO ARCHITEKTURY

Przez wiele lat był w modzie niechętny stosunek do łódzkiej architektury fabrycznej. Te zwaliste mury tkalni i przędzalni kojarzono w sposób najprostszy z epoką kapitalizmu, z nędzą robotnika — z całym złem, jakie przyniosła tamta epoka. I jakoś umykała nam oczywista prawda, że to przecież nie tylko pomniki wyzysku, ale także pomniki oryginalnej architektury, zabytki kultury materialnej swojego czasu.

Przełamywanie konwencji następowało powoli. Ukazała się wspaniała i cenna monografia Ireny Popławskiej „Architektura przemysłowa Łodzi w XIX wieku", potem Wacław Kondek przygotował album rysunków „Łódzkie fabryki". Pierwsza z tych książek ukazała się.. w Warszawie, w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, druga czeka na wydanie w Łodzi, bo ktoś szalenie mądry w poprzednim kierownictwie zastopował album z przyczyn równie niejasnych co własne kwalifikacje.

A tu raptem otrzymaliśmy na święta piękny prezent od łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył ten pomnikowy album mówiący o pięknie architektury przemysłowej Łodzi. Człowiek się przyzwyczaił do interesujących, ale skromnych edytorsko publikacji KAW, a raptem otrzymuje potężny tom godny najpoważniejszych oficyn wydawniczych.

Blisko 200 pięknych fotogramów Andrzeja Wacha zaprezentował nam autor albumu, Antoni Szram, w trakcie pracy nad tą publikacją — konserwator zabytków, dziś, w chwili wydania — dyrektor Muzeum Historii Łodzi. A jako aneks do fotogramów współczesnych zreprodukowano kilkadziesiąt zdjęć z albumu B. Wilkoszewskiego z roku 1896 oraz z archiwalnej teki fotografii Hilarego Majewskiego. Wiadomo, że album Wilkoszewskiego jest dziś bibliofilskim rarytasem, na który nie ma nawet realnej ceny, a także Majewskiego jest dla szerszego ogółu niedostępna. Tak więc przypomnienie tych źródeł ikonograficznych jest swoistą „bombą".

Zresztą cały album jest autentyczną „bombą" wydawniczą. Dlatego też dziwi mnie stosunkowo niewielki nakład, którego połowa — nawiasem mówiąc — trafiła od razu do bibliotek i zbiorów państwowych. A zbieracze „łodzianów"? Ci będą mieli z kupnem albumu KAW spore kłopoty. Entuzjazmując się więc piękną publikacją mam uczucia mieszane.

Przy tej okazji nasuwa się pewna refleksja natury handlowo-wydawniczej. Rozumiem doskonale, że wydana książka powinna być sprzedana i wydawca chce ją sprzedać jak najprędzej. Ale przecież istnieją publikacje o charakterze bardziej trwałym niż sezonowy bestseller. Do nich należą wydania klasyków, encyklopedie, różnego rodzaju publikacje o wartościach trwałych i — jak to nazywam — na lata. Album KAW należy do takich właśnie wydawnictw. Myślę więc, że powinien być obecny w księgarniach dziś i za rok — powinien zatem mieć nakład gwarantujący dłuższą obecność na wydawniczym rynku.

Bowiem album „Architektura Łodzi przemysłowej" dzięki swoim wartościom dokumentacyjnym, naukowym, historycznym, emocjonalnym wreszcie — nie zasługuje na to, aby jak meteor błysnąć i utonąć w prywatnych i państwowych księgozbiorach. Jak znam życie, to przy tym nakładzie za parę miesięcy album KAW pojawi się po zawrotnych cenach na giełdach kolekcjonerów.

Tyle refleksji na marginesie. Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na dwie sprawy. Antoni Szram zaopatrzył album w piękny i poznawczo cenny esej. To — oprócz fotogramów ogromny walor publikacji. Wydaje się, że ów szkic, obok prac Popławskiej, Rynkowskiej i innych badaczy wnosi bardzo wiele w dzieło ustalenia czym jest i jaką wartość przedstawia twórczość urbanistyczna i architektoniczna Łodzi przemysłowej.

Druga sprawa — to po prostu drobna pretensja, czy może tylko wątpliwość. Chodzi mi o podpisy pod niektóre zdjęcia. Czytamy na przykład: „dawny pałac przemysłowca przy ul. Piotrkowskiej 104". Na zdjęciu jest oczywiście pałac Heinzla. Albo: „dawny pałac przemysłowca przy ul. Ogrodowej 15". Oczywiście — pałac Poznańskiego.

Nie występuję tu o pamięć dla łódzkich fabrykantów, bo zasłużyli oni sobie na pamięć nie najlepszą. Ale przecież te nazwiska z historią miasta związane są nierozłącznie. Mówiąc o Łodzi minionej, o Łodzi rodzącego się przemysłu, zawsze będziemy się natykać na nazwiska Poznańskich, Grohmannów, Geyerów... Stanowią oni przecież także jakąś cząstkę historii tego miasta i jakimś elementem tej historii jest nawet zła o nich pamięć.

Ale — powtarzam — jest to jedyna (oprócz nakładu) wątpliwość, jaka obudziła się we mnie, kiedy zafascynowany urodą fotogramów Andrzeja Wacha odkrywałem na nowo piękno łódzkiej architektury przemysłowej.

WIDOK

LEWYM OKIEM

KINO, APTEKA I SPODNIE

Jeżeli w kasie kina „Stylowy" otrzymałem zamiast zwyczajnego biletu cały folder, dotyczący jakiegoś studenckiego festiwalu filmowego sprzed dwóch lat, a folder ten miał właśnie pełnić rolę biletu i o dwa kroki dalej został przez bileterkę przedarty na pół — — to mamy tu do czynienia wprawdzie ze zwiększonym ponad potrzebę zużyciem papieru, ale jednocześnie mamy także oszczędność papieru. Foldery pozostały zapewne jako zbędna nadwyżka po jakiejś imprezie, nadając się tylko na makulaturę. Więc wykorzystano ją zamiast biletów — zgoda.

Jeżeli apteka przy ulicy Piotrkowskiej wypisuje mi kwitek do kasy na oryginalnej torebce, przeznaczonej na tabletki, to już jest ewidentne marnotrawstwo. Taka torebka to co najmniej sześć zwyczajnych kwitków, nie mówiąc o tym, że ktoś ją sklejał po to, żeby pani w kasie rozerwała. Domyślam się oczywiście, że aptece zabrakło kwitków i radzono sobie jak umiano, co nawet dobrze świadczy o załodze tej apteki. Ale źle świadczy o centrali zaopatrzenia (bo pewnie taka istnieje), która nie dostarczyła na czas kwitków.

Posiadam w banku parę groszy na dewizowym koncie „A". Posiadacz złotówek w zwykłym PKO doskonale wie w każdej chwili, ile ma pieniędzy na koncie, bo ma to zapisane w książeczce i każda operacja — wpłata i wypłata — jest tam natychmiast odnotowywana. Z dewizami natomiast nic nie wiadomo, Klient nie posiada żadnej książeczki i może sobie najwyżej sam w kajecie notować skrzętnie: było rok temu 50 dolarów, w marcu wziąłem 30, w maju zwróciłem 17 i pół potem ciocia z Ameryki przysłała 39 koma 24, to zaraz — to ile powinno być?

Całym dokumentem jest przeraźliwie cienka bibułka z ledwie czytelnymi cyferkami sprzed roku. A teraz rok się skończył i dostaję znów taką bibułkę, same cyferki, zamazane, niejasne, te u góry to zdaje się numer konta, ale sprawdzić nie mogę bo znów zmieniony, te niżej to chyba aktualne saldo w dolarach. Z czym je porównać? Z niczym, albo z własnym kajetem. Za to do bibułki podpięto cały plik papieru, trzy metry komputerowej taśmy pełnej gwiazdek, krzyżyków i liczb, z niczym się nie kojarzących. To są na pewno operacje na moim koncie, ale zakodowane, przetransponowane, powtarzane po kilka razy — — nic mi to wszystko nie mówi. Po co nam te taśmy, po co te wędrówki kupy papieru, zamiast jakiegoś bardzo prostego urządzenia dającego każdemu klientowi w każdej chwili bieżący obraz jego konta? Przecież wystarczyłoby coś w rodzaju turystycznej karty dewizowej, gdzie każda operacja byłaby odnotowana i koniec. A raz na rok wystarczyłby malutki papierek informujący o doliczonych odsetkach. Kto chce sprawdzać rzetelność obliczenia odsetków — a chyba zdarza się to niezmiernie rzadko — niech idzie do banku, tam mu wtajemniczeni fachowcy pokażą owe kilometry taśmy i pomogą ją rozszyfrować.

Po węgiersku „s" czyta się jak „sz" i odwrotnie. Po francusku „h" to „asz" ale w słowie nie czyta się wcale. U nas jak się pisze na opakowaniu „mrożone pyzy" to się czyta „mrożone pyzy", ale to wcale nie znaczy, że będzie się jadło pyzy. Bo potem przychodzi się do domu i okazuje się, że w środku torebki są pierogi leniwe. Nie mówcie, że mam pecha do wypadków wyjątkowych. To wypadki mają pecha i wcale nie są wyjątkowe. Już miałem „pierogi z mięsem", które okazały się kneclami z truskawkami, i „kluski łowickie", które były klasycznymi pierogami z kapustą, przemieszanymi ze śliwkami w cieście. Nawet nie wiem, czy zapłaciłem za to co było, czy za to, co miało być, bowiem cenę na torebce zamazano starannie czarnym tuszem. A może i sprzedawczyni nie wiedziała, co sprzedaje?

Tak jak w luksusowej „Modzie Polskiej" w „Adasiu", gdzie od chwili otwarcia wisi ten sam tuzin spodni męskich znany mi już na pamięć, ale nie znany sprzedawczyni. Dopiero ode mnie dowiedziała się, bo jej pokazałem, że jedna z tuzina par ma wielką tłustą plamę na samym froncie i nigdy nabywcy nie znajdzie. Pani przyznała mi rację i powiesiła spodnie z powrotem. Tydzień temu jeszcze wisiały.

Ta sama pani przekonywała mnie — a także sprzedawczynie w Uniwersalu i w specjalnym sklepie ze spodniami przy Piotrkowskiej — że nie dostanę nigdzie spodni o wymiarach 185 na 104, bo takiego „rozmiarowzrostu" tabela nie przewiduje. Rzeczywiście, kołędowałem po wszystkich sklepach łódzkich przez dwa miesiące z uporem maniaka i nie dostałem. Znalazły się dopiero w Warszawie. Właśnie w takich rozmiarach, co mogę udowodnić metką.

Więc jednak wkroczę w Nowy Rok w nowych spodniach, z nowym nabojem optymizmu. Naboje okazują się czasem niewypałami. Życzę serdecznie wszystkim życzliwym Czytelnikom, aby żadna z ich nadziei, żadne z oczekiwań, planów, zamiarów nie spaliły na panewce, żeby w owym pierwszym roku ostatniego ćwierćwiecza wszystko grało ślicznie, składnie, według Waszych życzeń —

ĆWIEK

Ewa Mirowska

Ewa Wycichowska

WYJAŚNIENIE

W świątecznym numerze „ODGŁOSOW" (nr 51/52) w części nakładu nie z winy redakcji zdarzyła się przykra pomyłka. Przy nocie prezentującej kandydatkę do tytułu „Łodzianina — 1975" — EWĘ MIROWSKĄ znalazło się zdjęcie EWY WYCICHOWSKIEJ i odwrotnie: przy nocie prezentującej EWĘ WYCICHOWSKĄ — zdjęcie EWY MIROWSKIEJ.

Dla tych wszystkich Czytelników, którzy otrzymali numer „ODGŁOSOW" z tym przykrym błędem ponownie publikujemy zdjęcia obu kandydatek, tym razem właściwie już podpisane.

Obie kandydatki do tytułu „Łodzianin — 1975" serdecznie przepraszamy, przepraszamy również tych wszystkich Czytelników, którzy otrzymali numer naszego pisma z błędem.

NASTĘPNY...

...numer „ODGŁOSÓW" — nr 2 — ukaże się 8 stycznia 1976 roku, jak zawsze w czwartek po południu.

W numerze tym Czytelnicy znajdą między innymi:

— reportaż Tamary Roszak „NOC W ZAMKU" — niezwykle interesującą, a nawet wręcz fascynującą relację z nocy spędzonej w Uniejowie,

— artykuł Jacka Indelaka „PAPIEROWA PRZESZKODA" o potrzebie odwagi przy wprowadzaniu eksperymentów w życie,

— kolumnę debiutów literackich: Jarosława Warzychy, Piotra Perza i Pawła Tomaszewskiego,

— Bogdana Felta rozważania o latających talerzch pod znamiennym tytułem: „LATAJĄCE TALERZE: FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ".

Natomiast kolejny odcinek omówienia książki Ericha von Dänikena „DALSZE ŚLADY KOSMONAUTÓW" znajdą Czytelnicy dopiero za dwa tygodnie, w numerze 3 „ODGŁOSÓW", gdzie również przedstawimy dalszy ciąg rozważań Bogdana Felta o latających talerzach.

NASZA PROPOZYCJA: JEŚLI CHCESZ REGULARNIE OTRZYMYWAĆ „ODGŁOSY" — ZAPRENUMERUJ!

PROPOZYCJE

STARY WHITEOAK I INNI

Telewizja, nasza ukochana, nie szczędzi nam seriali i zupełnie nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Może bym i wiedział, ale boję się publicznie wyrazić swoją opinię. A taka obawa powstała w wyniku zapoznania się z sądem specjalistów od telewizji, którzy publicznie wyrazili się o tych, co ośmielają się pisać o telewizji, że są to albo ludzie, którzy w dziennikarstwie jeszcze nic nie osiągnęli, albo ludzie, którzy już nic nie osiągną. Nie wiem, skąd oni o tym wiedzą, ci specjaliści od telewizji oczywiście, ale z ich sądu wynika, że o telewizji dobrze pisują tylko ci, którzy na telewizji się znają.

Stąd wziął się mój dylemat. Napiszę o serialach dobrze, zostanę uznanym wybitnym specjalistą, napiszę źle i... Aż się boję pomyśleć. Z drugiej jednak strony pisanie o czymkolwiek, pisanie o jakiejkolwiek działalności wywołuje różne sprzeciwy. Zdarzyło mi się już spotkać z wielce oryginalnym poglądem, że na przykład o muzyce powinni pisywać... muzycy. Rozumując tak dalej: o plastyce — plastycy, o architekturze — architekci, o teatrze — aktorzy, o literaturze — literaci, o filmie — filmowcy... I kontynuując ten tok rozumowania o poczcie powinni pisać sami pocztowcy, o przemyśle budowy maszyn — budowniczowie maszyn, o handlu — handlowcy, o usługach — ludzie pracujący w usługach. W ten sposób można byłoby doprowadzić do niemal idealnego zaniku wszelkiej krytyki.

Ale czy trzeba do tego aż doprowadzać. Czyż nie wystarczy poczytać recenzji teatralnych lub filmowych, aby przekonać się, że piszący o teatrze i filmie nie mają najczęściej własnych sądów i ograniczają się do streszczania akcji i wymieniania obsady. I czy to dotyczy tylko teatru i filmu? Jeszcze tylko felietoniści uparcie bronią swoich poglądów, ale kto u nas poważnie traktuje felietonistów?

Mam diabelną ochotę dobrze napisać o serialu „Dyrektorzy", ale zupełnie nie wiem, co zrobić? „Dyrektorzy" podobali się telewidzom, bo wreszcie coś o nas samych, o naszych sprawach i to w sposób naturalny, bez udziwnień, bez unikania spraw trudnych. Zapotrzebowanie na tematykę współczesną, bliską naszym sprawom, trafiającą w społeczne odczucia, odpowiadającą na aktualne wątpliwości — takie zapotrzebowanie jest ogromne. I choć temu i owemu w „Dyrektorach" czegoś tam jeszcze brakowało, to już sam fakt, że serial ten wywołał dyskusje, że był przedmiotem rozmów, dowodzi, że trafił w to, o co ludziom chodzi. Ale jak napiszę dobrze, to zostanę jeszcze uznany za „specjalistę" i posądzony, że się podlizuję.

A o starym Whiteoaku i jego przemiłej rodzince chciałbym napisać źle, bo tego serialu nie można oglądać bez bryka. Niektórzy wycieli sobie taki bryk z „Przekroju" i oglądają kolejne odcinki, posługując się tą „pomocą naukową". Była ona jednak lepsza od tej, którą drukowały „Odgłosy". Ale źle napisać o Whiteoakach to żadna sztuka, bo serial obcy, tylko diabli wiedzą, jak człowieka zakwalifikują?

Oczywiście, należy milcząc założyć, że piszący o czymkolwiek powinni się na tym znać. Bez takiego założenia nie ma w ogóle o czym dyskutować. Ale też nie można zapominać — o czym najczęściej zapominają głosiciele poglądów, że tylko specjaliści pisać powinni dla specjalistów — że telewizja nadaje swój program dla milionów odbiorców. Ich opinię można zmierzyć w czasie nadawania danego programu, ale i to nie będzie dokładne. Warto pamiętać, że teatry grają nie dla aktorów, a widzów, architekci budują domy nie dla siebie, a też dla ludzi, muzycy grają nie tylko dla muzyków i tak dalej i tak dalej. Recenzent spektaklu teatralnego może ze skóry wyłazić, chwaląc przedstawienie, ale miarą jego powodzenia będzie już nie ilość wykupionych biletów, a widzowie na widowni. Czasem jednak zapomina się o tych podstawowych faktach i liczy się tylko pochwalne opinie, które są tylko ukłonami pod adresem teatru, reżysera, aktorów i autora. Architekta mogą nie wiem jak chwalić, za kolorowe elewacje, za pomysłowe usytuowanie balkonów, ale najważniejsze byłoby posłuchać opinii tych, którym przyszło w tym domu zamieszkać.

Dla niektórych znać się na telewizji, to wiedzieć w jakim trudzie i mozole powstaje program. Ale chciałbym tu przypomnieć, że telewidza z Łodzi, Ustrzyk Dolnych, Starego Sącza czy Krakowa zupełnie to nie obchodzi, jego obchodzi tylko efekt, jaki ogląda na ekranie swego telewizora. Nikt go wprawdzie do oglądania programu telewizyjnego nie zmusza, ale też czasem nic nie ma w zamian. I choć on nie zna się na telewizji zupełnie, w życiu nie widział studia telewizyjnego, to przecież jego sąd w ostatecznej instancji jest najważniejszy, bo dla niego cała ta robota.

A dziennikarz? Czy dziennikarz może stać na boku, kiedy ludzie w tramwaju dyskutują o programie telewizyjnym? Czy nie ma prawa do wyrażania swego sądu? Byłby to zły dziennikarz, gdyby przepuścił taką okazję. Zresztą — nie zapominajmy — że rezultat pracy dziennikarskiej też podlega publicznej ocenie i ta ocena, bardzo często, znajduje swój wyraz w listach, w których czytelnicy nie szczędzą nam także wielce sympatycznych epitetów. Byłby to zły dziennikarz, gdyby nie cieszył się każdym listem, nawet tym, w którym nawymyślano mu od baranów i innej nierogacizny.

A zatem dylemat rozstrzygnąłem. Warto pisać o telewizji nie licząc się z kosztami.

MARCIN RODAK

MARATON BOGDANA Tuszyńskiego

„Zachorowałem na chęć badania historii prasy sportowej w Polsce (...) Po prostu chciałem wiedzieć, co było przed nami. Kto pisał o sporcie przed Kaczmarkiem i Lachowiczem? Kim byli ci ludzie, dlaczego poświęcili się temu zawodowi, nade wszystko interesowała mnie szata zewnętrzna sportowych perłodyków, no i, nie ma co ukrywać, po prostu historia polskiego sportu. Jej poznanie uważałem za swój podstawowy obowiązek, jeśli poważnie miałem myśleć o zawodzie dziennikarza" — wyznaje Bogdan Tuszyński, znany i popularny dziennikarz oraz radiowy sprawozdawca sportowy. Owa młodzieńcza „choroba" — dociekliwość i badawcza pasja Tuszyńskiego po wielu latach żmudnej pracy przyniosła piękny efekt. Jest nim niedawno wydana książka „Sprintem przez prasę sportową".

Tuszyński wybrał dla swojej książki nieco przewrotny tytuł. Bo jakiż to sprint? Raczej długi dystans. Dość powiedzieć, że pierwsze sportowe pismo w Polsce ukazało się w 1881 roku. Od tego też okresu zaczyna się monografia, w której Bogdan Tuszyński przedstawia historię polskiej prasy sportowej aż do czasów współczesnych. Książka Tuszyńskiego to prawdziwa kopalnia wiadomości i faktów, znakomity przewodnik po dawnych redakcjach, źródło cennych i ciekawych informacji o ludziach, którzy o sporcie i dla sportu pisali. A było ich przecież wielu. W latach 1881–1939 powstało w Polsce aż 216 czasopism sportowych, a dokładniej będzie powiedzieć: poświęconych kulturze fizycznej.

Przez te redakcje przewinęło się wielu dziennikarzy, wielu zasłużonych i dla polskiego dziennikarstwa i dla polskiego sportu. Ilu z nich dziś pamiętamy, o ilu choćby cokolwiek wiemy? Wspominamy często naszych dawnych słynnych sportowców, znamy wyniki, jakie osiągali, szczycimy się ich rekordami. A przecież pamięć o ich sukcesach, więcej — znajomość historii polskiego sportu zawdzięczamy przede wszystkim właśnie dziennikarzom, którzy zawsze towarzyszyli i towarzyszą zawodnikom po dziś dzień. Bez nich sukces sportowy byłby niepełny, oni informują kibiców o tym, co się dzieje na boiskach, i w halach sportowych, oni na co dzień opisują i popularyzują sport. W książce Bogdana Tuszyńskiego znajdziemy wiele nazwisk, wiele sylwetek zasłużonych dziennikarzy sportowych, ludzi, o których dziś się mało pamięta i których Tuszyński ponownie wpisuje w historię polskiego sportu.

Nie bez powodu, w cytowanej na wstępie wypowiedzi Bogdana Tuszyńskiego, znajdujemy nazwiska łódzkich dziennikarzy sportowych. Ale nie tylko dlatego, że Tuszyński jest łodzianinem i tu zaczynał swą dziennikarską karierę, ale przede wszystkim dlatego, że 12 lipca 1945 roku właśnie w Łodzi wznowił swoją działalność „Przegląd Sportowy".

Cóż wie dzisiejszy czytelnik „Przeglądu Sportowego" o takim na przykład „Przewodniku Gimnastycznym"? A to przecież od tego właśnie pisma, organu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" we Lwowie rozpoczyna się historia prasy sportowej w Polsce. Start nie był łatwy, założyciele stawiali sobie zadanie rozpowszechnienia „rzetelnego i zdrowego pojęcia o znaczeniu gimnastyki", o której w owym czasie społeczeństwo Galicji miało urobioną opinię, głoszącą, że jest to „niebezpieczna sztuka łamania, potrzebna raczej dla zawodowego kształcenia majtków, straży pożarnej, linoskoczków lub innych podobnych zajęć, aniżeli dla ludzi, którzy z zawodami takimi nie mają i nie będą mieli później nic wspólnego".

Nie sięgajmy jednak tak daleko. Cóż wie dzisiejszy czytelnik „Przeglądu Sportowego" o historii swojej ukochanej gazety? A przecież historia to bogata. Pierwszy numer tego pisma ukazał się w Krakowie 21 maja 1921 roku. W jakich warunkach pracowali ówcześni dziennikarze sportowi świadczy przytoczony przez Bogdana Tuszyńskiego, artykuł „Przeglądu Sportowego" z 31 grudnia 1921 roku. W Budapeszcie odbywał się mecz piłkarski Polska — Węgry. W dniu zawodów w pokoju prezesa PZPN, punktualnie o godzinie 17 zebrali się dziennikarze, by dyżurować przy aparacie telefonicznym. Czekali na zamówioną w radiostacji w Dąbnikach wiadomość o wyniku, którą natychmiast mieli przekazać zainteresowanym i kibicom. Kibice dzwonili bez przerwy, natomiast żadna wiadomość z Budapesztu nie nadchodziła. Po paru godzinach dyżuru dziennikarze musieli się poddać. Wiadomość o meczu dotarła do Krakowa dopiero po północy.

Przytoczyłam tę ciekawostkę nie po to, aby uzmysłowić Czytelnikom oczywistą prawdę jak bardzo zmieniły się czasy, ale przede wszystkim jako przykład, czym jest książka „Sprintem przez prasę sportową". To coś więcej niż naukowa monografia oparta na ogromnym materiale faktograficznym i źródłowym, w dodatku pierwsza tego typu publikacja w Polsce. To po prostu ciekawa książka do czytania. Dla wszystkich.

BOGDA MADEJ

RETRO

włodzimierz parys

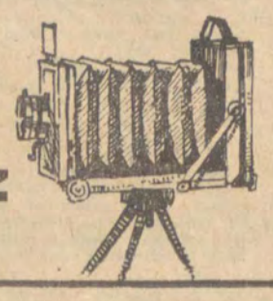

MAGAZYN
ODGŁOSY

KRYSTYNA PIETRANEK

Czego brak polskiej piosence aby była dobra?

Podejmując ten temat muszę stwierdzić, że problem jest bardziej złożony niż wyeksploatowane w prasie, radiu i telewizji samo zagadnienie. I dlatego też zawężam je do jednej, moim zdaniem, najważniejszej sprawy — braku dobrze przygotowanych nowych wykonawców. Nasza znakomita stara kadra wykrusza się, a świeży narybek nie zawsze spełnia pokładane w nim nadzieje, choć ciągle — może zbyt liberalnie — otwiera im się zielone światło. Od kilku przecież lat obserwujemy rozwój piosenkarzy i zespołów młodzieżowych, którzy przeważnie wywodzą się z ruchu amatorskiego i jak się potem okazuje, nie mogą się z tej amatorszczyzny wydobyć. Tak dzieje się właśnie z uczestnikami festiwali w Zielonej Górze, debiutantami z Opola, różnych mikrofonów dla wszystkich itp., których od razu wchłania rynek, nie zapewniając im oczywiście żadnego nadzoru artystycznego. W praktyce przeważnie nawet i ci utalentowani krótko utrzymują się na estradach.

Na pewno niełatwo „zaplanować" talenty. Można je natomiast szkolić i doskonalić. I w tej to właśnie dziedzinie pozostało najwięcej do zrobienia. Przed 30 laty stworzono szkolnictwo artystyczne, które dostarcza kadr aktorskich, śpiewaków, instrumentalistów, tancerzy, reżyserów, operatorów, plastyków itd. Co roku zasilają oni teatry, opery, filharmonie, film.

A co zrobiono przez 30 lat dla rozwoju polskiej rozrywki? Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Warszawie zlikwidowała jedyny w naszym kraju Wydział Estradowy. W 1971 roku Zarząd Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki informował o utworzeniu dwuletnich studiów rozrywkowych przy wyższych szkołach artystycznych w Warszawie i Krakowie. Jak dotąd taka sekcja powstała dwa lata temu tylko w Katowicach. Wiele mówiło się też o projekcie tworzenia Studiów Estradowych przy Estradach. Aktualnie działają w Polsce dwa: w Poznaniu i w Szczecinie. Przed pół rokiem funkcjonowało jeszcze trzecie w naszym mieście. Przykład łódzkiego Studium Sztuki Estradowej — bo tak brzmiała pełna nazwa tej placówki — pobudził mnie do zastanowienia się nad tym, jakie cele można osiągnąć poprzez zorganizowane, zaplanowane szkolenie adeptów estradowych.

Na kształcenie 15-osobowej grupy młodzieży (wszyscy kandydaci to ludzie przynajmniej z maturą, ale byli wśród nich i słuchacze z wyższym wykształceniem — także muzycznym) przeznaczono 1200 godzin w ciągu 2 lat. To bardzo wiele. Zajęcia odbywały się nawet w niedziele. Program obejmował między innymi takie przedmioty jak: interpretacja tekstu i piosenki, sztuka gry estradowej, umuzykalnienie, dykcja, historia sztuki teatru, plastyka ruchu i gestu scenicznego, balet i pantomima. A więc zakres przedmiotów szkół muzycznych i aktorskich. Studium zatrudniało prawie tylu pedagogów, ilu liczyło sobie studentów.

Przed kilkoma miesiącami miałam okazję uczestniczyć w zajęciach z tak zwanej literackiej interpretacji piosenki. Nieprzypadkiem wcale wyraziłam się „uczestniczyć", bo każdy ze słuchaczy jeśli już nie był współtwórcą powstającej koncepcji interpretacyjnej piosenki wykonywanej przez kolegę, to przynajmniej recenzentem. Była to naprawdę duża frajda, wyzwalająca pomysłowość, rozbudzająca potrzebę wykonywania gestu, sprawdzenia się przed koleżeńską wprawdzie — ale publicznością.

Oprócz zajęć w Studium jego adepci wyjeżdżali w teren, na imprezy, gdzie poznawali estradę „od podszewki" spełniając różne role: inspicjentów, asystentów, operatorów, poznawali tajniki makijażu, podpatrywali i wyrabiali sobie sądy na temat tzw. obycia estradowego. Niektórzy próbowali już nawet swoich sił na scenie, posiadając prawo współpracy z Estradą przyznane im przez komisję weryfikacyjną Ministerstwa Kultury i Sztuki (pracowali oczywiście jednocześnie się ucząc).

Fot. Archiwum

W czerwcu cała grupa miała stanąć do egzaminu a przedtem zaprezentować publiczności w ramach Łódzkiej Wiosny Artystycznej dwa programy: jeden o profilu literacko-muzycznym, drugi — muzycznym.

„Jeśli — mówił wykładowca i konsultant artystyczny Estrady Łódzkiej Sławomir Rosiak — **przynajmniej 5 osób z tej piętnastki uzyska pierwszą kategorię aktora estradowego uznamy to za sukces".** I chyba można było się z tym zgodzić. Ale w związku ze zmianami personalnymi w kierownictwie Łódzkiej Estrady uczestnicy Studium do egzaminów nie przystąpili, programu nie przygotowano.

A co dalej? Co z nowym narybkiem — zapytałam.

— **„Niestety** — odpowiedział ówczesny dyrektor Marian Szczerba — **w 1975 roku zamykamy naszą działalność. Za dużo trudności: sami, to znaczy Estrada, musimy wypracować pół miliona na utrzymanie Studium, brak nam odpowiednich warunków lokalowych — dysponujemy tylko jednym, małym pomieszczeniem w piwnicy, a pozostałe zajęcia odbywają się w wypożyczonych salach różnych domów kultury w różnych punktach miasta — brakuje nam dobrze funkcjonującej aparatury elektroakustycznej. Wszystko to jest dla nas zbyt dużym obciążeniem, a na obiecane dotacje z Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego nie możemy się doczekać".** I tak zaczęła upadać — zanim się rozwinęła — kolejna pożyteczna placówka szkoleniowa, która mogła być szansą dla wydobycia z chałupnictwa i amatorszczyzny polskiej sztuki estradowej.

Studium rozwiązała ostatecznie we wrześniu 1975 roku nowa dyrekcja Łódzkiej Estrady uznając, iż poziom nauki a zwłaszcza wykładowców nie gwarantuje osiągnięcia pożądanych rezultatów. Ministerstwo Kultury i Sztuki natomiast odkładało egzaminy na coraz odleglejsze terminy (wg najświeższych informacji mają się one odbyć wiosną 1976 r.). Tymczasem „półabsolwentom" (przewidywano przecież 2-letni okres nauczania) Studium przyznano stawki kategorii B i wypuszczono w świat. **Cztery osoby studiują obecnie na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Skoły Teatralnej, Telewizyjnej i Filmowej, jedna z dziewcząt śpiewa w grupie wokalnej „Pro Contra", a pozostali zatrudnieni są w teatrach regionalnych w Toruniu, Grudziądzu i Wałbrzychu. Więc okazało się, potrafili zdyskontować ten rok nauki w Studium Sztuki Estradowej.**

Obecna dyrekcja Państwowego Przedsiębiorstwa Estrada w Łodzi zapowiedziała **reaktywację Studium w oparciu o pomoc PWSFTviT co by nie tylko zapewniło odpowiednią, o wysokich kwalifikacjach kadrę pedagogiczną, ale również nadało przedsięwzięciu właściwą rangę.** Jak na razie jednak wzowienie działalności Studium pozostaje ciągle w sferze planów. Ponoć najbliższych. Zobaczymy.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Kłopoty z artystami

Gdy sięgnąć w przeszłość — ciągle mamy
różne kłopoty z artystami!
Villon — na przykład — rymów tytan
za rzezimieszka był poczytan.
Lecz któż zna twórczość jego śpiewną?
(O tym, że bandzior, wiem na pewno.)
A Michał Anioł, Leonardo?
Znów trzeba odkryć prawdę twardą:
owszem, geniusze, proszę waści,
ale niestety pederaści.
Wyspiański — zgoda, sama świetność,
ale chorobkę miał sekretną!
Taki, na przykład, Modigliani —
talent, lecz chodził wciąż na bani.
Van Gogh oberżnął sobie ucho!
(O tym, co tworzył raczej głucho.)
Witkacy peyotl łykał co dzień,
czym niewątpliwie gorszył młodzież.
A mistrz Konstanty, panie święty,
na nocne harce też był cięty!
W zaczarowanej swej dorożce
co rusz wyruszał na manowce!
A taki Tuwim, czy Broniewski?
Hej, moralistom ciekną łezki.
(Ciąg dalszy nazwisk, pełen troski
poda nam doktor Marcinkowski.)
Jak widać, ten sam ciągle finał:
istne horrendum i kryminał.
Potem się dziwić, że artystom
może uchodzić w końcu wszystko!
Dziś jednak sposób mamy na nich:
do Izb Wytrzeźwień wsadzać, drani!
No, a zboczeńców, pełnych nerwic
prądem wyleczy Bilikiewicz!
Sztuką się zajmą ludzie czyści,
p r a w d z i w i twórcy i artyści!
W ten oto sposób, moja pani,
znikną kłopoty z artystami.

Fot. Archiwum

JERZY S. FELIKSIAK

INWAZJA

Inwazja piwomanów na miasto rozpoczęła się od fermentu przy kioskach. Na przedmieściach i dworcu gromadziły się kohorty pospolitaków. W śródmieściu apatrydzi okupowali kawiarnie, bary i urzędy. Młodzi wysuwali postulat utworzenia wyższych uczelni w Okocimiu i Żywcu, starzy żądali nobilitacji, powołując się na opinię cudzoziemca z XVI wieku: „Upijać się jest u nich szlachetnym zwyczajem, a trzeźwość poczytywana jest za grubiaństwo".

Sytuacja stawała się groźna. Kiedy po upalnym lecie piwomani nie ustąpili z zajętych pozycji, powołano Sztab Obrony Miasta, składający się z przedstawicieli administracji, organów ścigania i służby zdrowia. Rozpoczęły się narady. Jedni wysuwali czynnik ideowo-wychowawczy jako aktualny oręż walki przeciw spasionym apatrydom. Inni widzieli główne niebezpieczeństwo w pospolitakach i proponowali zastosować wobec nich nacisk fiskalny. Chwiejni nie zabierali głosu. Tymczasem na ulicach i placach szerzył się ferment. Urodzeni w niedzielę zajmowali bramy kamienic, spluwali przechodniom pod nogi, wieczorami żądali okupu. Na skutek unoszących się oparów i wrzawy bohaterskie krótkofalówki traciły łączność. Kioski jak lasery emitowały jakieś wiązki, które powodowały indolencję milicyjnych patroli. Zdarzały się przypadki, że karetki pogotowia zatrzymywały się przy kioskach i eskulapi sięgali po kufle z pianką. Z każdym dniem zwiększały się szeregi zwolenników fermentu w kuflu.

W tej sytuacji Sztab Obrony Miasta powołał specjalistów z ochrony środowiska do preparowania mdłych, lukrecjowych zapachów. Na ulicach i placach rozchodziła się woń, która miała alkoholikom wykręcać żołądki. Nie popsuła jednak nastroju wokół kiosków. Jedynie dzieci dostawały torsji, a chorzy i renciści ograniczyli konsumpcję. Po tej nie przemyślanej akcji w mieście zapanowała apatia i indeferentyzm. Piwomani odnosili sukces za sukcesem. Zjednywali sobie dozorców, techników, młodzież i profesorów. Największe deszcze i jesienne wichury nie przerzedziły ich szeregów. Kiedy wydawało się, że już nic nie ocali miasta, niespodziewanie sytuacja uległa zmianie. W listopadowy wieczór spłonął browar. Pewien staruszek oburzony, że zapomniano o rocznicy powstania listopadowego, pragnął w ten sposób przypomnieć miastu piękniejszą kartę historii. Wśród piwomanów zapanował popłoch. Część pospiesznie opuściła miasto, pozostali musieli przywyknąć do herbaty. Kioski po piwie przemalowano na budki z lukrecją.

ZDZISŁAW MARZEC

Podróż w towarzystwie

Jak zwykle jechałem pociągiem osobowym. Był on nawet zanadto osobowy. W przedziale siedziało i stało kilkanaście osób. Wagon był drugiej klasy, ale przedział zajmowały klasy różne: wieśniacy, robotnicy, kilka osób nieokreślonych i my, warstwa delegacyjna, to znaczy oszczędzający na uprawnieniach na pociągi pośpieszne.

W przedziale panowała cisza. Kolejarz pod oknem kończył śniadanie, na które nie znalazł widocznie czasu w pracy, dwaj rolnicy pochrapywali, jedna z pań robiła na drutach. Delegaci czytali gazety.

Doznałem nieprzyjemnego uczucia. Jak to? Czyżby u nas ludzie w pociągu nie mieli już o czym pogadać, odezwać się jeden do drugiego? Każdy siedzi taki sam, zamknięty w sobie, jak w tej Anglii, gdzie przez całą drogę nikt nie przemówi do nikogo. A gdzie nasza słowiańska natura? Nie mogłem uwierzyć, żeby ludzie tak szybko przesiąknęli obcą manierą. Postanowiłem rozruszać towarzystwo.

Sweterek dla wnuczki się robi — co? Będzie ciepło na zimę. — zagadnąłem wspomnianą już panią.

Pani spojrzała niemal wrogo: — Dla jakiej wnuczki! Co pan nie widzi, ile mam lat! To dla mnie — burknęła i odwróciła się bokiem.

Nie zrażony tym zwróciłem się do mężczyzny wyglądającego na robotnika. — No jak tam z produkcją, wykonujemy plany — co? Ciężko jest? Jasne. Są różne przeszkody, ale chyba jakoś idzie. Zwiększamy wydajność, zmniejszamy absencję prawda? Tamten popatrzył na mnie przez chwilę uważnie, ale nic nie odpowiedział. Może miał dziś kłopoty ze swoją maszyną i stracił ochotę na pogwarki.

Spróbowałem zachęcić do rozmowy jedynego nie śpiącego rolnika: — A rolnictwo? Chyba spichrze już zapełnione? Latoś nam obrodziło, jak rzadko kiedy? — pytałem.

— Uhm — odpowiedział.

Nie ustępowałem: — Narobiliście się, co? Ale to przyjemny trud jeśli jest co zbierać. Gorzej kiedy plon marny?

— Uhm! — znów odpowiedział.

Panie! Daj pan spokój. Ludzie pomęczeni, wracają z pracy, albo z dalekiej podróży, a pan ich tu zagaduje i zagaduje — zbeształ mnie niespodziewanie jeden z czytających.

W przedziale znów zrobiło się cicho, a mnie głupio. Na kolejnej stacji wcisnął się do nas nowy pasażer. Powiedział wszystkim grzecznie dzień dobry. Przez chwilę milczał, a potem zaczął narzekać na pogodę. Z ulgą podjąłem temat. Omówiliśmy następnie szereg innych zagadnień — sprawy międzynarodowe, ostatni film w telewizji, notowania samochodów na niedzielnej giełdzie. W pewnej chwili, gdy pociąg mocniej szarpnął gość zatoczył się w moją stronę i poczułem lekki zapach alkoholu. Wie pan — szepnął nachylając się — troszkę z kolegą wypiliśmy pod obiadek, ot tak niedużo — i pokazał palcami. Mrugnąłem porozumiewawczo. Pięćdziesiątka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Niebawem Mietek — tak było mojemu nowemu znajomemu — wysiadł. I znów w przedziale zapadła ta okropna cisza. Potem przeszedł konduktor i zaczął sprawdzać bilety. Sięgnąłem do kieszeni, gdzie miałem portfel, a w nim pieniądze i bilet. Portfelu nie było. Zacząłem nerwowo szukać po kieszeniach, wokół siebie. Niestety bezskutecznie. Wreszcie błysnęła myśl: To ten pijak, ten Mietek, to on mnie okradł! — wrzasnąłem. Niestety na łapanie było już za późno. Przedział patrzył na tę scenę milcząco.

Teraz żałuję, że jechałem drugą klasą. W pierwszej prawie wszystkie miejsca były wolne. Nie byłoby się z kim bratać. Ludzie się towarzysko wypaczyli.

MAGAZYN ODGŁOSY

JAN HUSZCZA

O PATRONACH

Jestem męczennikiem gastronomii. I to od jakichś dwunastu lat. Można nawet powiedzieć, że jestem męczennikiem podwójnym: muszę jadać obiady na mieście i w dodatku przestrzegać diety, dość rygorystycznej.

Przeważnie wydaje mi się, że lepiej jadałem jako student w mensie akademickiej w długim, przypominającym klasztor albo i więzienie budynku przy wąskiej, starej uliczce Bakszta w Wilnie.

Jeśli się miało więcej grosza, to człowiek fundował sobie obiad a la carte (alakart, wybieranie potraw z jadłospisu) z trzech dań, jeśli było się w dniach studenckiego mortusu czyli suchot kieszonkowych, to się zamawiało tylko jakąś zawiesistą zupę, pośrodku stolika stał głęboki talerz z kromkami chleba białego i czarnego, więc nim się zaspokajało głód. Gdy przy stoliku przypadkiem usiadło dwóch albo trzech mortusowców — filuterne i wyrozumiałe kelnerki, jak choćby pulchna bruneteczka panna Bronka, chętnie dwa lub trzy razy napełniały talerz chlebem, gdyż w dodatku zabieraliśmy po kilka kromek na kolację.

Teraz nie dostanie się chleba razowego nawet do chłodnika, który szczególnie smakuje razem z razowcem. Zresztą w ogóle można najwyżej poprosić o „pieczywko" za dodatkową opłatą.

Staram się chodzić na obiady tuż po rozpoczęciu ich „serwowania". Jest jeszcze czysto na stolikach, na obrusach są plamy, ale wyschnięte, z poprzednich dni, jest pustawo, można zjeść obiad prędko i samemu.

Parokrotnie musiałem wprawić w zdziwienie mężczyzn, którzy przysiedli się do mego stolika, choć obok były wolne. Na ich pytanie czy można — nie wszyscy szanują ten miły obyczaj retoryczny — odpowiedziałem twierdząco, a sam natychmiast przesiadałem się do stolika wolnego. Przecież w czasach, gdy wszędzie tyle ludzi, przyjemnie jest spożyć obiad prędko i samemu, w cichości ducha nad czymś rozmyślając. Przyjemnie jest nie być zmuszonym do słuchania czyjegoś posiorbywania i chliptania albo też, co jeszcze gorsze, do słuchania ujemnych uwag o zupie, znajdującej się właśnie w talerzu czy też o jakości drugiego dania, co może zupełnie odebrać apetyt do jedzenia, które i tak rzadko kiedy sprawia człowiekowi skromne choćby zadowolenie.

Nie jestem ani żarłokiem, ani smakoszem, jeśli jednak idzie o wspomniane przed chwilą rozmyślania w cichości ducha, to dotycza one właśnie dość kiepskiego stanu naszej gastronomii, który trwa od lat, o czym wszyscy wiedzą i o czym wszyscy piszą. Każdy z konsumentów ma jakieś reformatorskie pomysły każdy zastanawia się nad przyczynami tej sytuacji.

Niedawno po takim wczesnym obiadku poszedłem jedną z ocienionych jeszcze drzewami bocznych ulic na spacer. I oto przechodzę obok wielkiego budynku w stylu powiedzmy urzędowym, o dużym oszklonym ganku od frontu z dwuskrzydłowymi drzwiami, do których przymocowano kilka urzędowych tabliczek z napisami — białe litery na czerwonym tle. Okazuje się, że w budynku mieszczą się instytucje i szkoły, związane właśnie na różne sposoby z gastronomią.

Szczególną moją uwagę zwróciła tabliczka z napisem: „Technikum Gastronomiczne im. I Armii Wojska Polskiego". Zwróciła uwagę, skłaniając do rozmyślań.

I Armia powstała w czasie wojny i dzielnie do końca się spisywała, weszła do historii, nad czym nie trzeba tutaj się rozwodzić. Sam byłem przez jakiś czas oficerem w tej armii, otrzymywaliśmy niezłe, jak na tamte warunki racje, ale daleko im było do obiadów, które w mensie podawała panna Bronka.

A w czasie działań? Mój zmarły wuj Kazimierz był szefem kuchni polowej w jakiejś jednostce tej armii. W spokojniejszych latach swojego życia lubił przeważnie śledzika obłożonego plasterkami cebuli i rybkę, bo jako napój szczególnie cenił wódkę. Nie bardzo więc znał się na gastronomii. A w czasie walk nie zawsze kuchnia, choć pomalowana na kolor ochronny mogła nawiązać kontakt z żołnierzami, którym niekiedy wody nawet brakowało. A raz to kuchnię mego wuja uszkodził jakiś odłamek.

Już chyba widać, o co mi chodzi?! Bohaterska armia to nie najwłaściwszy patron dla adeptów gastronomii A przecież patron jest symbolem czegoś, jest zwięzłą aluzją do jakiejś idei, myśli przewodniej.

Gastronomia innych potrzebuje patronów. Może nim być Gargantua lub jego synuś, Pantagruel, Richelieu, Mazarin, Colbert, Bechamel, Ludwik XIII wykombinowywali nowe potrawy.

Patronem mógłby być któryś z królów Sasów, gdyż to ich dotyczy przysłowie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa..." Mógłby nim być Karol Radziwiłł, Panie Kochanku.

Ale dajmy spokój królom i książętom, przydaliby się tylko kolorowej telewizji. Więc mogłaby patronować pani Ćwierczakiewiczowa, a z moich żyjących znajomych choćby pani Maria z domu Iwaszkiewicz, córka Prezesa. Ale bohaterska I Armia?

I już, przynajmniej na czas tamtego mego spaceru, widziałem: w wielu dziedzinach obrano dla swojej działalności i swoich zadań niewłaściwych patronów! Bo oto na poparcie tego twierdzenia wystarczy przypomnieć, że liczne nasze rodaczki chodzą ubrane ze smakiem, człowiek mija je z przyjemnością i jeszcze za nimi się ogląda, choć jest łysy i ma siwe baki.

Nic dziwnego: domy mody mają patronki w rodzaju Telimeny (umiała sama się ubierać i Zosię wprowadzać w świat) czy też Izabeli, a chodzi pewnie o durną skądinąd pannę Łęcką, dla której flirt z gogusiem, panem Andrzejem Łapickim (vel Starskim) był więcej wart niż małżeństwo z solidnym panem Mariuszem Dmochowskim (vel Wokulskim).

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

WIELKA SZTUKA

Krytykować akurat z okazji jubileuszu — to wielka sztuka. Dokazał jej w „Polityce" sam **Jerzy Waldorff**, pisząc o jubileuszu „Mazowsza". Nie znamy się na zmianach rytmu z trójdzielnego na parzysty, ale może dobrze byłoby zaczekać z tymi uwagami tydzień?

INFORMACJA

Trzyszpaltowy tytuł w „Dzienniku Popularnym" głosi, że „Dwanaście wagonów z papierem toaletowym przybyło do Łodzi".
Jest to klasyczny przykład informacji do d...

RAJCA UKŁADA LISTĘ NAZWISK

Niedawno pisaliśmy o nowej szkole felietonu **Brunona Rajcy** z Krakowa. Polega ona głównie na wymienianiu w tekście możliwie największej ilości nazwisk. Ostatnio w dwu felietonach Rajca użył aż 37 (słownie — trzydziestu siedmiu) nazwisk.

Wkrótce po naszej notatce Brunon Rajca podwoił stawkę. W jednym tylko felietonie w „Życiu Literackim" (nr 48) wymienia bowiem t r z y d z i e ś c i c z t e r y nazwiska.

Tak więc dziewięć razy wymienia **Ryszarda Smożewskiego** osiem razy **Stanisława Ramsa**, pięć razy **Olafa Leśnego** oraz całą resztę po razie. Wśród wymienionych odnotowaliśmy m. in **Jerzego Putramenta**, **K. T. Toeplitza** i **Stefana Kisielewskiego**. Spośród nieżyjących bohaterami felietonu są m. in. **Józef Piłsudski** i **Józef Nowaczyński**.

Studiując tę książkę telefoniczną zupełnie nam umknęło o czym jest felieton.

EWA

Kiedy już zdarzył się cud i Telewizja Polska zaprezentowała nam po latach **Ewę Demarczyk**, to oczywiście... był to film emitowany już parę lat temu.

A w Związku Radzieckim **Ewa Demarczyk** wydała piękną płytę długogrającą. Niestety — do Polski płyty tej nie sprowadzono, w dalszym ciągu powiela się j e d y n y longplay Demarczyk sprzed ...nastu lat.

W TVP natomiast zamiast prawdziwej **Ewy Demarczyk** bryluje jej nieudolna epigonka, która z pierwowzoru wzięła tylko czarną suknię i nieruchomą pozycję. Reszty — niestety — zabrakło.

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

ŁATKI

WIDZIAŁEM

Widziałem: na noże
biły się ranne zorze.

MODLITWA

Nie daj mi Boże spotkać nagle
Paru osób po jednym diable.

KRYSZTAŁ

Kryształ tak cichutko sobie marzy:
„Mieć na sobie chociaż drobne skazy".

UROCZYSTOŚCI

Korzystając z uroczystości:
Wypruć wnętrzności.

STRESZCZENIE — FINAŁ

Życie ma wiele pięknych stron;
Mazurskie jeziora. Zduńska Wola, dzwon.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

Rysował: JACEK BROMSKI

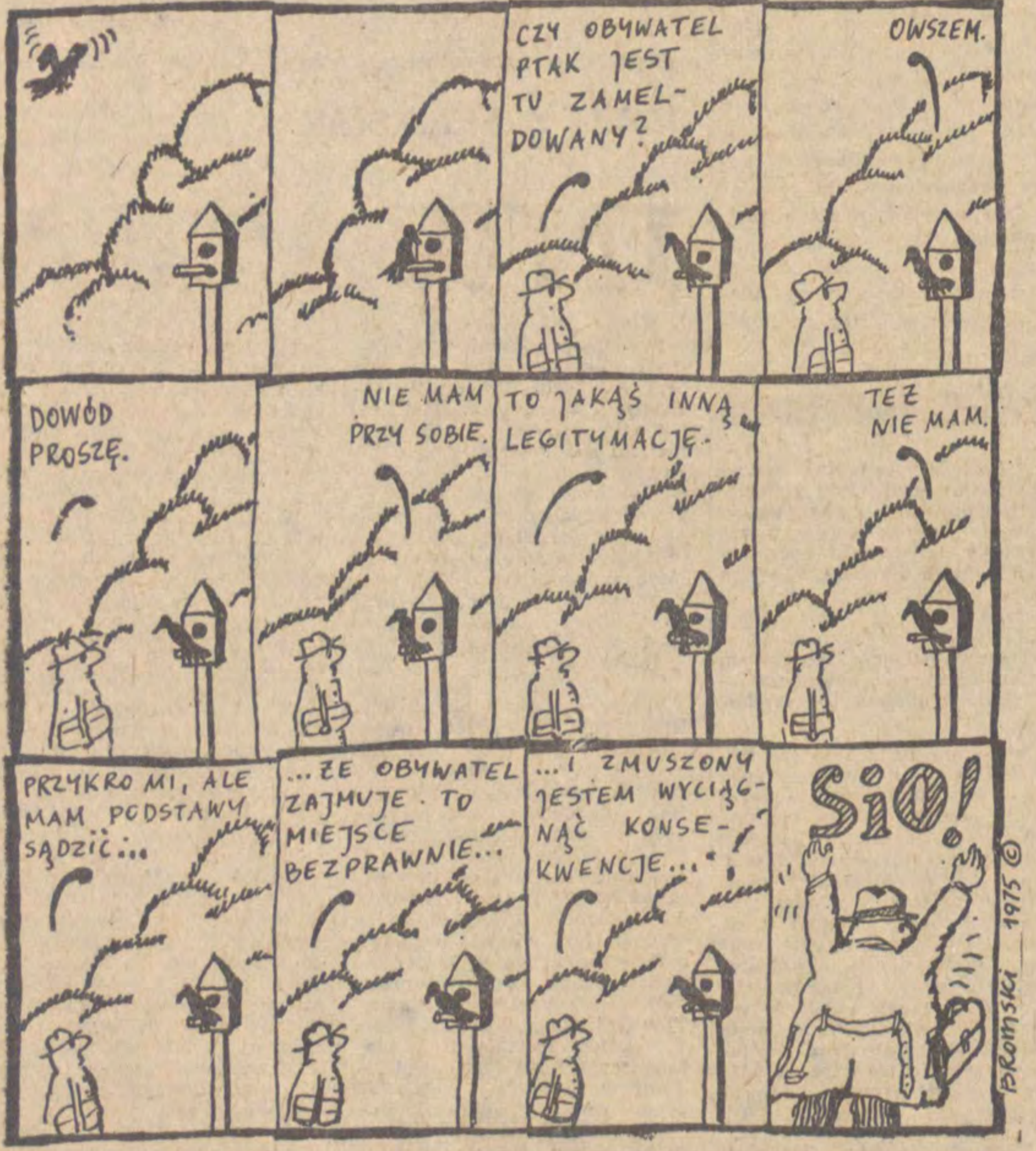

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."
K. I. G.

TEGO JUŻ ZA WIELE!

Wiele można wytrzymać, zagryźć zęby, zacisnąć pięści... Jednak przebrała się miarka. Nie dajcie tego czytać dziatwie. Niskie i płaskie instynkty policzkując Bolka i Lolka wdarły się do filmu rysunkowego. Kapitaliści kręcą obecnie serial „na dobranoc" którego bohaterem jest krasnoludek, żyjący w środku środka antykoncepcyjnego. Na pytanie koleżanki Myszki: „Co słychać?": krasnoludek ów odpowiada: „Jakoś się żyje!". W języku angielskim brzmi to dwu i więcej dwuznacznie... Wstrzymujemy się od komentarzy, zaznaczając jedynie, iż u nas jest to niemożliwe.

NOWE METODY

Zrozumiałe powodzenie naszych doskonałych filmów historycznych cieszy ale i trochę niepokoi. Okazuje się bowiem, iż doskonale wartka akcja tych filmów odciąga uwagę widza od kontemplacji samej esencji historycznej, jaką jest niewątpliwie Kopernik Wielki czy Kazimierz. W związku z powyższym planowane jest nakręcenie filmu, w którym wystąpią jedynie ważne daty historyczne z naszych dziejów. Co kryje się pod daną datą sam widz musi wyszukać w książce historycznej. Pomoże mu w tym muzyka, smutna lub wesoła, zależnie od rewolucji czy konfederacji. Przy niektórych datach pojawi się dla tzw. zmyłki profil Kościuszki.

MŁODZI W TROSCE O STARYCH

Każdy z nas będzie kiedyś starym! Drużyna harcerska im. „Ofiar wypadków drogowych" z Kitajek Żółtych podjęła nową i ciekawą inicjatywę. Każdego dostrzeżonego na ulicy staruszka, druhowie ujmują pod ręce i szybko prowadzą do kina. W czasie seansu bacznie uważają, by staruszkowie patrzyli na ekran i żeby nikt nie opuszczał sali. Po skończonym seansie ambitni druhowie, stosując odpowiednie metody zawsze potrafią przekonać staruszków iż obejrzany film bardzo im się podobał.

ODPOWIADAMY NA LISTY

J. P-ska z Pudliszek Odmrożonych.

Pyta Pani, prosząc o szczerą odpowiedź, czy reżyserzy filmowi podlegają podstawowym prawom przemiany materii. Ależ oczywiście że tak!!! Jeśli Pani nam nie wierzy, prosimy bacznie obserwować jednego z nich, po wieczornym posiłku. Reżyserzy filmowi to też ludzie, tyle że większego formatu.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90 102. Telefony 652 44, 217-98 oraz 293 00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2608, U-12. Nr indeksu 37006/26762.